Joanna
CHMIELEWSKA

ZBRODNIA W EFEKCIE

JOANNA CHMIELEWSKA

ZBRODNIA W EFEKCIE

2013

Spis treści

Karta tytułowa

ZBRODNIA W EFEKCIE

Wpadłam w furię.

Wcale nie miałam takiego zamiaru, planowałam odbycie spokojnej, rzeczowej rozmowy, bo jeszcze ciągle kołatały się we mnie resztki nadziei, że zdołam go uczłowieczyć. Idiotka. Uczłowieczyć mężczyznę!

Nie zdołałam sobie później przypomnieć, co on takiego powiedział, że nagle we mnie strzeliło. Może to było o łgarstwie? Ja nie kłamię tylko dlatego, że on mi nie zadaje żadnych pytań? Primo, to nieprawda, na pytania odpowiadał wyłącznie pytaniami, a secundo, niby co to miało znaczyć? Że gdyby spytał o cokolwiek, ja natychmiast wygłoszę jakieś piramidalne łgarstwo? Że ten taki od licznika wcale nie przyszedł do licznika, tylko po to, żeby przeseksualić się ze mną? Że wyprę się naplucia po pijanemu na jakąś babę na placu Zbawiciela? Bo ktoś prawdomówny mnie widział i doniósł...?

W życiu nie naplułam na żadną babę nigdzie i nie odwiedzałam po pijanemu placu Zbawiciela, ani żadnego innego placu, nie mówiąc już o błąkaniu się w pijanym widzie po mieście. I nigdy nie żywiłam szczególnej namiętności akurat do inkasentów, jeśli już, to raczej do kapitanów żeglugi wielkiej, chociaż z żalem należy wyznać, że żaden mnie nie chciał... nie szkodzi, na pytanie w tej kwestii odpowiem łgarstwem jak na każde inne. Gwarantowane!

Może wyprę się kapitanów...?

A może tchórzliwie ukryję fakt, że przegrałam na wyścigach wszystkie własne pieniądze, zaciągnęłam dwudniową pożyczkę od lichwiarza i teraz lecę mu oddać...?

Ale może to było w ogóle nie to, tylko coś zupełnie innego? Nigdy sobie nie zdołałam przypomnieć.

Dość, że w moim mieszkaniu rozszalała się wściekła furia i dziw, że nie sfajczyłam domu zapalonym papierosem, który pirzgnęłam pomiędzy liczne materiały łatwopalne, obecne u mnie w obfitości. Gdybym trzymała w ręku odbezpieczony granat, pirzgnęłabym granatem.

Nie zabiłam tego palanta, chociaż prawie. Wywrzeszczałam swoje. Znalazł się supermen, ucieleśniona szlachetność, bóstwo na postumencie, przed którym pokorna kapłanka miała święty ogień palić, ja zaś zapewne trochę niedbale układałam drewienka. Możliwe, że kapłanek było więcej niż jedna, nie miało to najmniejszego znaczenia, nie każda do sanktuarium bywała dopuszczana, niektóre miały prawo tylko opał donosić, żadna natomiast nie doczekała się nie tylko nagrody, ale nawet pochwały. Milczenie bóstwa oznaczało, że nie ma czego zganić.

I wszystkie żyły nadzieją. Idiotki.

Szczodrość w bóstwie nie istniała. Żądać. Wymagać. Podstępnie, nie mówiąc wyraźnie, czego władca sobie życzy, niech się sama domyśli. Z siebie nie dawać nic.

Za to symulować szaloną chęć dawania, zręcznie stwarzać i podsycać te wielkie nadzieje, to miała być ta kryształowa szlachetność i dbałość o cudze uczucia. Pełna gęba pouczeń, jak to należy dbać o subtelne uczucia, cudze, znaczy: jego.

O, znalazłam mu znacznie więcej zalet, nie tylko te duchowe drobnostki. Wykrzyczałam wszystko, w rezultacie dostał konwulsji, bo takie skancerowanie wspaniałości okazało się absolutnie nie do zniesienia. Postument się rozleciał i co z takim fantem zrobić?

Nie wezwałam pogotowia. Przestał się trząść i wyszedł o własnych siłach.

Więcej nie wrócił, a po roku czy dwóch latach okazało się, że jednak jakieś prawdziwe zalety miał. Moje noże przestały być ostre, a nożyczki jakoś gorzej cięły. Nie była to cena zbyt wygórowana za ostateczne udeptanie własnej głupoty i w końcu zostały mi już tylko resztki furii na samą siebie. Oślica, nic innego. Poczułam się jakoś osobliwie wolna od wszelkich gniotów i wyjechałam.

* * *

Jedna taka bardzo starsza osoba, niejaka pani Amelia, upierała się, że lubi gąszcz. Zważywszy wiek, miała dość czasu, żeby ten gąszcz stworzyć i wszelkim pretensjom stawiała kamienny opór.

W grę wchodziły tak zwane działki pracownicze, poprzydzielane tak zwanym ludziom pracy w odległych czasach błędów i wypaczeń, i oczywiście wielbicielka gąszczu była wówczas o przeszło pół wieku młodsza. Pracowała na owej działce cała rodzina i oczywiście o żadnych gąszczach nie mogło być mowy, ale starsza o pokolenie rodzina zeszła z tego świata, nieliczne pokolenie młodsze ruszyło gdzieś w nieznane i pani Amelia została sama.

No i zabrakło jej sił.

Nie tyle może z miłości do gąszczu, ile z tego braku sił zrezygnowała z ciężkiej pracy. Na działkach pracowniczych zawsze istniał wymóg właściwego użytkowania posiadanego terenu, działka musiała być zadbana, uporządkowana i estetyczna, pretensji do posiadaczki zatem pojawiało się mnóstwo, na co pani Amelia stwierdzała, że ona lubi gąszcz, nic od niej się nie rozsiewa wokół, nic się nie płoży, a wszystko wygląda malowniczo. Człowiek zaś na starość ma prawo do zaspokajania swoich potrzeb estetycznych.

No owszem, wyglądało malowniczo i otoczeniu właściwie nie szkodziło. Skłębione razem maliny, jeżyny, agrest, berberysy, porzeczki trzech kolorów, kwitnące krzewy niewiadomego gatunku, powoje, ozdobne osty, warzywa korzeniowe, też kwitnące wbrew swojemu przeznaczeniu, rozmaite fasole i groszki, wszystko razem skłębione niemiłosiernie, nie dość, że trzymało się kupy, to jeszcze kwitło i owocowało. Przejście od furteczki do domku zwanego altanką istniało i dawało się pokonać, aczkolwiek tajemnicze kolce chwytały lekko za nogi, spodnie i spódnice. Ale nic nie rozłaziło się na boki, więc właściwie jej sprawa. Właścicielki.

Odczepiono się wreszcie od niej po dość długich sprzeczkach z nadzieją, że przecież ta baba nie będzie żyła wiecznie. Widać, że młodość odbiegła ją bardzo dawno temu, wkrótce umrze i będzie z głowy. Na wszelki wypadek sprawdzono stan prawny działki i okazało się, że pani Amelia ma spadkobierczynię, jakąś cioteczną wnuczkę, która dopiero niedawno skończyła osiemnaście lat, a nazajutrz po urodzinach została właścicielką ogródka, może nawet o tym nie wiedząc i nie wykazując żadnego zainteresowania. W każdym razie nikt jej tutaj nigdy nie widział. Ale była. Istniała.

* * *

Po drugiej stronie wąskiej alejki znajdowała się działka, również dość osobliwie traktowana. Uprawiali ją liczni członkowie jednej rodziny, wszyscy pełni zapału, zmieniający się jednakże co trzy lata, co pięć, co rok, a czasem nawet z wiosny na jesień, lub z jesieni na wiosnę. Rękę mieli do roślin szczęśliwą, wszystko im pięknie rosło, nikt zatem nie miał powodu grymasić i krytykować. Tyle że przy ciągłych zmianach ekip roboczych, żadna ludzka siła nie potrafiła stwierdzić, do kogo ta działka właściwie należy, kto tam rządzi i kto jest właścicielem. Pierwotny właściciel prawny

był wprawdzie niezmienny, ale od dawna leżał w grobie. Co nie przeszkadzało, że dyplom pochwalny za wyjątkową urodę działki otrzymał przed pięcioma laty na własne nazwisko. Pośmiertnie.

Na tejże właśnie działce w miły, czerwcowy, zadeszczony dzień znajdowały się dwie osoby płci różnej, postury posągowej. Strój osób przedstawiał się kontrastowo, żeńska miała na sobie fartuch roboczy na szelkach i foliową, cienką pelerynkę od deszczu, rodzaj męski odzienie zlekceważył, był goły, wyłącznie w kąpielówkach i krótkich gumiakach do połowy łydek. Nie stanowiło to niezwykłości, wielokrotnie działkowicze przebywali wśród swojej zieleni w strojach plażowych, zazwyczaj jednak wybierali pogodę słoneczną. Teraz zaś równiutko i wytrwale siąpił kapuśniaczek, a jednostajnie zachmurzone niebo nie wskazywało na możliwość rychłych zmian. Było jednakże ciepło. Bardzo ciepło. Deszcz nie ochłodził atmosfery, od wielu dni tropikalnej, a osobnik męski najwidoczniej lubił letni prysznic.

Działka była w stanie kolejnej drobnej przeróbki. Blisko alejki znajdowało się coś, co z biegiem lat przybierało zmienną postać, to inspektu, to miniatury oranżerii, to zasobnika kompostowego. Stanowiło dół o betonowych ściankach, długi na trzy metry, szeroki na metr dwadzieścia i przechodziło aktualnie z fazy kompostowej w fazę oranżeryjną. Bogata w substancje odżywcze ziemia została już prawie wybrana, a kilkucentymetrowa warstwa na betonowym dnie była właśnie pieczołowicie wygarniana czymś w rodzaju grabi o niezwykle gęstych zębach, oraz niewielką łopatką. Zajęciu temu oddawał się osobnik płci męskiej.

Osoba płci żeńskiej przyglądała się robocie, stojąc tuż za nim. Jedną ręką wspierała się na stylisku innej łopaty, ogromnej, w części żelaznej, wdzięcznie wyprofilowanej, proste boki przechodziły w łagodny dziób. W

drugiej ręce dama trzymała jakieś przedmioty, ogólnie zaś wydawała się nieco zdenerwowana.

– A teraz – mówiła – mój mąż nie żyje. Już prawie trzy miesiące zeszło. Ja uważam... ja myślę... To co ty na to?

Osobnik męski poniechał grabienia i wyciągnął rękę do tyłu.

– Małą osełkę – powiedział.

Damie nagle zabrakło rąk. Przedmiotów w dłoni miała za dużo, gorączkowo uwolniła drugą rękę, wielką łopatę opierając o ramię, wygrzebała coś, podała dżentelmenowi. Ujął to, nie patrząc, przez chwilę trzymał, po czym znów wyciągnął rękę do tyłu.

– Prosiłem o małą. Tak wygląda twoja pomoc, nawet wielkości narzędzia nie potrafisz ocenić. Potrzebna mi MAŁA osełka.

Dama wpadła w nerwową drżączkę. Z dłoni wyleciało jej wszystko, sięgnęła do kieszeni roboczego fartucha, peleryna jej przeszkadzała, wyciągnęła jeszcze jakieś przyrządy, wybrała jeden, podała. Owszem, trafiła, to było to.

Pan ujął przedmiot, odłożył na ziemię niewielką łopatkę, ustawił grabie w dole zębami do góry i przystąpił do ostrzenia tych zębów. Pomocnica pozbierała wszystko upuszczone.

– To jak będzie? – spytała z uporem. – Jak on już w grobie, to ja jestem wolna. To chyba teraz ożenisz się ze mną? Możemy wziąć ślub?

Cichy, chociaż świszczący szelest osełki na ząbkach najwidoczniej nie wydał jej się upragnioną odpowiedzią.

– To co? Bo ja już dawno myślę, a odkąd on chory, to jeszcze więcej, wiadomo było, że zdechnie, na takiego raka lekarstwa nie ma, to co miałam z rozwodami zaczynać. Weźmiemy ślub i już teraz... już teraz... no... na noc chyba nareszcie zostaniesz...?

W napięciu zawiesiła głos, oczekując odpowiedzi. Nadal odpowiadały tylko ząbki.

– To jak będzie? Kiedy się ze mną ożenisz? Przecie ja wiem, że nie masz nikogo! Tak czekam i czekam, że może co powiesz, a ty nic. Kiedy ten ślub weźmiemy?

Zamilkła, ale czuło się, że coś w niej rośnie i pęcznieje.

– Skąd przypuszczenie, że w ogóle kiedykolwiek? – odparł dżentelmen spokojnym, zimnym, twardym głosem, nie odwracając głowy. Wciąż stał na skraju dołu tyłem do wielbicielki.

Wielbicielką zatrzęsło.

– No jak to? Wszystko dla ciebie robię, wszystko, co tylko chcesz! I rentę po tym pokurczu mam dużą! A dla ciebie już tyle lat specjalnie się staram i wszystko robię!

– Może nawet za dużo.

– Jak to...?

– Może ja nie chcę tak dużo. Może dla mnie to jest nachalne natręctwo. Niepotrzebny nadmiar, wpychany przemocą. Może mnie się podoba zupełnie co innego niż tobie i może mam inne potrzeby. Nie zauważyłaś tego do tej pory?

Postać w foliowej pelerynce skamieniała.

– Jak to...?

Postać goła nabierała rozpędu. Rytmiczny szmer osełki również.

– Przemyśl to sobie. Nie musi być dla mnie dobre to samo, co było dobre dla twojego męża. Być może ja mam inne upodobania i w tych upodobaniach wcale nie musi się mieścić ślub z tobą. Może mam inne potrzeby, których nie tylko nie zaspokajasz, ale nawet nie rozumiesz. Może nie mam ochoty być związany twoimi bezrozumnymi staraniami, które mi tylko przeszkadzają...

Na działkach ogólnie było prawie pusto. Jeśli nawet ktoś gdzieś został, to tkwił pod dachem, w altance, albo w całkiem solidnym domku letniskowym, gdzie mógł drzemać, względnie gapić się w telewizorek, pociągając piwko bez gniewnego mamrotania i ględzenia za plecami. Ściśle biorąc, takich osób było trzy, wszystkie płci męskiej i w średnio zaawansowanym wieku. Zajęte różnie.

Czwarta osoba właśnie opuszczała teren. Trzynastoletnia Ewa Górska przyszła tu zaraz po szkole, ponieważ na działce ciotki dwa dni temu zostawiła przez roztargnienie pożyczone *Emancypantki* i nie tylko musiała je oddać, ale także na jutro coś tam z nich napisać. Miała nadzieję na poprawę pogody, więc tak zwlekała, ale teraz nadzieja przepadła i nastała ostatnia chwila. Trudno, musiała zmoknąć. Posiedziała trochę w altance, przeczytała mały kawałek książki, wymyśliła, co napisze i z westchnieniem ruszyła w drogę powrotną, nie mając najmniejszego pojęcia, iż dzień ten okaże się decydujący o całym jej życiu i na zawsze utkwi w pamięci.

Na jednej działce, już blisko bramy, ktoś był. Usłyszała głosy, głównie głos męski i jakby krótki szloch damski. Nic jej te osoby nie obchodziły, ale rzuciła okiem i przez niską siatkę, oraz nieco wyższą od niej zieleń ujrzała niewyraźne sylwetki. Jakaś baba i facet. Facet coś mówił nieprzyjemnym, twardym, takim jakimś bezlitosnym głosem. Baba nerwowo wtrącała urywane strzępy słów.

Tekst Ewy nie zainteresował, chociaż najwyraźniej w świecie ci dwoje podgryzali się wzajemnie. Wstrząsnęła nią natomiast męska sylwetka, z całego serca brzydziła się gołych facetów, jeszcze młody chłopak na plaży, coś takiego da się wytrzymać, normalka, ale wielki, goły wapniak w środku miasta...? Żeby chociaż gładki, ale nie, owłosiony! No dobrze, nie bardzo, trochę, ogólnie nawet kształtny, bez sadła, Fidiaszowi za model mógłby służyć. To niech się nim Fidiasz zachwyca, dla Ewy to było po prostu

wstrętne cielsko. Baba zresztą też niezła, widać figurę mimo foliowej osłony, pasuje do niego. Ale mniej obrzydliwa.

Przyśpieszyła kroku i upadła jej niedbale zwinięta torba z małymi bateryjkami, kupionymi po drodze. Musiała się zatrzymać, cofnąć i pozbierać śliskie opakowania, dzięki czemu wpadło jej w ucho nieco więcej dialogu z mijanej działki.

– Już byś przestał z tym ostrzeniem, ty chory jesteś, wytrzymać nie można! – usłyszała jeszcze rozpaczliwie wściekły okrzyk za plecami.

Odpowiedź męska już jej wyraźnie nie dobiegła, ale wystarczył sam ton. Okropny. Nie obejrzała się za siebie, dotarła do bramy, tam już szmer deszczu na liściach zagłuszył wszystko, a równiutkie strumyczki z nieba mglistym welonem zasłoniły widoki. Prawie nie zwróciła uwagi na postać, która przedarła się przez krzaki obok niej, podążając w głąb działek. Tyle wiedziała, że postać była męska.

W dziesięć lat później miała gorzko pożałować swojego braku zainteresowania konfliktami międzyludzkimi...

* * *

Pouczenia nad przyszłą oranżeryjką trwały.

– ...jeżeli tych bliskich kontaktów jesteś taka spragniona, należało korzystać z zapałów twojego męża, ja mam zapewne inny gust. Powinnaś to była dawno zauważyć i przemyśleć, a nie występować teraz z propozycjami nie do przyjęcia. Ślub, wspólne mieszkanie, wspólne łóżko... Nie zauważyłaś dotychczas, że w odniesieniu do ciebie ja nie wykazuję skłonności w tym kierunku, raz to trzeba wreszcie powiedzieć otwarcie...

– Ostrzyć. Wolisz ostrzyć. To jakaś mania! Od tego można zwariować!

– Istotnie, upodobania bardzo nas różnią. Obawiam się, że sztuka myślenia wciąż jest ci obca, ale może uda ci się zrozumieć, co do ciebie

mówię. Nie czuję do ciebie najmniejszego pociągu, przeciwnie, zrażasz mnie na każdym kroku...

Mówił i mówił, wciąż stojąc nad dołem, tyłem do niej, i nie dostrzegał jak za jego plecami rośnie furia rozpaczy. Rozczarowania. Gniewu. Udręki.

Rośnie, pęcznieje, przeradza się w ogromny balon...

* * *

Postać męska, która minęła w bramie Ewę Górską, nie trzymała się alejki. Z niewyjaśnionych przyczyn jęła pokonywać kolejne ogródki, przełażąc bez trudu przez niskie siatki i wybierając wąskie ścieżki. Ogródków przed zaludnioną działką było niewiele, zaledwie cztery, ale nieszczęśliwym dla postaci trafem wszystkie były gęsto obsadzone berberysem, ostrokrzewem, malinami, jeżynami i szpalerami róż, roślinami o solidnych, ostrych kolcach. Postać najwyraźniej nie posiadała żadnego wykształcenia botanicznego, ani też wiedzy o krzewach kolczastych, bo ustawicznie w nich grzęzła, chwytana za odzież. Przedzierała się jednak wytrwale. Wiosenny deszczyk szeleścił.

* * *

Zarzut damy, jakoby skłonność do ostrzenia narzędzi stanowiła maniactwo, można było właściwie uznać za całkowicie słuszny. Cały sprzęt ogrodniczy wokół lśnił krawędziami, wobec których brzytwy powinny się spalić ze wstydu. Zęby żelaznych grabi mogły zastąpić igły, sekatory przecinać włos w powietrzu, łopaty, noże i nożyce przewyższały ostrością skalpele, bił od nich blask nawet w czasie deszczu. Szczególnie największa łopata, o którą wciąż wspierała się odrzucana miłośnica, sprawiała wrażenie wręcz mordercze.

– To przez nią – zawarczała miłośnica przez zęby. – Wszystko przez nią...

– I teraz, patrząc na ciebie, żałuję, że pozwoliłem jej odejść – wyrąbał niemiłosiernie oporny amant. – Nie próbuj więcej do mnie przychodzić. Nigdy nie zostaniesz wpuszczona.

Przez chwilę panowała cisza. Potem balon pękł i furia strzeliła.

Przez szelest monotonnie siąpiącego deszczyku przedarł się złowieszczy, straszliwy świst. Coś poleciało nagłe wysokim łukiem przez alejkę i głucho łupnęło wprost w środek gąszczu starszej pani. Coś z potężniejszym łupnięciem wpadło do dołu po kompoście, brzęknęły naostrzone grabie, zgrzytnęła o betonową ściankę mniejsza łopatka. Po czym znów zapanowała cisza.

Przez długą chwilę świat trwał w zadeszczonym bezruchu, aż wreszcie w jedną ludzką postać wstąpiło życie. Odezwało się echo furii.

Praca zawrzała racjonalnie, rzetelnie, energicznie i ze skutkiem godnym podziwu. W imponującym tempie dokonawszy niezbędnych czynności, osoba ludzka spokojnym krokiem opuściła mokry teren działek.

Pies z kulawą nogą nie zwrócił na nią uwagi.

* * *

We wrześniu dwie sztuki żeńskie z owej zmiennej osobowo rodziny wróciły z letnich wojaży zagranicznych i już następnego dnia po powrocie znalazły się na działce, stęsknione za ulubionym ogródkiem.

– O rany, ale bajzel – powiedziała jedna z nich, czterdziestopięcioletnia Leokadia, nieco wstrząśnięta.

– Jak ty się wyrażasz – zgorszyła się jej o dwa lata starsza siostra, Paulina. – Co się tu dzieje, tu chyba przez dwa miesiące nikt nic nie robił!

– Przez dwa i pół. Nic nie rozumiem.

– A przecież Feliks miał zadbać! Gdzie Feliks?

– A skąd ja mam wiedzieć? To twój wielbiciel, nie mój.

Paulina prychnęła gniewnie.

– Mówił, że wyjeżdża, ale dopiero w połowie sierpnia. Przez dwa tygodnie tak zarosło?

– Zełgał. Wcale go tu nie było. Źle go wychowałaś.

– Oj, głupia jesteś, trzeba było samej się do niego zabrać i wychowywać!

– Ja gachów nie potrzebuję.

– Ja też nie... Akurat, nie potrzebujesz, a ten krzywonos w Kalifornii, co za nim latałaś...

– Ja za nim? Puknij się, ocipiała idiotka, nie ja za nim, tylko on za mną!

– A ty go może odganiałaś, co...?

Pokłóciły się tak porządnie, że zakotłował się w nich cały zapas adrenaliny. Ujście znalazł w pracy ogrodniczej i siostry oklapły dopiero po czterech godzinach, ale prawie połowa działki odzyskała swój urok, rozkwitła nieskalanym porządkiem. Pociechy i dopingu dostarczyły narzędzia, wszystkie w idealnym stanie i ostre jak brzytwy.

– Przynajmniej oczyścił i naostrzył – mruknęła Leokadia, ledwo już zipiąc, i usiadła na rozkładanym krześle.

Paulina zdobyła się jeszcze na zaparzenie herbaty i wyjęcie kanapek. Jako stół posłużyła ławeczka pod altanką, uwolniona w połowie od bujnych pędów klematisu. Obie siostry, jak na swój wiek, były pięknymi kobietami, pełnymi sił i wigoru, ale miały lekko–średnią nadwagę i musiały nieco odetchnąć. Nie do kłótni im teraz było.

– A co on miał zrobić, ten jakiś fachowiec, z tym...? – spytała Paulina, czyniąc gest brodą. – Bo zapomniałam.

Leokadia spojrzała w bok na dół po byłym kompoście, który już nie był kompostem, tylko jakby samą ziemią, dobrze odżywioną.

– Trochę źle przesiał – skrzywiła się. – Niestarannie. Też nie pamiętam, na czym stanęło. Inspekt?

– Nie, już wiem. Oranżeryjka. O, szyby stoją. Miał być daszek.

Leokadia przyglądała się ziemi, szybom i całej reszcie z niesmakiem, wciąż skrzywiona.

– Ale nie zmontowany. Nie, oranżeryjce nie damy rady, zrobimy sobie inspekt i zaczniemy siać już w lutym.

– Albo w domu siać i flancować w marcu. Szybami się przykryje. Przecież ten Feliks kiedyś wróci!

– Ej, czy aby na pewno? – zachichotała złośliwie Leokadia.

Paulina niemal się obraziła.

– A niby dlaczego nie?

– Zelżyłaś go tak, że powinien się nie pokazać nawet z daleka...

– Wcale nie ja go zelżyłam, tylko ty!

– Ale ty mnie poparłaś!

Paulinie nie chciało się kłócić. Wzruszyła ramionami.

– E tam. Przejdzie mu. A jak nie, przyleci Bronka z tym swoim rozchichotanym Teodorkiem. On pracowity.

W wyjątkowej zgodzie uściśliły plany ogrodnicze, po czym przeszły do plotek rodzinnych. Część rozproszonych wakacyjnie krewnych i powinowatych znikła im z oczu, nic o nich nie było wiadomo, należało cierpliwie czekać, czego żadna z nich nie lubiła.

– A Joanna? – przypomniała sobie nagle oburzona Paulina. – Ten jakiś jej facet, jeszcze bardziej pracowity niż Teodor...

– Naszą wspólną przyszywaną siostrzenicę wybij sobie z głowy – przerwała jej trzeźwo Leokadia. – Po pierwsze, kiedy ona wróci, nie mam pojęcia i nikt chyba nie wie, a po drugie, o facecie ostatni raz coś tam bąkała w zeszłym roku, więc wcale w niego nie wierzę. Ukrywała go. I w

ogóle zdaje się, że to właśnie miał być ten fachowiec od daszku. A po trzecie, plącze mi się jakaś studentka botaniki, która się tu pcha eksperymentalnie, czyjaś powinowata, ale nie wiem czyja.

– Też pracowita?

– To się okaże...

Rzecz oczywista, na obfitującej w użytkowników działce następnego dnia pojawiło się już więcej osób i praca ruszyła ostro. Co do jednego wszyscy byli zgodni. Inspekt. Żadnych oranżeryjek!

No i inspekt pozostał. Szybami przesuwnymi przykryty, spełniał swoje zadanie i rosło w nim wszystko nad podziw.

* * *

Studentka botaniki, niejaka Marlenka, chlubnie ukończyła trzeci rok studiów i zagnieździła się na ruchliwej działce, aczkolwiek nikt nigdy nie zdołał dojść, jaki rodzaj powinowactwa łączy ją z kimkolwiek. Mętnie błąkało się przypuszczenie, iż jeśli coś, to tylko z tajemniczym facetem Joanny, nikomu nieznanym, którego niepewnie określała mianem wuja. Wuj wprawdzie gdzieś zniknął, od trzech lat nie widziała go na oczy, ale pamiętała, że jeszcze przed maturą miała obiecaną praktykę na tej właśnie działce, numer działki dostała i dlatego przyszła. Do roboty zabrała się od razu z dzikim zapałem, rękę do roślin miała niebiańską, została zatem przyjęta bez najmniejszych zastrzeżeń.

Eksperymentowała zatem coraz śmielej i właśnie ukradkiem posadziła w bujnie rosnącym inspekcie malutką egzotyczną roślinkę, o skromnym wyglądzie zielonego patyczka. Nie mając najmniejszego pojęcia, jak straszliwe skutki ów czyn przyniesie.

Zniknął też całkowicie Feliks, adorator Pauliny.

Od trzech lat nie odzywał się i nikomu nie pokazywał na oczy. Najwidoczniej występ Leokadii okazał się śmiertelnie obraźliwy, a Paulina go doprawiła, usunął się zatem na ubocze. Ambicją i urazą wiedziona Paulina nawet nie spróbowała załagodzić sprawy, nadęła się i nieudolnie kryjąc wściekłość oraz żal, ogłosiła światu, że bez Feliksa doskonale się obejdzie.

Co nie miało nic wspólnego z prawdą.

No i w dwa lata później eksperyment Marlenki pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Do jesieni wyrósł w górę na trzy czwarte metra, nie wiadomo było, co z nim zrobić, nie został zatem nigdzie przesadzony, zyskał tylko przestrzeń dla rozwoju przez zwykłe wyjęcie jednej szybki. Na przełomie zimy i wiosny przekroczył już metr, a w dodatku tuż obok niego pojawiły się nowe zielone patyczki w liczbie czterech, gorliwie ścigające przodownika. Wszyscy byli ciekawi, co z nich wyrośnie.

Po dwóch latach z inspektu wystrzelała przeszło dwumetrowej wysokości roślina, wciąż w formie zielonego patyka, tworząca razem z metrowymi dziećmi prześliczną, strzelistą wiązkę. Właściwie podobała się wszystkim, chociaż trochę niepokoiła tempem wzrostu. Nadmiernie wietrzony inspekt prawie przestał spełniać swoje zadanie, ale doświadczeni działkowicze dawali sobie z tym radę.

Równocześnie Marlenka zrobiła dyplom, zielony patyk osiągnął dwa i trzy czwarte metra, a część rozsady okazała się wymarznięta i zdechła.

– Ciekawe, kiedy przerośnie Pałac Kultury – powiedział Teodorek i zachichotał.

– To jest niemożliwa rzecz – zdenerwowała się Paulina. – Coś z tym trzeba zrobić. Gdzie Marlenka...?!

– Poleciała po kiełbasę.

– I piwo – zachichotał Teodorek.

Marlenka istotnie latała po sklepach, nabywając kiełbaski do pieczenia na patyku, pączki, piwo i różne inne łakocie na działkową ucztę dla uczczenia dyplomu. Przy okazji, w nieokiełznanej euforii, stanowiącej przeciwwagę doznanej ostatnio kolejnej klęski sercowej, chwaliła się swoim osiągnięciem każdemu, kto jej się napatoczył. Mało znajomych spotykała, nie czuła się zaspokojona, zadzwoniła zatem z radosnym komunikatem do Joanny, dawnej kobiety nieosiągalnego prawie–wuja, która wytrwale i jakże skutecznie zachęcała ją do tej botaniki. Trudno ją było złapać, bo ciągle jeździła po świecie, ale teraz chyba właśnie skądś wróciła...

Rzeczywiście wróciła. Marlenka wybuchnęła szczęściem.

– Ach, pani Joanno, gdybym mogła zagospodarować całość! Ale całości mi nie pozwolą... A teraz mi wyrosło coś takiego ślicznego i ja bym to hodowała, ale zdaje się, że chcą wyrzucić...

– Co ci wyrosło?

Marlenka z zapałem opisała zielone patyki. Ze słuchawki strzeliło przerażenie.

– Rany boskie! Marlenka, czyś ty zwariowała?! Wyrzucaj natychmiast! To jest bambus!!!

– Jak to...?

O bambusie Marlenka wiedziała prawie wszystko. Na własne oczy oglądała całe zarośla bambusowe, jadła nawet sałatkę z młodych pędów bambusa, w konserwie, ale nie szkodzi, też dobra, znała jego użyteczność niemal wszechstronną. Nie miała jednakże żadnego skojarzenia i do głowy jej nie przyszło, że bambus może nagle wyrosnąć jej pod ręką, prawie sam z siebie. Tak sobie tylko wetknęła ten patyczek, bo wydawał się taki świeży...

Joanna po drugiej stronie komórkowego połączenia szalała.

– Pozbądź się tego, ale już! Ty pojęcia nie masz, co to za cholerstwo, on w trzy lata zarośnie całe działki, nie da się wykopać! Korzenie wchodzą w ziemię na półtora metra!

– Tam chyba jest beton... – bąknęła ciężko spłoszona Marlenka.

– Cienki i głowę daję, że już popękał. Dania się wygłupiła i zarosło im kraj... Byłaś w Danii...? A nie, nie byłaś...

– No nie byłam...

– Szkoda. Do tej pory jeszcze wygarniają resztki, buldożery poszły w ruch, koparki, spychacze, co popadło! A zaczęło się też od małej wiązki! Zarośnie i nas, jesteśmy więksi terytorialnie, ale mamy gorszy beton i asfalt! Natychmiast to wykopuj!!!

Marlenka, mimo ciężaru pożywienia w torbach, prawie zapomniała o dyplomie, ale towarzystwo na działce pamiętało. Ogienek już się palił, stolik turystyczny był rozstawiony, siedziska przygotowane, patyczki do kiełbasy i bułeczek również. Wystraszona śmiertelnie bambusem, Marlenka pozostawiła biesiadnikom troskę o ucztę, sama zaś złapała się za łopatę.

Zważywszy, iż usiłowała nie eksponować popełnionego przed dwoma laty błędu i zbagatelizować wyrastające z inspektu zielone nieszczęście, robiła wrażenie osoby, która znienacka dostała pomieszania zmysłów. Przerażony wzrok, wymuszony, mętny uśmiech na ustach i nieopanowana namiętność do kopania ziemi akurat w momencie odniesienia sukcesu życiowego wzbudziły ogólne zdziwienie i aprobatę wyłącznie jednej osoby, mianowicie Pauliny.

Paulina była za. Mówiła przecież, że trzeba coś zrobić. No to Marlenka robiła, wyglądała wprawdzie, jakby nagle zwariowała, ale co to komu szkodzi, grunt, że robiła skutecznie. Aż do chwili, kiedy odrobina gwałtownie wyrzuconej w górę ziemi wpadła Leokadii do kubka z herbatą.

Marlenka zaś zamarła, stojąc w dole już głębiej niż po kolana i wciąż mając przed sobą korzenie bambusa jeszcze niżej, zdawałoby się wiodące do środka ziemi. Ale obok korzeni było coś. Cholerny bambus w tym rósł. I to było coś tak dziwnego, niespodziewanego, w ogóle nie do uwierzenia, że łopata się na tym omsknęła i wystrzeliła grudkę wprost do herbaty Leokadii.

Wszyscy po kolei porzucili ognisko i zbliżyli się do wykopu z kiełbaskami, bułeczkami i pączkami na patykach i widelcach. Patrzyli z wielką ciekawością, nie zdając sobie sprawy z tego, co widzą.

– A to co? – zdziwiła się jedna osoba.

– Pokop dalej – zachęciła druga.

Marlenka tak zgłupiała, że pokopała dalej.

Ale już tylko trochę obok. Cofnęła się, zaczęła wygarniać ziemię sobie spod nóg i ponownie napotkała przeszkodę. I znów zamarła nad niezwykłością.

Towarzystwo nie rozumiało, na co patrzy, do tego stopnia, że nikt nie stracił apetytu.

– Wygląda jak żeberka – zauważyła niepewnie Bronka.

– Duże żeberka – skorygował łakomie Teodorek, jej mąż.

– Mam robaczka w herbacie – zawiadomiła Leokadia, zaglądając do swojego kubka. – Małego. Nie wiem, czy żywy.

Marlenka milczała, trwając w skamieniałym bezruchu i wspierając się na trzonku łopaty. Paulina popatrzyła uważniej.

– Przecież to jest kościotrup – powiedziała ze śmiertelnym oburzeniem. – Skąd to się tu wzięło? Kto to przyniósł?

Leokadia nagle porzuciła zainteresowanie robaczkiem.

– Rzeczywiście. Kto to jest?

Nikt nie udzielił jej odpowiedzi, za to wszyscy wreszcie przestali jeść. Teodorek zaopiniował niepewnie, że faktycznie, kościotrup, wygląda całkiem jak prawdziwy, ale głowy nie widać. Bez głowy człowieka rozpoznać się nie da.

Bronka zganiła Marlenkę.

– No proszę, głowy nie odkopałaś. Odkop porządniej!

Marlenka przesunęła się, bo tkwiła raczej w pobliżu nóg i ostrożnie, teraz już z niechęcią, pokopała trochę na drugim końcu. Potem ruszyła łopatą nieco śmielej.

Głowy nie było.

– Niemożliwe, żeby tu przyszedł jakiś człowiek bez głowy i położył się w naszym inspekcie – zawyrokowała kategorycznie Paulina. – Ona gdzieś musi być.

– Może to Feliks? – wyrwało się złośliwie Leokadii. – Stracił głowę ze zmartwienia...

– I przyszedł...?

– Taki był obrażony, że mógł przyjść tylko bez głowy!

Idiotyzm przypuszczeń dotarł wreszcie do Marlenki.

Poruszyła się, wylazła z dołu.

– Ja nie wiem, co to znaczy i o co tu chodzi, ale nie kopię więcej, bo będzie na mnie – zapowiedziała stanowczo. – Kogoś tu trzeba wezwać, policję albo archeologów. Ale dla archeologów mnie się wydaje za młode.

– A dla pogotowia za stare – dołożyła życzliwie Bronka.

– No to policję – zadecydował Teodorek. – Chyba że wszyscy pryskamy i udajemy, że nikt nic nie widział. Zakopać z powrotem i z głowy. Co wy na to, panienki?

Niewykluczone, że Marlenka poszłaby za jego radą, gdyby nie bambus. Kościotrup mógł sobie leżeć albo nie, nie ona go tu położyła i właściwie

nikomu nie szkodził, ale bambus spoczywał na jej sumieniu. Bambusa zostawić nie mogła, a wlazł w tajemnicze szczątki tak niewygodnie, jakby specjalnie wybierał sobie ciasne przejścia. Żebra, najgorsze te żebra...

Paulina i Leokadia debatowały nad Feliksem, zaniepokojone coraz bardziej, bo Paulinę nagle ścisnęło coś w środku. Złośliwość siostry potraktowała poważnie i rykoszetem zaraziła Leokadię. Od pięciu lat nikt go na oczy nie widział, no owszem, wyjeżdżał, no owszem, został przedtem obrażony śmiertelnie i nikt go nigdy nie przeprosił, no owszem, mógł się zaciąć, ale jeśli nie...? Może się wcale nie zaciął, tylko leżał tutaj bez głowy...?

Sprawa była skomplikowana, bo u Feliksa znajdowały się wszystkie dokumenty, rozmaite prawa własności, papiery po przodkach, testamenty i różne inne takie, jakaś kasetka nie wiadomo czyja, nie wiadomo z czym. Miał ten cały nabój na przechowaniu jako człowiek wyjątkowo solidny, zorganizowany i nieskazitelnie uczciwy. A obie siostry dysponowały kluczami do jego mieszkania. Nigdy ich dotychczas nie użyły...

Tak naprawdę Paulinie Feliksa brakowało straszliwie. Od wczesnej młodości był jej, należał do niej, może się im trochę nie składało, ale co z tego, istniał jak opoka. Po śmierci ostatniego męża czuła się osamotniona i Feliks, również owdowiały, powinien znajdować się przy jej boku, a tu co? Jak śmiał się w ogóle obrazić aż tak? To ona była obrażona jego obrazą!

– No trudno, tam trzeba zajrzeć, zanim policja się wedrze – zadecydowała Leokadia. – Masz te jego klucze przy sobie?

Gniew na upartego idiotę, szybko ogarniający Paulinę, równie szybko zdechł. Nerwowo grzebała w przepastnej torbie.

– Mam. Zawsze noszę. Wszystkie klucze noszę.

– Żeby dygować większy ciężar?

– Nie, na wszelki wypadek.

– No to właśnie przytrafił nam się wszelki wypadek...

Wszelki wypadek spowodował, że kiedy na działce pojawiła się policja, po obu siostrach nie było już śladu.

* * *

Nikt z obecnych nie potrafił odpowiedzieć z sensem na absolutnie żadne pytanie wezwanej w końcu władzy, na czele której znalazł się komisarz Andrzej Woźniak, aktualnie z przyczyn osobistych bardzo niezadowolony z życia. Nikt nic nie wiedział. Nikt nie przekopywał inspektu tak głęboko, grzebano w nim najwyżej na dwadzieścia centymetrów. Wyjaśniło się tylko jedno, dlaczego mianowicie Marlenka akurat teraz pchała się do dna. Zgnębiona i pełna skruchy opowiedziała o bambusie, który samą swoją obecnością przyświadczał jej słowom.

Bez hałasu i zamieszania nadjechała ekipa techniczna, w jej gronie zaś patolog, który na widok szczątków niemal zachłysnął się zachwytem.

– No, tak pięknie zachowanego obiektu, w takim wieku i w takim miejscu, jeszcze w życiu nie miałem! W idealnym stanie! Kto to odkopywał?

Wszystkie oczy zwróciły się na Marlenkę.

– Pani? Czym pani się kierowała?

– Bambus... – jęknęła Marlenka.

– To znaczy... zadbała pani o roślinę, czy o szkielet?

Ponownie ruszyły wyjaśnienia. Policja z szaloną stanowczością domagała się głowy. Patolog nie krył przyczyn, ustaleniu tożsamości głowa bardzo pomaga, chociażby kwestia uzębienia, a skoro nikt nie wie, kim są tak starannie ułożone szczątki, co najmniej pięcioletnie... I tak skąpo odziane, ze strzępów można odgadnąć, że w kąpielówki i gumiaki... Mało trochę. Zatem bez głowy tym bardziej trudno.

Piękny kościec wyjęto wreszcie z kompostowego dołu z wszelkimi ostrożnościami, potrzeby Marlenki zostały uwzględnione, zapewne dzięki temu, że wszyscy zgłupieli, pozwolono jej wykopać cholerny bambus do końca i nawet udzielono pomocy fizycznej. Ekipa techniczna przystąpiła do racjonalnej pracy.

Rychło wyszło na jaw, że nikt z obecnych nie wie, kto właściwie jest prawnym właścicielem posiadłości. Dostarczono za to mnóstwo nazwisk osób, które użytkowały obiekt, korzystały z niego, uprawiały go i bogaciły w narzędzia i nieruchomości w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat. Lata wcześniejsze ginęły w mrokach przeszłości, ale i tych trzydziestu pięciu wystarczyło, żeby zjeżyć włos na istniejących i w pełni dostępnych głowach śledczych.

No i wreszcie padły nazwiska nieobecnych sióstr, najbardziej pracowitych, które wcześniej były, a później jakoś tak niezauważalnie znikły. Niewątpliwie uciekły. Leokadia Dąbrowska i Paulina Wrotycz. Sprawczynie...?

Odnaleźć i sprowadzić!

* * *

Leokadia z Pauliną ściągnęły sobie taksówkę i dość szybko dotarły do domu Feliksa. Po drodze zdążyły uwierzyć, że to on właśnie spoczywa w inspekcie, bez głowy, ale co za różnica, sama głowa przecież w jego mieszkaniu nie siedzi. Porównanie postury Feliksa z rozmiarami szkieletu nie przyszło im na myśl i jęły nawet rozpatrywać przyczyny, dla których Feliks mógł popełnić takie osobliwe samobójstwo. Z rozpaczy...? Przez Paulinę...?

Zatroskane i zdenerwowane coraz bardziej, otworzyły kluczem drzwi, zgorszyły się nieco, że zamknięte tylko na jeden zamek, i zatrzymały się w

progu długiego przedpokoju. Powęszyły. Dziwne. Po pięciu latach nieobecności człowieka i pustki w domu powinno tu być duszno, kurz, pod sufitem pajęczyny, coś powinno się zatęchnąć, coś może zaśmierdnąć...? A tu nic, świeże powietrze. Gorzej. Gdzieś w głębi mieszkania słychać telewizor.

– Dziki lokator – wyszeptała ze zgrozą Leokadia.

– Dziki...? – ocknęła się wojowniczo Paulina, której nadmierne zdenerwowanie dojadło i błyskawicznie zamieniła je na wściekłość. – To ja go zaraz oswoję!

Ruszyła w głąb przedpokoju i w tym momencie w prowadzących do sypialni przeciwległych drzwiach ukazał się Feliks. Żywy, ubrany, w całości i z głową na swoim miejscu, najprawdziwszy w świecie. Osłupiałym wzrokiem wpatrzony w niespodziewanych gości.

Nie, nikt nie zemdlał, nie uciekł z krzykiem, nie eksplodował histerią. Żywy obraz potrwał wprawdzie dość długo, osobom, bądź co bądź w sile wieku, niezbędne było trochę czasu, żeby mogły przyswoić sobie, co i kogo widzą, wreszcie jednak ogólna zdolność ruchu wróciła. Zdolność mowy również. W salonie ani w sypialni Feliksa żadna nielegalna młoda piękność nie siedziała, puste butelki po nagannych napojach nie poniewierały się po kątach, nic zatem nie przeszkodziło osiągnięciu rychłego porozumienia. Paulina wprawdzie poczuła się nieco rozczarowana, bo myśl, że obrażony amant zabił się przez nią, zaczynała jej się podobać, zdołała jednakże to ukryć. Wściekłość wydała z siebie zaledwie kilka prychnięć.

– Ale przecież ja tam byłem, na działce – mówił Feliks, głęboko rozżalony, już przy pachnącej kawce i kruchych ciasteczkach. – Jadzię spotkałem i Jasia, no, on tak trochę tego... z tą sklerozą... i powiedzieli mi, że was znów nie ma, Teofila zaprosiła was do Kalifornii, na jakieś wesele czy coś takiego. I Jadzia jakaś taka niechętna, a wy całkiem bez słowa...

Pomyślałem, że już nikomu nie jestem potrzebny, więc nie będę się narzucał... Jaś wszystko obcinał...

– Skleroza, nie skleroza, ale suche obcinać umiał – wyrwało się Leokadii.

– Jadzia była obrażona, że Teofila i jej nie zaprosiła – wyjaśniła z urazą Paulina. – Nic nam nie powiedziała, myślałyśmy, że umarłeś, bo kto to widział, tak się ukrywać. Czy ja miałam padać przed tobą na kolana?

Padanie na kolana w zasadzie załatwiło sprawę. Przepraszać zaczął Feliks, któremu się pomyliło, kto tu na kogo właściwie był obrażony, Paulina zdecydowała się okazać łaskawość, Leokadia skryła uciechę. Kościotrup w inspekcie poszedł w zapomnienie, bo wyraźnie było widać, że Feliks tam nie leży, a głowę posiada. Minione pięć lat obfitowało w tematy bardziej interesujące.

I dopiero nazajutrz uciekinierki zostały odnalezione i złapane, kiedy w towarzystwie Feliksa o dość wczesnym poranku i całkowicie dobrowolnie przybyły na działkę. W nocy nikt ich nie szukał i warty pod ich drzwiami nie ustawiał, nie było takiej potrzeby i słusznie oszczędzono wysiłków. Zjawiły się same, przywożąc ze sobą policji niespodziewany prezent w postaci Feliksa.

Do południa wyjaśniło się mnóstwo.

Niezwykłość zbrodniczego znaleziska najbardziej przypadła do serca patologowi, który, całą wiedzę zyskawszy niczym na półmisku, wręcz przywiązał się do pięknych szczątków, przemieszczonych do prosektorium. Zabójstwo nie budziło najmniejszych wątpliwości, samobójstwo nie wchodziło w rachubę, nikt nie zdoła odciąć sobie głowy i ułożyć się do wiecznego spoczynku w oddaleniu od niej. Nieszczęśliwy wypadek mógłby się przytrafić na szosie, zdarzyło się już kiedyś, że zsuwające się z ciężarówki arkusze blachy odcięły głowę motocykliście, bywało, że w polu,

w czasie żniw, kosa trafiła nie tam gdzie powinna, ale po pierwsze, głowy zawsze udawało się znaleźć w pobliżu, a po drugie, tu nie było ani szosy, ani żniw. Gdyby chociaż plac budowy, gdzie zawsze może coś na kogoś zlecieć, ale i to nie.

Czyste, uczciwe, rzetelne zabójstwo i cześć!

Ofiara tam leżała, gdzie padła, za to patolog mógł dać własną głowę. Nikt zwłok nie przemieszczał, nie ruszał, nie tknął, szkielet prezentował się wręcz konkursowo.

– Upadł prosto na twarz – objaśniał każdemu, kto mu wpadł pod rękę, po czym natychmiast przypominał sobie o braku twarzy. – To znaczy plecami do góry. W lewej ręce trzymał grabie, poleciały z nim razem i ułożyły się równolegle. W prawej ręce, zgiętej, też coś trzymał i to była niewątpliwie ta rzecz, bo niczego innego nie ma.

Tę rzecz technicy określili mianem pilniczka, bo żadna lepsza definicja nie przyszła im na myśl. Nietypowe było, nigdy wcześniej nie widzieli czegoś takiego, mogło się nadawać do różnych czynności, a już z pewnością do ostrzenia małych, gęstych ząbków oryginalnych grabi, przytulonych do kościotrupa.

Kościotrup zaś, wedle wszystkich czynników wziętych pod uwagę, liczył sobie lat pięć. Rzecz oczywista, jako kościotrup, wcześniej był żywą całością anatomiczną, która w doskonałym stanie przeżyła lat czterdzieści pięć, teraz, gdyby żyła nadal, osiągnęłaby mniej więcej pięćdziesiątkę.

Głowa została odcięta czymś bardzo ostrym, dokładnie w miejscu, jakie wybrałby z pewnością doświadczony i wprawny kat. Tu pojawiała się zgryzota. Zważywszy, iż profesja kata od dość dawna już podupadła całkowicie, zawodowców nie było co szukać.

– Czy państwo mieli tu może kiedyś kosę? – spytał smętnie komisarz Woźniak, któremu przydzielono dochodzenie, czym, w przeciwieństwie do

pana doktora, nie czuł się uszczęśliwiony. – Ewentualnie może sierp?

Śledztwo uparcie toczyło się na działce, gdzie technik z fotografem wciąż jeszcze przeszukiwali całe ogrodnicze mienie ruchome z nadzieją znalezienia czegoś, co może uda się zrozumieć i dopasować do zbrodni. Istniała także szansa, że dobije znienacka ktoś z przerażająco licznych użytkowników. Na razie komisarz miał do dyspozycji Leokadię, Paulinę, Feliksa, Marlenkę, Bronkę i cioteczną szwagierkę Leokadii, niezmiernie chudą Cecylię. Chwilową nieobecność Teodorka spowodowała wizyta u dentysty. Nieszczęśliwym trafem żadnej z tych wszystkich osób przed pięciu laty na działce przez jakiś czas nie było i żadna nie umiała niczego wyjaśnić.

– Ja byłam raz – przyznała się cichutko Cecylia. – Ale to zaraz po waszym wyjeździe, w samym końcu maja, a może na samym początku czerwca. I Jaś tu z kimś rozmawiał o inspekcie, to znaczy o kompoście, to znaczy, że ma być oranżeryjka, to znaczy jakoś nie bardzo to wszystko zrozumiałam. Nie chciałam się wtrącać, posadziłam tylko tę żółtą różę, co ją wyhodowałam w domu, i przyjęła się. O, tam rośnie.

Wszyscy obejrzeli się na żółtą różę, rzeczywiście bardzo piękną.

– I podrapałam się okropnie, więc pojechałam do domu – zakończyła zeznanie Cecylia.

– A ten Jaś co? – spytał komisarz surowo, chociaż może niezbyt ściśle.

– O, już trzy lata, jak nie żyje, świeć, Panie, nad jego duszą! – westchnęła Bronka. – Ale i tak by się pan od niego niczego nie dowiedział, bo sklerozę miał okropną.

– I nie wiadomo, z kim wtedy rozmawiał? O tym inspekcie?

– Ja prawie nie widziałam – wyznała cichutko Cecylia. – Tak tylko spojrzałam, bardzo piękny mężczyzna, taki posągowy. Nie znam go wcale.

– Może Jadzia coś wie – podsunęła Bronka. – Jeśli kto, to tylko ona, siostra przecież. Mieszkali razem.

– I gdzie ona jest?

– W kościele pewnie, za duszę tego kościotrupa się modli...

Komisarz grzecznie poprosił o dane personalne Jadzi, która podobno sklerozy jeszcze nie miała, mimo przekroczenia siedemdziesięciu pięciu wiosen, twarda była i żylasta, na działce zatem należało się jej spodziewać. Po skupionym namyśle i obliczaniu lat na palcach Bronka wyznała, że tamtego lata też była raz, razem z Teodorkiem, ale to już w lipcu, na początku. Trochę porządku próbowali zrobić, wszystko tu szalało i nie dali rady, bo wtedy właśnie mieli pod opieką działkę kuzyna i w Nałęczowie głównie siedzieli. Dwie działki daleko od siebie i jeszcze własny dom, gdzie właśnie małe siostrzeniczki przyjechały na wakacje, to za dużo na normalnego człowieka, więc tu rzeczywiście zaniedbali. Tyle że pomidory zebrali, bo już po upałach zaczynały dojrzewać. I owoce...

Pogawędkę o witaminach komisarz uciął w zaraniu. Posępnie rozejrzał się po beznadziejnych świadkach, tak gęsto zaludniona działka i akurat tamtego roku w lecie nikogo nie było, co za ludzie! Zarazem błysnęło mu jednak, że gdyby byli, nie byłoby zapewne zbrodni...

Jedynej pociechy dostarczył mu milczący dotychczas Feliks. Przyznał się, że owszem, to na nim spoczywał obowiązek ogrodniczej opieki, ale po pierwsze, został stąd brutalnie wyrzucony, tak mu się przynajmniej wydawało, a po drugie... no, już trudno, wyzna ukrywaną prawdę, był chory. I akurat przyszła wiadomość, że ma szansę na operację w Szwajcarii, czekał na tę operację jak na zbawienie, nie będzie się wdawał w przykre szczegóły, ale pojechał. Kosztowało swoje, na szczęście udało się, dzięki czemu ciągle żyje i w dodatku jest zdrowy. Długo siedział, fakt, rekonwalescencja i tak dalej, a jak wrócił, pełen ulgi, nikomu nic nie

mówił, bo głupio mu było tak nad sobą wydziwiać. No i przyznać się, że tyle pieniędzy na siebie wydał... A działkę rzeczywiście zaniedbał, więc mu było jeszcze bardziej głupio, szczególnie, że prawnie za nią odpowiada.

No i wreszcie wyszło na jaw, kto tu jest właścicielem. Otóż Feliks. To na niego przepisał prawo użytkowania i nawet własności dziadek Pauliny i Leokadii, zarazem cioteczny pradziadek Joanny, stryj Jadzi i Jasia, oraz cioteczno–cioteczny dziadek Bronki...

O nie, tych komplikacji familijnych komisarz absolutnie nie wytrzymał. Uciął ostro, co najmniej jak tę brakującą głowę, zadał tylko z naciskiem jedno pytanie: – Dlaczego?!

– Bo uważał, że wszyscy, z babcią włącznie, jesteśmy pomyleni i nikt nie ma cienia rozumu w głowie – odparła beztrosko i bez namysłu Leokadia. – Albo się pokłócimy, albo zaniedbamy, albo nam to odbiorą, albo co.

– No i proszę, miał rację – wytknęła Paulina z niezrozumiałą satysfakcją. – Jest albo co.

Albo co komisarza, rzecz jasna, posunęło się dalej. Odnaleziona błyskawicznie żylasta Jadzia przypomniała sobie ów rok, kiedy to miała nastąpić zmiana w luksusach szklarniowych, bo sama była ciekawa, co z tego wyniknie. Otóż nic nie wynikło, czym poczuła się niezmiernie rozczarowana i zniechęcona, aż przestała tam wtedy bywać, szczególnie, że Jaś się pochorował. No owszem, na głowę, resztę miał zdrową, w głowie mu się tylko poprzestawiało i głupstwa straszne mówił.

Kto i skąd wytrzasnął owego fachowca, nie dowiedziała się nigdy, Jaś tylko o nim opowiadał, ale brednie takie, że uszy więdły i prawie odpadały. Że to ogrodnik znakomity. Że w ogóle ślusarz i szlifierz. Że porządny i dokładny, aż się w oczach mieni, siekiery wszystkie i piły pod jego ręką wprost przemawiają do człowieka. Że łopata sama z siebie każdy korzeń

przecina, a nawet machnąć i proszę, każdą gałązkę utnie, a Jaś do ucinania zawsze był chętny. Jadzia się nawet przestraszyła, że obaj razem z tym fachowcem jakiegoś szału dostali i łopatami drzewa poniszczą, albo sobie wzajemnie łby poucinają.

Ale Jaś wtedy właśnie tego zachwiania równowagi umysłowej dostał, więc już sam nigdzie nie jeździł, nie chodził, a tam coś jeszcze było robione. Z ciekawości pojechała popatrzeć i faktycznie, okna szklarniowe przy orzechu stały i miejsce na kompost było gotowe, ale człowieka nie spotkała i nawet nie wie, jak wyglądał. A jak pojechała trochę później drugi raz, to już ją zgniewało, bo nic więcej nie było zrobione. To niby co, bez Jasia fachowca nie ma? Jasiowi nie wolno pochorować? Zdenerwowała się i znów pojechała dopiero, jak Jaś trochę zdrowia odzyskał. I w ten sposób nic nie wie.

Wprost od Jadzi komisarz wrócił na działkę, ściągnięty telefonem technika, przy czym Jadzia skorzystała i pojechała z nim razem. Technik z fotografem dopchali się wreszcie do końca blisko czterdziestoletnich utensyliów ogrodniczych i wśród najrozmaitszych dziwnych rzeczy odnaleźli jedną, nad którą, ich zdaniem, warto było trochę się zastanowić.

W kącie altanki, wcale nie ukryta, tylko zasłonięta mnóstwem palików do pomidorów, drągów do głupiego jasia, osiągającego, jak wiadomo, wysokości cztery metry albo i więcej, siatką do pachnącego groszku, materacem z końskiego włosia i kompletem wędek, w tym dwóch nawet z kołowrotkami, jednym sprawnym, a drugim zepsutym, stała sobie spokojnie wyjątkowo wielka łopata. Nietypowa.

Komisarzowi przemknęło przez myśl, że cholernie dużo nietypowych narzędzi na tej działce spotyka, ale nie wdawał się w rozważanie zjawiska, bo w końcu ludzie miewają najdziwaczniejsze pomysły. Łopata jednakże do niego przemówiła.

Technik również.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Pan spojrzy, jak to jest wyprofilowane, we wszystko wejdzie jak w masło. I te krawędzie... ostrożnie! Ogolić się tym można na sucho, stal narzędziowa, widać, że używane, a rękawiczkę mi przecięło, o! Twarde drewno rąbać, gałązeczki przecinać...

Komisarz pomyślał, że ten nieżyjący Jaś chyba wcale nie miał takiej sklerozy, o jaką go posądzano.

– Państwo chyba rzadko tym kopali, bo tak w samym kącie stoi, schowana...?

– A kto miał tym kopać? – obraziła się Paulina. – To za wielkie i za ciężkie dla normalnego człowieka!

– Jak na rozmiary, taka ciężka nie jest...

– Moja siostra chciała powiedzieć, że dla przeciętnej kobiety – skorygowała uprzejmie Leokadia. – Ale rzeczywiście dużego chłopa do niej potrzeba, sam pan widzi, ktoś mniej wyrośnięty może nią sobie zęby wybić. W naszej rodzinie nieurodzaj na dużych chłopów.

Fakt, że używała jej niekiedy Marlenka, jakoś obu siostrom wyleciał z głowy. Łopata poszła do laboratorium.

Wielkich nadziei komisarz nie miał, ale kto wie, na rzadko używanym przedmiocie mikroskopijne ślady biologiczne mogły się zachować. Ukradkiem, kiedy nikt nie widział, sam wykonał nią potężny zamach, przymierzając się do głowy wyimaginowanego wroga i omal nie trafił w kolumienkę z sygnalizacją świetlną przed tylnym wejściem do służbowego budynku. Świsnęło, jak się patrzy. Zimny pot go oblał na myśl, jak łatwo mógł dokonać dewastacji, nie dość, że karalnej, to jeszcze kompromitującej.

W końcu jakieś narzędzie zbrodni musiało w wydarzeniu brać udział. Prawie uwierzył w łopatę, chociaż trzy imponująco sprawne siekiery aż się prosiły, żeby ich nie lekceważyć.

Laboratorium na niczym nie znalazło żadnych śladów ludzkich, czemu trudno się dziwić, bo pięć lat robi swoje. Częściej czy rzadziej, jednakże wszystko było używane, oblepiane ziemią, drewnem i szczątkami roślinnymi, czyszczone, myte wodą, zalewane deszczem, a na doskonale gładkich rękojeściach widniał wiekowy gąszcz poplątanych linii papilarnych. Pięcioletnie nie miały już żadnych szans.

Mimo iż w komendzie każdy ma swoją robotę i swoje śledztwo, to jednak niekiedy się rozmawia. Współpracownicy komisarza poczynili różne uwagi.

– Odciął, dobra, i co z tą głową zrobił?

– Poleciała gdzieś...?

– Gdzie niby? W kosmos?

– A po cholerę miała lecieć? Wystarczyło, że pod nogi, znalazł i zabrał ze sobą, żeby utrudnić identyfikację.

– Albo z miłości. Była w historii jakaś facetka, coś mi się przypomina, głowę gacha od kata wycyganiła i wiozła ją w karecie na pamiątkę...

Historia przeważyła, głowę uznano za łup sprawcy. Identyfikacja ofiary utknęła radykalnie, odciski palców nie istniały, zębów nie było, skoro nie było i głowy, kościec w idealnym stanie nie miał żadnych znaków szczególnych, nic nie było krzywe, nic nigdy nie było złamane. Co za potworny facet, żeby nawet w dzieciństwie najmniejszego gnatka sobie nie uszkodzić...?!

Przeszukanie niewyjaśnionych zgłoszeń o zaginięciach sprzed pięciu lat dało rezultat zerowy. Żadnego mężczyzny w średnim wieku, albo staruszkowie, albo młodzież, albo w ogóle kobiety. Gdyby nie to, że każdy

mógł obejrzeć i nawet pomacać piękny szkielet bez głowy, nikt by w jego istnienie nie uwierzył...

Śledztwo utknęło i chwilowo poszło ad acta ku ostatecznemu przygnębieniu komisarza Andrzeja Woźniaka.

Po czym minęło następne pięć lat.

* * *

– Słuchaj, mam okropny problem – powiedziała do mnie zdenerwowana Baśka, moja przyjaciółka, wyplątując spod nóg swoją szwedkę, potrzebną jej, moim zdaniem, jak dziura w moście. – I w ogóle nie wiem, co z tym fantem zrobić, nie ma na świecie nic gorszego niż spadki. Liczę na to, że mi pomożesz.

– W życiu nie dostałam żadnego spadku, więc nie jestem pewna – odparłam w zadumie. – Nie mam doświadczenia. A bo o co chodzi?

– Ale wiem, że miałaś działkę. Taką zwyczajną, pracowniczą. Miałaś, nie?

Musiałam się zastanowić.

– No owszem. Moja rodzina miała, nie ja. Taka dalsza rodzina, ale czasami tam coś robiłam. Co zrobiłam, to mi psuli, więc się rychło zniechęciłam, za to mściwie pamiętam.

– Co ci psuli? – zaciekawiła się Baśka i odczepiła wreszcie szwedkę od siebie, siadając wygodniej na ogrodowym krześle na moim tarasie. Ostrożnie oparła ją o turystyczny stolik.

– Na przykład zatrwian – odparłam, przyglądając się krytycznie jej wysiłkom. – Po cholerę to w ogóle nosisz ze sobą? Już dawno ci się noga zrosła.

– Dawno, jak dawno, ale owszem. Fakt. I w samochodzie muszę ją ukrywać, żeby mnie gliny nie posądziły o inwalidztwo, bo zaraz się zacznie

grubsza polka. Ale za to w każdym tłoku mam pierwszeństwo i mowy nie ma, żebym kogoś przeczekiwała, chyba że w przychodniach lekarskich.

– W przychodni lekarskiej, i to takiej za pieniądze, nawet facet na wózku inwalidzkim nie ma pierwszeństwa...

– W takich miejscach rozpusty ja rzadko bywam, liczę na jej pomoc raczej w innym zakresie. I co ten zatrwian?

– Znasz roślinkę. Po zasianiu on musi kiełkować w ciemności, przykryty, dopiero potem się go rozsadza, jak już trochę urośnie. Posiałam go gęsto w pudełku od butów i przykryłam wieczkiem, nawet kamienie położyłam na wierzchu. I pierwsza rzecz, ktoś przyleciał i starannie go odkrył, ledwo te nasionka zaczęły ruszać. Oczywiście wszystko szlag trafił, bo ja nie miałam czasu tak często tam bywać. Jak przyszłam, to już uprawę diabli wzięli.

– Po cholerę odkrył?

– Z dobrego serca. Żeby roślinka miała światło.

– I co?

– No, nie zabiłam go przecież, bo i tak nie wiedziałam, kto to był, ten uczynny. Ta, nie ten. Któraś baba. A później rozflancowali mi gąszcz nieśmiertelników, a właśnie miał być gąszcz. I ja to mam zapomnieć?

– Otóż to, gąszcz – westchnęła Baśka. – Nie, zapomnieć nie da rady. Ale ja właśnie dostałam w spadku gąszcz i nie wiem, co zrobić.

Piłyśmy sobie herbatkę na tarasiku, który nie zaliczał się do żadnej działki, tylko był fragmentem mojego własnego domu na zwykłej, małej parceli mieszkalnej. Małej, na większą nie miałam pieniędzy.

Baśka, młodsza ode mnie o prawie dziesięć lat, była postacią dość niezwykłą i nader barwną. Nazwisko nosiła arystokratyczne, rodzinę, niegdyś rozgałęzioną, miała już mocno skurtyzowaną, wielokrotnie uciekała z domu w sposób raczej nietypowy, nie w tajemnicy, tylko jawnie,

informując, że ucieka i wróci jak będzie chciała. Wracała oczywiście w rozmaitym stanie, to głodna i brudna, to z nagrodą za ratowanie tonących, względnie wyniesienie dziecka z pożaru, to z forsą, wygraną w pokera od zawodowych szulerów, nigdy chora, a zawsze bardzo zadowolona. Jakim cudem przy takim trybie życia zdołała zdać maturę, nikt nie potrafił zrozumieć, a tym bardziej skończyć technikum samochodowe. Z tym, że przy technikum już nie uciekała, nie miała skąd uciekać, bo nikt jej nie pilnował. Była pełnoletnia.

Nogę złamała ostatnio na lodzie. Świetnie jeździła na łyżwach, ale nigdy nie pchała się do żadnych konkursów ani zawodów, a tym bardziej treningów. Nienawidziła sportu, przymusu i systematyczności. Czasem pracowała jako kierowca, czasem jako mechanik samochodowy, a czasem jako modelka, prezentująca wieczorowe i balowe obuwie, bo nogi miała rewelacyjne. A czasem nie robiła nic.

Uparła się, że nigdy nie wyjdzie za mąż i postanowienia święcie dotrzymywała, mimo iż prawie każdy gach pchał się do ślubu z jakąś zaćmą na oczach. Po co im była żona, która nie umiała gotować, nie cierpiała żadnego sprzątania, nie chciała mieć dzieci, żelazka w ręku, ani też igły, nigdy w życiu nie trzymała, ogólnie była wściekle rozrzutna i nie posiadała żadnego posagu, ciężko odgadnąć. W dodatku była lepszym kierowcą, niż każdy z nich.

Znałam ją od lat i coraz bardziej wydawało mi się, że jej beztroska jest pozorna i trzyma się na kruchym lodzie. Gryzło ją coś, co starannie ukrywała, ale nie usiłowałam się w to wedrzeć. Czasem widywałyśmy się codziennie, a czasem raz do roku, zazwyczaj bez racjonalnych powodów, wyłącznie dla przyjemności. Tym razem powód był, Baśka przyleciała po radę.

– Widzę wyraźnie, że ten gąszcz zatruwa ci życie – stwierdziłam. – Właściwie dlaczego? Gąszcz jak gąszcz, ludzka rzecz. Gdzie ona w ogóle jest, ta twoja działka?

– Koło Siekierek. Tak w kierunku na Zawady.

– Żartujesz! Gdzie dokładnie? Czekaj, przyniosę plan miasta.

Uzgodniłyśmy miejsce i okazało się, że jej spadkowa działka i moja rodzinna znajdowały się prawie naprzeciwko siebie, po dwóch stronach wąskiej alejki. Wysiliłam pamięć.

– Czekaj, ja ten twój gąszcz znałam osobiście! Tak ogólnie byłam tam może z dziesięć razy, ale on wpadał w oko, a nasłuchałam się o nim do wypęku, bo tam się różni pedanci awanturowali. Mnie się podobał i byłam po stronie właścicielki, rozumiem, że twojej babci...

– Ciotecznej babci.

– Wszystko jedno. Ostatni raz to już było najmarniej ze dwanaście lat temu, więc może się trochę rozrósł. I co? Chcesz go zostawić, czy wyrzucić?

Baśka westchnęła ciężko.

– Ja nic nie chcę. Nie mam do gąszczu osobistego stosunku, a jeśli jakiś śladowy, to raczej pozytywny. Ale razem ze spadkiem babcia zostawiła list do mnie i otworzyłam go dopiero teraz. I prosi mnie grzecznie, żebym śmietnik po niej jednak zlikwidowała, ale nie brutalnie, tylko z uczuciem i wyłącznie do mnie może mieć pod tym względem zaufanie. Sama rozumiesz...

– Cholera.

– Rozbestwił się ten jej gąszcz przesadnie i nawet się do niego przymierzała, ale nie ma siły i cześć. A ja jestem młoda, zdrowa jak bydlę... nie, nie napisała bydlę... bardziej elegancko. I chłopaka jakiego podpuszczę, więc dam radę. Ale jak nie, to nie, nie będzie mnie straszyć zza grobu. Ale

gdybym z sercem podeszła, podwójną uciechę jej sprawię na tamtym świecie. Amen. No i tyle. Nie wiem, dlaczego podwójną.

Pokiwałam głową, wypiłam trochę herbaty, pozastanawiałam się chwilę.

– Zgryzota. Rozumiem, że spełnisz życzenie babci?

– A ty byś nie spełniła?

– Spełniłabym. Zwracam ci tylko uwagę, że jestem starsza od ciebie. Ale twój Patryk solidnej postury, da chyba radę?

– Bez problemu. I charakter ma łagodny. To myślisz, że jak to zrobić? Bo na ogrodnictwie się nie znamy, ani on, ani ja. Ja tylko na kwiatach w gotowej postaci.

Myśl o Patryku zdecydowanie podniosła mi poziom optymizmu, w gruncie rzeczy do takich robót trzeba mieć tylko dużo siły i cierpliwości. Pomachałam ręką uspokajająco.

– Jest wrzesień, doskonała pora na porządki w roślinkach. Narzędzia tam pewnie po babci zostały?

– Zostały. Widziałam je. Dużo różnych. Na wierzchu był zepsuty samowar i kocher w doskonałym stanie. I czajnik.

Pochwaliłam wyposażenie i udzieliłam jej stosownych instrukcji. Jedno tylko wyciąć, drugie wykopać i spalić, zielska też, taki popiół idzie potem na kompost, na pewno zrobią tam sobie kawałek miejsca na ognisko...

– I puścimy z dymem pół miasta... – rzekła Baśka smętnie i zapaliła papierosa.

– Wybierz bezwietrzny dzień. I bez pośpiechu, po kawałku, bo na pewno coś się przyda, przyjrzysz się z bliska i rozpoznasz. A większość wyciętego i wykopanego, nie ma obawy, na wiosnę znów wyrośnie, ale wtedy łatwiej będzie przetrzebić. Czekaj, mam tu różne poradniki i tym podobne, zaraz je obejrzymy. Chodźmy do środka, nie będę z tym nabojem po całym domu latała.

Już po godzinie Baśka doznała ogromnej ulgi i spadek po ciotecznej babci zaczął tracić swój ciężar. Nabrała jakiejś tajemniczej nadziei, co najmniej tak, jakby znienacka zalęgła się w niej miłość do ogrodnictwa. Obiecałam, że przyjadę w wolnej chwili i rzucę okiem.

* * *

Wolnych chwil brakowało mi tak bardzo, że Baśka zdążyła pierwsza. Najpierw zadzwoniła, mocno zadyszana i powiadomiła mnie, że praca ogrodnicza zaczyna jej się bardzo podobać, takie różne grube i zdrewniałe świetnie się tnie przy ziemi sekatorem na długich rękojeściach, a różne zielska giętkie nawet sierpem. Okazało się, że umie, nie odcięła sobie nogi ani palca, za to znalazła złoty zegarek nie wiadomo czyj, może babci, a może innej osoby, ale właściciela nie będzie szukać, bo jako zegarek, ten przedmiot dawno zapomniał, do czego miał służyć. Więc zguba jest z pewnością przedawniona. Złoto jednakże zachowało swoją pierwotną postać i może się przydać.

Zaraz następnego dnia przyjechała do mnie bez zapowiedzi, nie sprawdzając nawet, czy jestem w domu, nieco zakłopotana i jakby w filozoficznej zadumie. Nie spodziewałam się żadnej sensacji, bo zdenerwowania i emocji nie było w niej ani śladu.

– Zajmę ci trochę tego, jak mu tam, czasu, co? Ucieszysz się.

– Do uciech zawsze jestem chętna. Chcesz herbaty czy kawy?

Baśka zastanowiła się.

– Tego, co łatwiejsze – zadecydowała i usiadła przy stole. Szwedki już ze sobą nie miała. – Tylko żadnego jedzenia! – zastrzegła się gwałtownie.

Herbata sama mi w ręce weszła, pożywienia jakoś w okolicy nie było, też usiadłam. Wiał wiatr i chmurki latały po niebie, taras nie ciągnął. Zaczęłam coś węszyć.

– Zrezygnowałaś z laski?

– Nie przyniosła mi fartu, więc niech się nudzi w kącie. A bardzo na nią liczyłam. Wyobraź sobie, że jak tam byłam pierwszy raz i rzucili się na mnie o ten gąszcz, akurat ją zostawiłam w samochodzie. Taką miałam ochotę zaprzeć się, że nic nie mogę, bo jestem kulawa i co? Dęta chała. A zaraz potem list od babci, no i mamy dalszy ciąg.

– Zaczynało ci się podobać? – przypomniałam ostrożnie.

– I podoba mi się coraz bardziej. Czekaj, zamierzam być systematyczna. Babcia miała już tę działkę, jak ja się urodziłam, znaczy najmarniej trzydzieści cztery lata, a możliwe, że dłużej. Gąszcz się jeszcze nie zagnieździł, bo jakaś rodzina się pętała, no i babcia była młodsza. Ale chyba już ruszył. Miał czas...

Westchnęła, sięgnęła po papierosa, pomacała po stole w poszukiwaniu zapalniczki, zapaliła. Poszłam za jej przykładem.

– No dobrze, wal ten dalszy ciąg.

– Znalazłam bardzo starą portmonetkę z bilonem współczesnym, jedenaście złotych i czterdzieści dwa grosze, potem małe nożyczki, chyba krawieckie, takie z ząbkami...

– To nie krawieckie, tylko do słomy. I do ozdobnego zielska.

– Co...? Możliwe. A ostatnio... takie coś, co mi przez usta nie przejdzie. Wczoraj.

– Jadalne...? – spytałam podejrzliwie. Baśka zachłysnęła się herbatą.

– No... wiesz... zależy. Jak dla kogo...

Przez chwilę milczałyśmy obie. Zalęgło mi się tysiąc dwieście pytań, ale wyraźnie czułam, że idiotyzmem byłoby spodziewać się na nie odpowiedzi.

– Myślę, że teraz już powinnaś tam ze mną pojechać – powiedziała i trochę jeszcze pokasłała. – Bo nie wiemy, co zrobić.

Też byłam takiego zdania. Licząc na mnie, Baśka przyjechała taksówką, bardzo rozsądnie. Po krótkim namyśle zabrałam ze sobą aparat fotograficzny.

Na ławeczce pod altanką czekał już Patryk, z widłami pod ręką. Od razu mnie zainteresowało, dlaczego akurat widły wybrał do usuwania tego czegoś tajemniczego i niejadalnego, ale nie pytałam w przekonaniu, że za chwilę się dowiem. Ucieszył się na nasz widok ogromnie. Lubiłam go i miałam wielką nadzieję, że Baśka już przy nim zostanie, nie wprowadzając żadnej odmiany.

– Czekam na was i jestem przygotowany na wszystko – oznajmił. Uniósł widły i stuknął nimi w stwardniałą pod zielskiem ścieżkę. – Co teraz? Co mam robić?

Świetnie, Patryk, jak widać, chętny, ale pytanie: do czego? Rozejrzałam się, nic mi z tego nie przyszło, spojrzałam na Baśkę. Oni obydwoje patrzyli na mnie z niepewną nadzieją.

– Gąszcz – powiedziała Baśka z ciężkim westchnieniem.

No i wreszcie gąszcz udzielił odpowiedzi. Zniweczony został już bardzo porządnie, można było przedrzeć się prawie do środka matecznika. Dalej już nie, bo rosła tam jakaś zwyrodniała, powyginana, straszliwie gęsta akacja o kolcach zgoła morderczych, uczyniłam zatem tylko kilka kroków. Środek wycięty był w połowie, jakby w półkole, w tym półkolu zaś leżało znalezisko, bez wątpienia kłopotliwe. Trudno tego było nie zauważyć.

Czaszka.

Najprawdziwsza w świecie, wyglądająca na ludzką, z oczodołami, z wyszczerzonymi zębami, doskonała do straszenia we wszelkich okolicznościach. Leżała sobie w zielsku jeszcze nienaruszonym i robiła takie wrażenie, jakby leżała tam już od początku świata. Samotna czaszka bez żadnych elementów dodatkowych. Wygodnie jej było.

Obejrzałam się na Baśkę.

– Cioteczna babcia była wdową? – spytałam delikatnie.

– Wdową. Ale cioteczny dziadek został pochowany w całości, bo wiem, co masz na myśli. W licznej asyście całej rodziny, chodziłam już do szkoły i pamiętam. Zresztą można go obejrzeć w rodzinnym grobowcu, to kaplica na cmentarzu w Woli Szydłowieckiej, pomieszkałam tam trochę za którąś ucieczką. Krótko. Dziadek oszklony, głowę było widać.

Obejrzałam się na Patryka.

– Ty masz jakieś pojęcie, w jakim to może być wieku?

– Mniej niż tysiąc lat i więcej niż pięć – odparł Patryk bez wahania.

– No tak. Pewna rozpiętość jest...

Wycofałam się z oczyszczonego półkola, nie ciągnęło mnie do bliższej znajomości ze szczątkiem. Jakaś tępota na mnie spłynęła, żadna sensowna myśl na razie nie przychodziła mi do głowy.

– Rozumiem, że nie wiecie, skąd to się tu wzięło...

– Mieliśmy nadzieję, że może ty będziesz wiedziała, znasz te działki dłużej. Ale problem nie w tym.

– A w czym?

Baśka westchnęła, też obejrzała się na Patryka, też się cofnęła, wszyscy razem usiedliśmy na ławeczce pod altanką. Z tej odległości czerep w zieleni był prawie niewidoczny i nie mącił myśli.

– Chcemy posiadłość sprzedać. Podobno teraz już można.

Zdziwiłam się trochę.

– No owszem, można, ale przecież zaczęła ci się ta cała ogrodnicza robota podobać?

– Nie spodziewałam się cmentarnych dodatków. Tak mi jakoś zaleciało grabarzem i trochę mnie zniechęciło. A poza tym chyba jednak bardziej podoba mi się parę złotych.

– Powiedzieli nam, że za uporządkowaną działkę uda się więcej wypertraktować – wtrącił Patryk smętnie.

Jasne, była to prawda, mogłam potwierdzić. Baśka zwróciła mi uwagę, że niepożądany dodatek może obniżyć cenę. Też przyświadczyłam.

– No to powiedz teraz, co z tym czerepem zrobić – zażądała. – Bo możliwości są różne, tyle sama wiem, natomiast nie wiem, którą wybrać.

Zaskoczenie trochę mi przeszło, otumaniony niespodzianką umysł ruszył, zaczęłam wyliczać.

– Założyć rękawiczki, iść do supermarketu, wziąć dużą, nową, foliową torbę, wepchnąć do niej tę głowę i wyrzucić do byle którego śmietnika, najlepiej na ruchliwym dworcu kolejowym. Wykopać głęboki dół, wrzucić szczątek, zakopać i posadzić na tym... czekaj, albo niezwykle piękną różę, albo chrzan...

– Dlaczego chrzan?

– Nie pozbędziesz się go przez stulecie. Żebyś nie wiem, co robiła, rośnie i rośnie. Porąbać i potłuc na drobne kawałki, zęby szczególnie...

– Dlaczego zęby?

– Po zębach najłatwiej stwierdzić tożsamość, a nigdy nie wiadomo, co z takiej tożsamości wyniknie. Jechać nad jakieś głębsze jezioro, względnie nad morze i wrzucić do wody, też w torbie, w towarzystwie paru kamieni. Kontrastowo, potłuczone i porąbane spalić na ognisku i rozsiać popiół gdzie popadnie. W ostateczności można zawiadomić policję i to akurat wymaga najmniej wysiłku.

– Ograniczenie wysiłku bardzo do mnie przemawia – pochwaliła Baśka po krótkim namyśle. – Tylko chyba też nie wiadomo, co z tego wyniknie?

Wreszcie zaczęłam się zastanawiać porządniej. Znałam rozmaite działki rzeczywiście od lat, głównie z plotek i opowieści, bardziej i mniej sensacyjnych, dziwactwa przytrafiały się gdzieniegdzie imponujące, ale

zleżałych ludzkich kości jeszcze nie było. Świeże zwłoki, a, to owszem, ale stare...? Chociaż... Czy nie obiło mi się o uszy, jakoś tak migawkowo...

Nie, nie przypomnę sobie, może to było jeszcze z wojny i w złym stanie. I może na Okęciu, a nie tu. Odczepiłam się od bezproduktywnych usiłowań, a za to ocknęła się ciekawość.

– Po pierwsze, zrobiłabym temu zdjęcie, mam aparat...

Po pięciu minutach fotograficznych starań ponownie usiedliśmy na ławeczce. Baśka z Patrykiem cierpliwie czekali na przejawy mojego intelektu. Okazał jakiś cień przyzwoitości.

– Po drugie, nie dotykaliście tego własnymi rękami?

– A Boże broń! – żachnął się Patryk. – Szturchnąłem lekko sekatorem, ale na własny grób przysięgam, ledwo co, jak motylek!

– Nie możesz przysięgać na cokolwiek innego? – skrzywiła się z wyrzutem Baśka.

– Skojarzenie samo w ręce wchodzi...

Baśka popukała się w czoło, wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

– Co do mnie, nie posądzasz mnie chyba, że rzuciłam się we łzach tulić szczątek do łona? Nie jestem przesadnie wrażliwa, ale bezpośredniego kontaktu z odpadkami bardzo się brzydzę. Wzrokowy może być.

Kiwnęłam głową, znałam Baśkę, mogłam im uwierzyć.

– Po trzecie, osobiście zaświadczę, że jeśli ta rzecz ma więcej niż trzy miesiące, nie możecie z nią mieć nic wspólnego, bo w ogóle was tu nie było. Patryka nigdy, a ciebie... – zastanowiłam się nad Baśką – o ile sobie przypominam, od szesnastu lat. Znam cię trochę dłużej, pamiętam, zostałaś wtedy przymuszona przyjechać i pokazać ciotecznej babci maturę.

– Jakim cudem możesz to pamiętać? – zdumiała się Baśka. – Ja sama zdążyłam zapomnieć.

– Zbiegło mi się – wyznałam ponuro. – Szczegóły przerosłyby encyklopedię w trzynastu tomach i *Baśnie z 1001 nocy* w pełnym wydaniu, więc na razie damy im spokój. Od tamtego czasu cię nie było, to wiem także od ludzi. Tutejszych, którzy nawet grymasili, że zła wnuczka wcale babci nie pomaga, więc świadków na nieobecność możesz mieć zatrzęsienie.

Baśka nie kryła wstrząsu.

– No i popatrz, jacy ci ludzie bywają czasem użyteczni...!

– Po czwarte, gąszcz mówi sam za siebie. Każdy fachowiec botaniczny rozpozna, kiedy to było ludzką ręką tknięte, nie usuwajcie już niczego więcej, niech zostanie jak jest. A po piąte, zadzwonię do takiego jednego i zapytam, ile kłopotu wam narobią przy załatwianiu praworządnym, to gliniarz i znam go od lat. Nawet od razu zadzwonię...

Zadzwoniłam, ale komórka odbiorcy powiadomiła mnie, że abonent chwilowo niedostępny, przełożyłam zatem rozmowę na później. Odpracowałam niewielki spacer, obejrzałam sąsiednie działki, stwierdziłam duże zmiany, wróciłam na ławeczkę.

– Jedenaście lat mnie tu nie było i bardzo jestem z tego zadowolona, ta działka naprzeciwko, która mnie zbuntowała, jakoś dziwnie wygląda i wcale mi się nie podoba. Dobrze zrobiłam, że ją skreśliłam z życiorysu. Jeśli chcecie to sprzedać, wcale was nie zniechęcam, tylko może jednak istotnie, bez głowy...

Debata trochę nam się przedłużyła, korzystając ze spadkowego wyposażenia altanki w utensylia kuchenne, Patryk przyrządził kawę. Z zawodu był konserwatorem metalowych przedmiotów zabytkowych i dysponował dużą zręcznością manualną, nie sprawiło mu zatem trudności posłużenie się dostępnymi fragmentami gospodarstwa domowego, choćby

nawet sprzed pięćdziesięciu lat. Kawa była współczesna, przezornie kupiona w sklepie już przy pierwszej wizycie.

– Poczekamy z rozśmieszaniem policji, aż się dogadasz z tym swoim gliniarzem – zadecydowała wreszcie Baśka.

Patryk machnął łyżeczką w kierunku głowy w zielsku.

– Obejrzałem wnikliwie bez podawania rąk – oznajmił. – Chciałem powiedzieć bez dotykania, jak w muzeum. Przysięgnę, że ona została odcięta bardzo wprawnie, jednym ciosem i ostrym narzędziem. Albo kat, albo doskonały szef kuchni. Trafił idealnie pomiędzy kręgami szyjnymi, jak przy gęsi na przykład.

Baśce udało się nie prychnąć kawą.

– Aborygen z pochodzenia...? Odciął niepotrzebne, a resztę przyrządził...?

– Teraz tyle się tych dziwnych knajp namnożyło, że wszystko jest możliwe – powiedziałam kojąco. – Ale Patryk mówi, że to starawe, więc potrawa już wyszła...

– Albo się zaśmiardła – poparł mnie gorliwie Patryk.

– A jak zakonserwował...?

– Na wszelki wypadek jedz tylko znajome. I świeże. A swoją drogą, zaczynam się poważnie zastanawiać, skąd to się tu wzięło? Ktoś się pozbył czerepu jedną z metod, jakie tu rozpatrujemy...?

Wiekowy gąszcz ciotecznej babci stwarzał liczne możliwości. W czasach, kiedy jeszcze domagano się od niej zrobienia z nim porządku, któryś uparty pedant mógł jej dostarczyć prezent złośliwie, z nadzieją, że woń zrobi swoje. Mogli się zabawić dowcipni chuligani. Ale czaszka była prawdziwa, skąd ją, do licha, wzięli? Jakaś dawna zbrodnia, nigdy nie rozwikłana? Sprawca wysilił się trochę i rozproszył zwyciężonego wroga

po całym kraju, tu ręka, tu noga, tu łeb, a jeszcze gdzie indziej porąbane na kawałki części miękkie...?

– Wszystko zależy od tego, w jakim dokładnie ona jest wieku – zaopiniował rozsądnie Patryk. – Ta głowa. Może pochodzić z czasów, kiedy zdarzyło się coś jeszcze nieumorzone i uda im się ją dopasować.

– Ale jeśli nie zdołają uściślić...

– No to klops – Patryk odwrócił się do mnie. – W rodzinie ciotecznej babci, o ile wiem od Baśki, na gwałtowne czyny urodzaju nie było. Nie było, co? Znasz ją dłużej niż ja?

Pokręciłam głową.

– Nie, to raczej ja w pierwszej fazie znajomości dostarczałam rozrywek. Baśka wiernie trzymała się uczciwego hazardu.

– I teraz też bym się trzymała, gdybym miała za co – westchnęła smętnie Baśka. – A co do gwałtownych czynów, to one były, owszem, ale o wiele wcześniej i słowo daję, że nawet żadnej mojej prababci świat jeszcze nie oglądał, o mnie nie wspominając. Zdaje się, że wszystko przedawnione, nawet jako zbrodnie wojenne, bo w grę wchodziła pierwsza światowa.

– A nie napoleońskie? – zainteresował się podejrzliwie Patryk. – Albo szwedzkie?

– Szwedzkich nie jestem pewna, ale napoleońskie tak, masz rację. Coś słyszałam.

– Ogólnie wybór mamy duży – mruknęłam.

Siedzieliśmy na tej ławeczce, wpatrzeni w osłoniętą zielskiem czaszkę, która najwidoczniej wydzielała z siebie jakieś fluidy, bo Baśkę znienacka opadły wspomnienia. Ożywiła się.

– No i na to właśnie liczyłam – wyznała bezwstydnie. – Na to mienie po przodkach, bo pogłowie się wykruszało, a co trzy czwarte pokolenia

objawiał się ktoś skąpy i chciwy, kto wściekle ograniczał wydatki. Łupy rosły zamiast maleć.

– Wojny zachowaniu złupionych majętności nie sprzyjają.

– Każdy chciwy doskonale o tym wiedział. Ale każdy miał swoje poglądy i doświadczenie dziadków z tych poprzednich wojen, więc ukrywał majątek po swojemu. Jakoś wyszło w końcu na jaw, że to wszystko jest rozproszone, w kawałkach, tu coś w grobowcu, tam coś w jakiejś piwnicy, coś jeszcze gdzieś jeszcze, rozmaicie. Jedyny rozumny pomysł mieli wszyscy zgodnie, mianowicie żadnego papieru. Tylko trwałe i odporne, złoto i drogie kamienie. No i oczywiście jak już okazało się, że do tego dziedzictwa zostałam sama, nawet się ucieszyłam, postanowiłam skorzystać i natychmiast okazało się drugie. Że spis rzeczy, informacja o miejscach ukrycia, znajduje się w posiadaniu jakiegoś faceta, o którym w życiu nie słyszałam. I tyle z tego mam do dnia dzisiejszego.

– Może tego już wcale nie ma... – zaczął Patryk pocieszająco.

– Bez przesady – powiedziałam równocześnie. – Jak cię poznałam, wydawałaś się jednostką majętną od urodzenia, proponowałaś mi nawet wtedy coś tam i bym to od ciebie kupiła, ale zabrakło mi pieniędzy.

– A, tak! – westchnęła Baśka. – Mój błąd, na koniec zostawiłam sobie takie bardzo drogie. Ale i tak miałam fart, jeden gruby ode mnie kupił, akurat wygrał w pokera i szarpnął się z gestem. Szczęście, że znałam tych wszystkich szulerów!

Zgodnie pochwaliliśmy towarzyskie urozmaicenia. Baśka wyciągnęła z torby nową paczkę papierosów.

– Ale być, to ono chyba jest – ciągnęła w zadumie. – Bo te ostatnie znalazłam przypadkiem właśnie w grobowcu ciotecznego dziadka z szybką. Nie w trumnie dziadka, ona za młoda, ale tak trochę niżej i w kącie, świeczki szukałam...

– Była tam?

– Była. Stara jak świat, woskowa. Musiał ktoś z diabłem mieć konszachty, bo właściwie to był ogarek. Akurat mi starczył na trzy dni pobytu.

Zdziwiłam się.

– Zrozumiałam, że twój spadek był ukrywany wcześniej? A jak cioteczny dziadek umarł, sama mówisz, że już chodziłaś do szkoły. Nie za młody na ten ogarek?

– A skąd! To dzieło przodków. Dziadek leży na wierzchu, a pod nim protoplaści. Ten grobowiec ma najmarniej dwieście lat, trochę się zdążył nadwyrężyć i gołą ręką można w nim grzebać. I zabij mnie, ale nie wiem, skąd wiedziałam, że tam musi być świeczka.

Słuchałam z zainteresowaniem, nieco zaskoczona, bo pierwszy raz przytrafiła się Baśce taka obszerna i beztroska wypowiedź na temat spadku po przodkach. Na ogół nie wdawała się w szczegóły finansowe swojej egzystencji, czasem tylko wyrywała jej się jakaś drobna uwaga, że nie ma pieniędzy, bo najwidoczniej los jej nie lubi, ale mieściło się to w ramach narzekań powszechnych. Możliwe, że czaszka wstrząsnęła nią bardziej, niż chciała się przyznać.

Chciałam zapytać, czy tego faceta ze spisem informacji nie szukała, bo jakoś nigdy dotychczas nie zgadało nam się na jego temat, Baśka była powściągliwa, zapewne nie miała ochoty rozpamiętywać swojej klęski, a ja nie nalegałam, ale nie zdążyłam. Brzęknęła moja komórka i odezwał się w niej Robert Górski, mój od wieków znajomy gliniarz, obecnie wysokiej szarży.

– Dzwoniła pani do mnie. Witam, kopę lat! Pewnie coś się stało...?

* * *

Komisarz Andrzej Woźniak zapukał grzecznie i wszedł do gabinetu inspektora Górskiego akurat w chwili, kiedy Górski rozpoczął już rozmowę przez własną, prywatną komórkę. Wyraz twarzy miał dziwny, zarazem rozweselony i zatroskany, zaniepokojony i pełen zainteresowania, i trudno było odgadnąć, właściwie chce rozmawiać, czy nie. Woźniak zawahał się w drzwiach, ale Górski pomachał ręką, zapraszającym gestem wskazując mu krzesło. No więc usiadł.

Nie był głuchy, a Górski nie szeptał, komórka zaś działała z natężeniem gigantofonu, ponieważ kwadrans wcześniej prowadzona była przez nią niezmiernie ważna rozmowa, której musiały wysłuchać dwie równie ważne osoby, obecne w owej chwili w gabinecie inspektora. Osoby wysłuchały i szybko wybiegły, a Górski zapomniał wyłączyć głośność.

Woźniak wysłuchał zatem wszystkiego. Z drugiej strony była jakaś baba.

– ...przeszło jedenaście lat moja noga tam nie stanęła, ale z dawniejszych czasów ten gąszcz pamiętam. Baśki Rościszewskiej nie było szesnaście lat, tego jestem pewna. Ściągnęła mnie teraz dla tej głowy, bo nie wie, co robić. Streściłam jak mogłam, co pan na to?

W Woźniaku nagle coś pisnęło cienko i przenikliwie, i cały zamarł, zostały mu tylko uszy. Górski nie zwracał na niego uwagi.

– Jest pani pewna, że to ludzka?

– Wszyscy troje jesteśmy pewni. Pełnoletni, trzeźwi, dla strony obcy... a przynajmniej taką mamy nadzieję... niekarani. Nikt z nas nie macał tego czerepu, ale na oko ona ludzka. I prawdziwa.

– No to chyba jasne...

– Zaraz. Rzecz w tym, że spadkobierczyni chce się tej działki pozbyć, nie ma ciągot ogrodniczych, od razu mówię panu uczciwie, pieniędzy też nie ma i pytanie brzmi: w jakim stopniu policja utrudni sprzedaż? Ile czasu

potrwa, zanim niespodziankę zabiorą, zwolnią teren, oni jeszcze trochę uporządkują i upłynnią?

– To zależy od okoliczności towarzyszących...

– Tyle to ja sama wiem. Ale nie wiem, co uznają za okoliczności towarzyszące.

– Dobrze, też streszczę. Sprawdzą znalazców, wnikną w życiorys poprzedniego właściciela...

– To nieszkodliwe.

– Zbadają dokładnie teren...

– A, to nawet użyteczne. Usuną gąszcz?

– Na bank. Muszą zbadać, czy nie ma jeszcze czegoś pod gruntem. Ale to mały teren, krótko potrwa. No i ustalą tożsamość...

– Ma mnóstwo zębów!

– Bardzo pomocne. Kwestia tożsamości może nabruździć, jeśli pojawią się jakieś powiązania...

– Nie wierzę w powiązania. To przyzwoita rodzina, nie obrzucali się wzajemnie uciętymi głowami. Współcześnie, bo tak ze czterysta lat temu pewności nie mam.

– Sarna pani widzi...

– No dobrze, to tak na oko, z tego, co panu mówię... Jak długo przyhamowanie potrwa?

– O, bez przesady, ze dwa, trzy tygodnie góra. I już wiem, co pani zaraz powie, więc niech będzie, zgadzam się, prywatnie tam kogoś znajomego pogonię, żeby od razu się za to złapali. Ten rodzaj kumoterstwa nie jest bardzo naganny, poza tym sam jestem ciekaw...

Woźniak słuchał i rozkwitał, wyzbywając się drętwoty. Już od połowy słuchowiska czuł, jak służbowe krzesło gryzie go w anatomiczne części

tylne. Skojarzenie jeszcze się w nim nie skrystalizowało, ale już zaczynało intensywnie błyskać.

Być może ruszyło się z legowiska dlatego, że akurat pięć lat temu dostał awans na komisarza po chlubnie ukończonej szkole oficerskiej i całkiem solidnym osiągnięciu służbowym, i zaraz potem przytrafiły mu się dwie potężne klęski. Pierwsza klęska w postaci bezgłowego kościotrupa na działkach, kościotrupowi nie dał rady, musiał go odłożyć ad acta, ale wciąż plątał mu się kłodą pod nogami i drzazgą w ambicji. I druga w osobie narzeczonej, która porzuciła go w tym właśnie czasie... czy może on porzucił narzeczoną...? ...ponieważ zadecydowała, że nie chce być żoną gliniarza. Pełna zalet, istne cudo, pedantycznie dokładna, idealnie zorganizowana, punktualna, systematyczna, pory posiłków planowała z góry na cały tydzień, poświęcając temu niedzielny wieczór i potrafiła realizować te plany ściśle co do jednej minuty. O rok starsza od narzeczonego, była zdania, że jest od niego doroślejsza co najmniej o dziesięć lat i traktuje życie poważnie, a narzeczony co? Chłopiec, który wciąż z zapałem bawi się w policjantów i złodziei... Po dwóch spóźnieniach Woźniaka zwykłych i jednym całodobowym oświadczyła, że tego absolutnie nie wytrzyma. Woźniakowi wymagająca narzeczona skłębiła się z uciążliwym kościotrupem i wyraźnie poczuł, że też tego nie wytrzyma. Nastąpiło zerwanie, które ciężko przeżył.

A teraz właśnie minęło pięć lat bez awansu i oto nagle dobiegło go coś o głowie, zdaje się, że bez kościotrupa, i też na działkach...

Górski wyłączył komórkę, a komisarz Woźniak ponownie nie wytrzymał.

– Bardzo przepraszam, panie inspektorze, ale które to działki? Jeśli można zapytać...

– Można, można. Nawet trzeba.

Górskiemu pamięć ruszyła, przydarzyło się coś głupiego parę lat temu z jakimś szkieletem i czy przypadkiem nie Woźniak właśnie to prowadził...? Woźniak, oczywiście! Zdaje się, że tego akurat podwładnego nie musiałby nakłaniać do pośpiechu.

Szczegóły mu chwilowo umknęły. Raporty oczywiście dostał, rozmaite plotki koło uszu świstały, bo sprawa była prawie śmieszna i wszyscy sobie dowcipy robili, ale dokładnie nie pamiętał. Woźniak powinien wiedzieć więcej.

O tak, Woźniak wiedział, wręcz w nim wybuchło. Bez akt, bez odświeżania pamięci, z miejsca eksplodował informacjami, a także ciężkim rozgoryczeniem. Ośmielił się nawet poszarpać sobie trochę włosy na głowie i rąbnąć się pięścią w czoło.

– I pomyśleć, że ten brakujący łeb tam leżał! To przecież po drugiej stronie alejki, w cholernym gąszczu, nikomu do głowy nie przyszło, żeby tam szukać! I pies nie wywęszył, słowa nie powiedział...

– Opamiętaj się, skoro to już pięć lat w zielsku leżało...

– Nawet nie wlazł w środek, to kłujące wściekle, fakt, afrykańska zeriba, ale niechby się chociaż zainteresował...!

– Wyjałowione kości w kolcach i przyprawach, co się psa czepiasz. Sprawca odciął głowę i w krzaki wrzucił, głupie, ale jak się okazuje, skuteczne.

– Dziwnie odciął... To przez gadanie tej całej rodziny, zabrał ze sobą i zabrał ze sobą, a ja, jak idiota, dałem się zasugerować. Na logikę, jeśli chciał ukryć tożsamość, głowę usunąć jak najdalej. Albo może mu była do czegoś potrzebna, też możliwe. I na kretyna wyszedłem!

– No to teraz masz drugą szansę...

Komisarz Woźniak chwycił swoją drugą szansę pazurami i zębami. Z tego wszystkiego obaj zapomnieli, po co w ogóle Woźniak do Górskiego

przyszedł, na szczęście był to drobiazg, którym Górski mógł uszczęśliwić kogokolwiek innego. Komisarz ze swoją szansą ruszył w bój, wyprysnął z gabinetu inspektora jak wystrzelony, słyszał wszak prawie całą rozmowę, ci tam jacyś siedzą i czekają, w biegu załatwiał ekipę śledczą. W drodze na miejsce znaleziska przypominało mu się coraz więcej, wracały szczegóły, wśród nich zaś ta dziewczyna, przez którą zbrodnia się wykryła, bo że to zbrodnia, Woźniak nie miał wątpliwości. Na upartego można sobie samobójczo odciąć głowę, ale z pewnością tej głowy już się nigdzie nie zaniesie! Gdyby nie kopała... zaraz, po cholerę ona kopała...? Wykopywała coś... a, bambus! Ciekawe, czy ten bambus rzeczywiście taki szkodliwy... Nie wydała mu się wtedy sympatyczna, uparta zołza i przez nią wszystko, uczepiona jak rzep zielonych patyków musiała się dokopać kościotrupa i klęski Woźniaka. Ale trzeba przyznać, że bardzo ładna i jakaś taka... zachęcająca. Zaraz, jak jej było... a, Marlenka...

Pięć lat minęło, ale na właściwą działkę trafił bez pudła.

* * *

Wielkich luksusów nie mieliśmy, papierosy i kawa, na szczęście ludzka czaszka przed nosem nie przysparzała apetytu. Baśce zebrało się na wspominki natury depresyjnej. I ekspiacyjnej. Samokrytycyzm w niej wezbrał.

– Najgorszą kretynkę z siebie zrobiłam jak miałam prawie szesnaście lat – mówiła z niesmakiem. – Wygłupiłam się szczytowo, bo żeby z głupoty, to jeszcze, ale skąd. Dla draki.

– To już cię znałam – wtrąciłam. – Poznałam cię, jak miałaś chyba czternaście albo piętnaście.

– No i popatrz, nic mi z tego nie przyszło. Taki ten jeden piękny zaczął mnie resocjalizować...

– No właśnie, piękny, ciekawe, jaki ten się okaże – odezwał się znienacka Patryk, machnąwszy papierosem w kierunku przystrzyżonego gąszczu. – Dajcie spokój z błędami wieku niemowlęcego, mnie wciąż jego zęby chodzą po głowie.

Zaciekawił Baśkę.

– Każdy oddzielnie, czy obie szczęki razem?

– Nie dziecko, to pewne, za duży łeb – ciągnął Patryk. – Dorosły facet. Żeby mieć takie zęby, wszystkie w komplecie, dentystą nietknięte? Przyjrzałem się z bliska, słowo daję...

Rzeczywiście, nachylał się, przyklękał, niemal przytykał nosem.

– Myślałam, że go wąchasz – wyznałam ze skruchą.

Patryk nadal rozpatrywał uroki czerepu.

– Cała czaszka modelowa, w idealnym stanie, jak się taki uchował? Mam nadzieję, że odtworzą mu twarz, teraz to małe piwo, pierwszy polecę oglądać.

– Wszyscy polecimy, pewnie nawet nas zmuszą. A swoją drogą, kto to może być i z jakich czasów pochodzi? I gdzie cała reszta poniżej głowy...?

Wreszcie zaczęliśmy interesować się znaleziskiem jak normalni ludzie, bo do tej pory siedzieliśmy nad anatomicznym szczątkiem niczym niedorozwinięte tępadła. Jakby takie rzeczy w ogródkach starszych pań spotykało się na każdym kroku. Gdyby ta czaszka miała na sobie jakieś uszkodzenia, załamania, dziury, mogłaby być efektem bandziorskich porachunków, należeć w ogóle do osobnika z marginesu, który popadł w konflikty z przyjaciółmi. Ale taka elegancka...? Przyzwoity facet, załatwiony odmownie przez grono złoczyńców, którym bruździł w przestępczym procederze...?

– Odcięte fachowo, dokładnie pomiędzy kręgami szyjnymi, tam gdzie chrząstka – kontynuował z uznaniem Patryk, nie mogąc się odczepić od

doskonałości dzieła. – To niemożliwe, żeby dał radę tu, w plenerze, musiał mieć warunki, choćby takie jak w rzeźni.

– Bardzo się cieszę, że nie lubię chrząstek – oznajmiłam z mocą.

– Do ust nie wezmę – poparła mnie Baśka energicznie.

– Nie ma przymusu – zgodził się Patryk. – Ale to niczego nie wyjaśnia. Ja wiem, że bywałaś tu rzadko...

– Jedenaście lat temu i jeszcze dawniej!

– Nie szkodzi. Jakiś kontakt z tą rodziną chyba miałaś?

– Unikałam go jak ognia! Te wszystkie baby były tak nieznośne, że w końcu, jak taka świnia, rzuciłam im Marlenkę na pożarcie.

Baśka się zainteresowała.

– Coś słyszałam, jakaś Marlenka obiła mi się kiedyś o uszy, raczej dawno. Kto to jest?

– Jak by ci tu... Napatoczyła mi się kiedyś, jeszcze jako dziewczynka w wieku szkolnym, na łące, i okazało się, że ma kota na tle zielska. Po jakiejś babci czy kimś takim, może po lekarzu znawcy ziół, albo znachorze, w każdym razie przesiąknięta botaniką. Z upodobaniem do chemii organicznej.

– O, nie! – jęknęła Baśka. – Tylko nie to!

– Właśnie to, bo się zaparła, że lecznicze zioła będzie badać i na nowo ziołolecznictwo wprowadzi. Dosyć tych sztucznych świństw, chemia nieorganiczna świat zatruwa, ona ma zamiar przeciwdziałać i cześć. Na botanikę poszła.

Patryk pochwalił Marlenkę bez namysłu, Baśka się zawahała. Chemia ją stopowała, organiczna czy nieorganiczna, strasznie dużo w niej wzorów i mogą się przyśnić jako upiory, względnie strzygi. Zgodziła się w końcu, że do badania rozmaitych składników laboratorium jest niezbędne i udzieliła

Marlence zezwolenia na udręki i męczarnie. Może jest odporna na straszne sny.

– Chciała sobie sama hodować na próbę różne roślinki, a skarżyła się, że w skrzyneczkach na oknie wychodzi jej trochę skąpo – ciągnęłam. – No więc ją tu zaprotegowałam, a ona robotna, chętnie ją przyjęły i wydzieliły jej eksperymentalne kawałki gruntu. A ja już nie miałam odwagi sprawdzać, co z tego wynika, poza tym wyjechałam i w ogóle po większej części byłam wyjechana i wcale mnie nie było. Sytuacji obecnej nie znam, ale popatrzyłam tam i uważam, że jest dziwnie.

Dziwność Baśkę podniosła z ławeczki, też chciała ją zobaczyć. Obejrzała się na siedzisko.

– Poza tym nie rozumiem, dlaczego odgniatamy sobie odwłoki na tej twardej ławce, zamiast wyciągnąć krzesła. Patryk...

Patryk nie zdążył naprawić błędu, ponieważ w tym momencie za furteczką pojawił się jakiś obcy facet. Z ust wystrzeliły mu słowa: – Gdzie ona...?!!!

* * *

Marlenka wciąż jeszcze miała wściekłe kłopoty. Osiem lat już mijało od chwili, kiedy pierwszy raz zanurzyła ręce w wymarzonej ziemi ogrodniczej, przydzielonej jej wielkodusznie za odrobinę pracy, która stanowiła samą przyjemność, a nadal nie mogła osiągnąć chwili spokoju. Pomagano jej tak, że wszelką pomoc zaczęła już uważać za ciężki dopust boży.

Najgorsza była Paulina. Z podziwu godnym talentem rozsadzała i pikowała nie to, co trzeba, do kocanki, rosnącej najlepiej na piasku, dosypywała torfu, ukradkiem wyrywała drapacz lekarski, uważany przez nią za zielsko. Dzielnie konkurowała z nią Leokadia, którą korciły eksperymenty i gdzie mogła, też ukradkiem, dokładała swoje. Pozostałe

osoby z dobrego serca siały i sadziły przepiękne kwiaty na doświadczalnych grządkach Marlenki, żeby jej robić przyjemne niespodzianki. Nie pomagało ogradzanie siateczkami, patykami, drucikami, patyki i druciki przeważnie były wyrzucane. W życzliwej światu Marlence zaczynała już natrętnie majaczyć myśl o podłączeniu tych drucików do prądu, oczywiście niskie napięcie, nikomu krzywdy nie zrobi, ale podobno to karalne...

Słowne protesty, błagania i wyjaśnienia dawały efekt najdoskonalej niepożądany, z reguły bowiem ktoś się po nich śmiertelnie obrażał. I należało go przepraszać. Marlenka wyraźnie czuła, że w końcu od tego zwariuje i tylko dziko uparta namiętność i uzyskiwane mimo wszystko rezultaty trzymały ją w pionie. I rozsądek. Bo co, miała wrócić do swoich malutkich skrzyneczek na oknach mieszkania?

Pociechę stanowiła ponadto wymarzona praca w laboratorium w instytucie botaniki, gdzie udało jej się zbadać właściwości kilku kłączy i korzeni tak, jak nikt nigdy jeszcze dotychczas nie zdołał. Uczulenie. Niektóre osoby miewają różne głupie alergie, i Marlenka postanowiła coś z tym zrobić. I nie tylko z tym, właściwie postanowiła zrobić wszystko ze wszystkim.

Jak zwykle, przyjechała na działkę prosto z pracy i trafiła akurat na komisarza Woźniaka, który pojawił się w furtce działki przeciwległej, bo z daleka usłyszał, że przybyła jego ekipa techniczna razem z patologiem. Zamiast ekipy technicznej, przekraczającej dopiero bramę, ujrzał przed sobą Marlenkę.

Marlenka oczywiście ujrzała Woźniaka.

Rozpoznali się w mgnieniu oka bez żadnych wątpliwości, mimo braku kontaktu przez co najmniej cztery lata. Osobę poznaną w nerwowych

okolicznościach nad eleganckim kościotrupem z pewnością trudno zapomnieć, a tu jeszcze w grę weszły nader mieszane uczucia prywatne.

Od pierwszego wejrzenia Marlenka Woźniakowi bardzo się spodobała, dziewczyna jak łania z każdej strony patrząc, ale stłumił w sobie to upodobanie dość gwałtownie, bo zarazem przyprawiła go o wściekłość. Po cholerę wykopywała ten idiotyczny bambus, gdyby nie kretyńska roślina, kościotrup leżałby spokojnie do sądnego dnia, a nie wisiał Woźniakowi kamieniem u szyi. Uparta młoda wiedźma, rozczochrana, zaczerwieniona, do obrzydliwości pracowita i tak nietaktownie ładna!

Oburzające.

Zaabsorbowana bambusem Marlenka dostrzegła Woźniaka dopiero, kiedy zdołała oderwać wzrok od doktora, obmacującego piękne kości. Cmokał z zachwytu. Mignęło jej w głowie, że powinien chociaż jedną chwycić w zęby, jak pies, i w upojeniu przegryźć, a przynajmniej nadkruszyć. Spróbować. Na szczęście mgnienie, zgodnie ze swoją naturą, trwało krótko, nadziei na psie zapędy doktora nie pogłębiło, spojrzała wyżej i trafiła na komisarza stojącego nad inspektem.

O rany, jaki przystojny gliniarz! – zdążyła pomyśleć i natychmiast się nastroszyła. Wyraz twarzy przystojnego gliniarza mógł śmiało konkurować z gradobiciem, ponadto doskonale pasował do wściekłego wrzasku: – Kurrr...niki za... mać, przestań kopać do ciężkiej zarazy!!!

– Przecież nie kopię – obraziła się Marlenka. – Ten pan kopie – i nie wytrzymała. – Zaraz nadgryzie...

– To zielsko, dziewczyno, zostaw to zielsko!

– Nie zostawię!

Na tym pogawędka zapoznawcza uległa przerwaniu, ponieważ wtrącili się wszyscy równocześnie, każdy ze swoim poglądem, który natychmiast musiał zostać ujawniony. Rzecz jasna, nieco później Woźniak i Marlenka na

nowo nawiązali ze sobą kontakt znacznie mniej żywiołowy, ale wzajemna pretensja pozostała. W trwałą niechęć nie zdołała się przerodzić, zbyt wiele kłód napotkała po drodze, z wyraźnym, acz niechcianym upodobaniem na czele.

– O, jak to dobrze, że panią widzę! – wykrzyknął teraz roziskrzony Woźniak w obcej furteczce.

– O Boże, co pan tu robi, czy ma pan drugiego trupa? – wykrzyknęła równocześnie Marlenka, zatrzymując się na środku alejki.

Odpowiedzi udzielili sobie też równocześnie.

– Dlaczego dobrze? – spytała Marlenka.

– Drugiego nie, ale chyba resztę tego samego – odparł żywo Woźniak.

Więcej powiedzieć nie zdążyli, ponieważ nadciągnęła ekipa w postaci fotografa, daktyloskopu, techników od rozmaitych śladów i niesłychanie przejętego patologa. Przejęci zresztą byli wszyscy, bo do głowy porwali się ci sami, których przed pięcioma laty uszczęśliwił szkielet.

Troje widzów siedziało spokojnie na twardej ławce pod altanką, zrezygnowawszy chwilowo z wygodnych krzeseł, i oglądało spektakl. Nikt na nas nie zwracał uwagi i nikt się nas nie czepiał.

Widowisko wydało się nam niezwykle interesujące.

– Sama głowa, a tak się do niej trzęsą, jakby znaleźli cały cmentarz – zauważyła krytycznie Baśka.

– Fakt – przyświadczył Patryk. – Cholernie przejęci.

– Może pierwszy raz w życiu znaleźli osamotniony czerep bez szkieletu – podsunęłam. – I mówiłeś, że elegancko ucięty...

– Myślisz, że odszarpany albo ukręcony ordynarnie mniej by się im podobał?

– A tobie podobałby się więcej?

– Zważywszy niedbalstwo narodu, odszarpany byle jak spotykają może częściej? I mniej się entuzjazmują?

Nie zdołaliśmy odgadnąć samodzielnie przyczyny wyraźnie widocznych emocji, szalejących w całej ekipie. Naprawdę zwykła ludzka czaszka, nawet z kompletem uzębienia nie powinna budzić aż tak euforycznych doznań. Co im się stało, debiutanci wszyscy, czy co?

Nie szeptali do siebie, rozmawiali normalnie, nawet wydawali okrzyki. Udało się z nich wywnioskować, że owszem, chyba ten czerep pasuje, nie mówili do czego, osobnik z torbą lekarską, niewątpliwie patolog, przysięgał, że jest w tym samym wieku, pozwalał sobie nawet uciąć głowę, ale nikt nie chciał, łatwo było odgadnąć, że wiek nie dotyczy doktora, tylko owych elementów, głowy i zapewne jej kadłuba. Gdzieś najwidoczniej mieli i kadłub.

Wyjaśnień udzieliła Marlenka.

Nie widziałam jej od wieków, ale rozpoznałam od razu. Nie zmieniła się prawie wcale, ponadto działka, której rzuciłam ją na pastwę, znajdowała się po drugiej stronie alejki, któż zatem mógłby tu przyjść, jak nie Marlenka. Też grawitowała ku centrum sensacji, z tym, że pchała się mniej do głowy, a bardziej do resztek gąszczu. Została bardzo stanowczo, acz grzecznie, usunięta kawałek dalej.

Kawałek dalej wypadł jej na widłach Patryka, potknęła się, usiadła mu na kolanach i zerwała się czym prędzej. Wreszcie się obejrzała i wybuchnęła zachwytem.

– Och, coś takiego, pani Joanno, bardzo, bardzo pana przepraszam, co za szczęście, nareszcie panią spotykam! Nijak nie mogłam pani złapać, ciągle źle trafiałam, tyle czasu...!

– Nic nie szkodzi – powiedział Patryk, odsuwając widły za ławeczkę.

– Cicho! – powiedziała Baśka. – Coś mówią. Potem będziecie się grzecznościami szastać.

Mówili, owszem.

– ...chwycił i odrzucił...

– ...poleciała sama. To blisko...

– Cholerny rozmach potrzebny!

– ...zależy czym...

– A ja mówię, że łopata!

– Ja też uważam, że łopata – powiedziała do nas przejęta Marlenka. – Ja ją znam, tę łopatę, osobiście...

– Rozumiem, że łopata się zbiesiła, ucięła łeb właścicielowi i miotnęła tym łbem za ogrodzenie – zaopiniowała Baśka tonem pełnym zadumy. – Za wiele od niej wymagał?

Zaskoczona Marlenka obejrzała się i zastanowiła zupełnie poważnie.

– Bardzo możliwe, że tak. Wymagał. I ona... No nie, co ja mówię! – zreflektowała się, zakłopotała. – I w ogóle to nie tak, całkiem inaczej i nie umiem tego nawet porządnie powiedzieć. Ale chyba najważniejsze... no, pięć lat temu ja sama wykopałam kościotrupa na tej naszej działce, jak pani mi kazała wyrzucić bambus. I on był bez głowy!

– Bambus, czy kościotrup? – nie wytrzymała Baśka, wykazując uprzejme zainteresowanie.

– Mogłabyś się przez chwilę nie wygłupiać – skarcił ją Patryk, jakby lekko zgorszony.

– Przez grzeczność pytam... I pomagam dziewczynie uściślić opowieść.

Pomoc najwidoczniej się przydała, Marlenka opanowała myślopląs. Rzeczowo, dokładnie i porządnie zrelacjonowała wydarzenia sprzed pięciu lat, z naciskiem podkreślając brak głowy, który niemal w depresję wpędził komisarza i patologa, każdego na nieco innym tle.

– Doktor szału dostał, on bez głowy twarzy nie urodzi i w dodatku nie ma zębów, a jeszcze nic złamanego, anonimowy trup, a w takim pięknym stanie, ironia losu. A ten Andrzej, Woźniak znaczy, morderstwo murowane bez rozwiązania, będzie się za nim wlokło do uśmiechniętej śmierci. Karierę mu złamie. Po śmietnikach tej głowy szukali, po gliniankach, nawet w Wiśle. Tam chyba trochę ich zmąciła Leokadia...

Na chwilę Marlenka zamilkła, zakłopotała się bardziej. Znałam Leokadię.

– Czy nie wymyśliła wzorów literacko–historycznych? Plotki głosiły, że Małgorzata de Valois wiozła w karecie elegancko w jedwabie zapakowaną głowę gacha...

– O to, to! – ucieszyła się Marlenka. – Coś w tym rodzaju. Ale może to było ze Stendhala...

– I wszyscy dali się naciąć?

– I zgłupieli chyba, bo im się pomyliło i wyszło, że jeden gach uciął łeb drugiemu, żeby ta jakaś... czy to nie była Matylda de la Mole...? Mogła wozić jego głowę na własnych kolanach, w karecie. Ale rozbiło się o karetę, bo skąd wziąć.

– Z Łańcuta – mruknął Patryk.

Też wyrwało mi się mruknięcie niechciane, mimowolne, wynikłe wyłącznie z doznanego przed chwilą wstrząsu...

– Znałam tylko jednego takiego, który mógłby uciąć komuś łeb łopatą...

Baśka spojrzała na mnie jakoś dziwnie. Otworzyła usta, ale zamknęła je, nic nie mówiąc. Marlenka kontynuowała.

– Dlatego teraz takiego szału dostali, bo nareszcie będą mogli zdobyć tę upragnioną tożsamość i coś zrobić. Tylko z zębami będą mieli kłopot, za dużo ich ma ten czerep i dentysty chyba nie znajdą...

Zrobili od razu nie coś, a mnóstwo. Poszły w ruch wszystkie dostępne narzędzia ogrodnicze pani Amelii, cała reszta gąszczu uległa zniweczeniu. Przyglądaliśmy się temu z wielką przyjemnością, bo uczestnictwo w ciężkiej pracy zostało nam wzbronione, nie ruszać się w ogóle, siedzieć na ławeczce i koniec. Proszę bardzo, niech im będzie, Patryk ukradkiem znalazł w altance i wyciągnął gruby, stary koc, który złagodził twardość drewna, można było wytrzymać. Jedynie Marlenka przeszkadzała, pchała się do ekipy i patrzyła im na ręce w obawie, że przeoczy jakieś niezwykłe, a cenne zielsko lecznicze, które głupio zniszczą i wyrzucą. Woźniak ją odganiał, ale doznałam wrażenia, że czyni to jakoś łagodnie i bez przekonania.

Wstrząs już opanowałam. W gruncie rzeczy był niewielki.

Przegrzebali jeszcze altankę, pozwoliwszy nam wreszcie zmienić miejsce pobytu na jakiekolwiek inne, dowolnie, pod warunkiem, że nie znikniemy im z oczu i będziemy dostępni. Jeszcze czego, zostaliśmy oczywiście na działce ze zwyczajnej ciekawości, co też tam, w tej altance, znajdą, Patryk poprzestał na uporządkowaniu urządzeń kuchennych, nie docierając głębiej. Baśka grzecznie zwróciła uwagę, że rozkopują jej osobistą własność, bo w końcu jest spadkobierczynią ciotecznej babci i do niej należy całe pozostałe po nieboszczce mienie. No dobrze, zatem mogła patrzeć. Może nawet powinna.

Warto było popatrzeć. Przez blisko pół wieku cioteczna babcia zgromadziła przedmioty niezwykłe, godne raczej strychu w starym domu mieszkalnym niż działkowej altanki. Chociażby nadtłuczona porcelanowa sosjerka, prawdziwa Miśnia, można było zrozumieć wielki durszlak mocno zardzewiały, cedzi się czasem odżywkę do kwiatów, względnie truciznę na ślimaki, ale na plaster jej była sosjerka? Albo staroświecki kołowrotek w doskonałym stanie, albo gorset w stanie nieco gorszym? No, patelnie,

garnki i nawet maszynka do mięsa, ludzka rzecz, może się przydać, czasopisma, żurnale z okresu międzywojennego z obrzydliwymi kieckami, babcia mogła rzewnie wspominać suknie mamusi, średni miech kowalski... Wydanie albumowe w stanie szczątkowym czegoś, co robiło wrażenie jakby cmentarne, głównie dawały się w nim dostrzec zdjęcia nagrobków, kaplic, mauzoleów, a obok nich utensylia pogrzebowe, oraz pomniki przyrody i okazy geologiczne. Książki różne, w tym bardzo stara książka kucharska, zaczynająca się od słów: „Wziąść sześć silnych dziewek kuchennych”. Właśnie „wziąść”, a nie „wziąć”.

Od książki Baśka nagle oszalała. Ona ją chce, za wszelką cenę, przyzna się do zbrodni, do wszystkich zbrodni świata, z Sarajewem na czele, Cezara dziabała sztyletem, Kennedy’ego osobiście zabiła, na dożywocie pójdzie bez słowa protestu, byle razem z tą książką kucharską. Nie wyjdzie stąd, od policji się nie odczepi, materac dmuchany sobie rozścieli pod wejściem do komendy, a niechby i Głównej! Chce książkę!!!

Ogłupiła wszystkich dokładnie.

– Czy tę makatkę z napisem „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi” też pani chce? – spytał zjadliwie Woźniak. – Ona jest, za przeproszeniem, obsrana przez ptaki, o ile ja się znam na przyrodzie. A kawałki liter się wypruły.

– Chcę! Chcę! Ma pan w kodeksie karnym kawałki liter?! Albo mandat za obsranie przez ptaki?! To jest mój spadek po babci, w życiu nie miałam spadku po babci!!!

Z książki kucharskiej, niewątpliwie często używanej, wyleciała jedna kartka. Baśka rzuciła się na nią niczym głodny sęp na padlinę. Razem z nią rzucił się fotograf, wyrżnął aparatem w ucho technika od śladów, w dość ciasnej altance zapanowało piekło na ziemi. Patryk usiłował się wtrącić,

zapewne z zamiarem załagodzenia sytuacji, ruszył zajączka w samolocie, bo była to historia z happy endem.

– W Kanadzie był wypadek! – ryczał gromko, zagłuszając nawet Baśkę. – Samolot odrzutowy, mały, dwusilnikowy, nie taka kobyła międzykontynentalna, wystartował i zaraz panika wybuchła, bo jeden silnik szlag im trafił. Może ktoś z ziemi strzelił albo co, więc wracają, no i zawrócili, i wylądowali szczęśliwie na tym drugim silniku, a już tam jechało pogotowie, straż pożarna, antyterroryści i wszelkie służby...

Przy jednym silniku, tym czynnym, zaczęli stopniowo milknąć i słuchać. Patryk troszeczkę zniżył głos.

– Złapali się od razu za ten skraksowany silnik, bo to wszystko razem było nowe i sprawdzone, więc z jakiej racji. No i co się okazało, w tym silniku znaleźli szczątki zająca...

– Jakiego zająca? – wyrwał się nieufnie daktyloskop.

– Takiego zwyczajnego, co po polu skacze. Zbaranieli doszczętnie, bo skąd zając na wysokości kilkuset metrów. Skacze, owszem, ale przecież nie aż tak! W trybie natychmiastowym wezwali fachowców, biologów, zoologów, weterynarzy, kto tam im jeszcze na myśl przyszedł, no i ci fachowcy stwierdzili, wyjątkowo zgodnie, że zając był żywy, to znaczy wcześniej był żywy, przed kontaktem z silnikiem, potem już nie. Złapał go jastrząb i niósł, już był w górze, ale przestraszył się samolotu, wypuścił zdobycz z pazurów i uciekł. Zając poleciał w dół i bezbłędnie, jak po sznurku, trafił w ten silnik. Laboratoryjnie, pod mikroskopem badali, znaleźli ślady jastrzębich pazurów. Poza tym nikomu nic się nie stało, a prasa miała uciechę.

Najmniejszy związek nie istniał pomiędzy katastrofą zająca, a odciętą głową i spadkiem po ciotecznej babci, cała historia wyskoczyła ni przypiął ni wypiął, ale Patryk miał rację. Happy end zdecydowanie złagodził

atmosferę i nagle okazało się, że żadna spadkowa lektura nie wydaje się władzy niezbędna, Baśka może ją sobie zabrać nawet od razu. Niewątpliwie miała tu swój udział siła wyższa, bo na owej kartce, która wyleciała z książki kucharskiej, wytłuszczonym drukiem rzucała się w oczy pierwsza pozycja: „Pasztet z zająca, mieszany”.

Znacznie później Patryk przyznał się nam, że zdążył to dostrzec i dlatego przypomniała mu się nagle lotnicza historia z zającem.

Patolog razem z głową odjechał wcześniej, a całe towarzystwo przeniosło się na działkę po drugiej stronie alejki, niejako macierzystą dla zbrodni.

I tu na nowo zaczęło się śledztwo.

* * *

– Ty chwilowo nigdzie nie wyjeżdżasz? – spytała Baśka niespokojnie zaraz następnego dnia. – Bo chciałam cię zająć sobą. Nie żeby całkiem, ale tak trochę.

– Możesz i więcej. Nigdzie teraz nie jadę, dopiero pod koniec zimy.

– Na razie jeszcze początku zimy nie widzę. Spotkajmy się zaraz, może być?

Złapała mnie przez komórkę na mieście, nawet znajdowałam się blisko, pojechałam do niej. Patryka nie było, za to herbatę miała gotową. Na stole mieściły się tylko szklanki i popielniczka, resztę dużego blatu zaścielały fragmenty poszarpanego albumu, żurnale i książka kucharska, lektura zabytkowa z altanki.

Spojrzałam pytająco, ale Baśka niecierpliwym gestem odebrała wszelką ważność makulaturze.

– Nie, to nie to. To znaczy także to, ale za chwilę. Teraz mam pilniejsze. Ludzi mianowicie, oprócz tej podejrzanej Marlenki trzy sztuki tam się

znalazły, na tamtej działce, a potem nawet jeszcze więcej, kim oni są? Nie mam cierpliwości do zabiegów dyplomatycznych.

Usiadłam przy stole tam, gdzie już się pojawiła szklanka z herbatą. Marlenka podejrzana...? Ciekawe dlaczego. No nic, mogę ją również na chwilę odłożyć.

– Do zabiegów dyplomatycznych ciepłych uczuć też nie mam. Nie wiem, nie umiem ci powiedzieć dokładnie, chociaż wszystkich znam od wieków. Dwie sztuki to, zdaje się, moja jakaś cioteczno–cioteczna rodzina, siódmy stopnień pokrewieństwa, a może powinowactwa, coś w tym rodzaju. A jedna albo tylko zaprzyjaźniona, albo też powinowata przez jakiegoś męża czy szwagra, pozostali jeszcze dalsi, niektórzy takie rzeczy mają w małym palcu, ja nie. Dawno mi się pomyliło.

– Ta, co z niej wyciekały toksyczne miazmaty, to z których?

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że chodzi jej o Leokadię. Wyzłośliwiała się straszliwie, dziwiło mnie, że komisarz to wytrzymywał. Wyjaśniłam, że ona z odległej rodziny, a obie z Pauliną są siostrami i spadły na mnie po moich rodzonych ciotkach. Chociaż nie jestem pewna, czy rodzonych, możliwe, że przyrodnich.

– Wobec tego chudy wypłoszek nie jest rodziną? Zajmuje stanowisko przyjaciela domu?

– I wielbiciela Pauliny. Feliks. Zgadza się. Chudy, ale żylasty. Ma więcej siły, niż na to wygląda.

Baśka zamyśliła się nad sąsiednią szklanką herbaty.

– Feliks! No proszę! Wiedziałam, że on się jakoś nazywa. Popatrz, w ogóle tych ludzi nie znam, a jednak pamiętam. Chodził po mnie jakiś Feliks, a i Marlenkę co najmniej raz widziałam, jeszcze była dziewczynką. Ale podobna do siebie. Dawne czasy. Czekaj, policzę... siedemnaście lat!

– I co te siedemnaście lat? – spytałam po chwili, bo jakoś zamilkła.

– Upłynęło.

– Lata są od tego, żeby upływać. Od czego?

– Co od czego?

– Upłynęły. Bo mam wrażenie, że wczoraj była o tym mowa?

– A... Nie, to nie to. Inny temat. Czekaj, gwałtownie myślę, żeby mi tylko nie zaszkodziło. Feliks, mówisz... Popiskuje mi gdzieś tam coś w rodzaju pamięci.

Znów zamilkła na chwilę. Poczekałam cierpliwie.

– Będę chyba musiała przeorać całe mieszkanie – westchnęła wreszcie. – Nie mam pojęcia, gdzie są stare testamenty, jeszcze sprzed pięćdziesięciu lat.

– Nie zrealizowane?

– Zrealizowane, owszem, ale ciągle ważne. Jakieś klauzule w nich są, jakieś dodatkowe informacje, no, różne rzeczy. Cała składnica makulatury po rodzinie stopniowo na mnie spadła. Nigdy w życiu nie czytałam tego dokładnie, właściwie wcale nie czytałam, ale zaczynają te papiery do mnie przemawiać.

– Może to nie pamięć ci popiskuje, tylko skojarzenia?

Baśka spojrzała na mnie, zapaliła papierosa i nadal milczała. Straciłam cierpliwość.

– Zanim się na coś zdecydujesz, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego Marlenka jest podejrzana. Przecież chyba nie przez fakt, że siedemnaście lat temu była dziewczynką?

Baśkę odblokowało.

– Każdy byłby – zgodziła się. – Ale to jest odrębny temat i taki dosyć okropny. Teraz mogłaby być wtyczką. Z tym, że od razu ci powiem, że nie była i nie jest.

– Skąd wiesz?

– Bo gdyby była, u ciotecznej babci nie byłoby gąszczu, siedziałaby tu dniem i nocą. I nawiązywałaby ścisłe kontakty z moją rodziną, a nie z twoją. Przez piętnaście lat, czy ileś tam, nawet tu nie zajrzała, więc jako szpieg odpada. Chyba że wyjątkowo nieudolny szpieg. Co nie przeszkadza podejrzeniom.

Też zaczynałam mieć różne podejrzenia, wolałam zatem zostawić temat w spokoju, szczególnie, że znałam Marlenkę całkiem nieźle. Można powiedzieć, od dziecka. Wolałam zająć się troską Baśki, gęstniejącą w powietrzu.

– Jeśli tych ludzi już ci wystarczy, może teraz powiesz, gdzie tkwi zadra naprawdę?

Baśka zastanowiła się głęboko, obejrzała z powątpiewaniem śmietnik na stole i westchnęła.

– Tak naprawdę – wyznała konfidencjonalnie – to ja miałam w dalekich tyłach tę książkę kucharską... chociaż piękna niezwykle... ale od razu wiedziałam, że chcę ten, pożal się Boże, album. To on mi się skojarzył. I całą tę awanturę zrobiłam z nadzieją, że uda mi się go zdobyć, no i proszę, wyszło! Teraz liczę na ciebie, bo nie wiem, o co mi chodzi.

– Szczerze mówiąc, ja też nie wiem. Ale zgaduję, że te fragmenty grobowych wizerunków... szczeniaczek je zeżarł, nie smakowały mu i zwrócił...? pasowały ci do rozproszonego skarbu przodków, o którym już zaczęłaś mówić. W obliczu głowy, gliniarz ci przeszkodził.

– Musiałby to być duży szczeniaczek z paszczęką krokodyla. Mało, że pasowały, rzuciły się na mnie. Ale na tym koniec i co tu ma do rzeczy Feliks?

Beztrosko powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Strzępy cmentarne zabytkowe, a on też ze starej arystokracji.

– Też? Jak te grobowce?

– Nie. Tak jak ty.

– Iiiii... – skrzywiła się Baśka, wzruszyła ramionami i narysowała kółko na czole.

– Nie iii, nie iii, tylko zobacz, jaki chudy. Cała prawdziwa stara arystokracja w zaniku opadła z ciała, tłuszcz się jej nie trzyma. Spójrz na siebie.

Rzecz jasna, chudością Baśka Feliksowi do pięt nie sięgała, ale zaawansowany wiek robi swoje, no i te jego jakieś przeżycia medyczne, Paulina i Leokadia cały czas plotkowały żywiołowo, coś mi się zdążyło o uszy obić. Baśka była średniego wzrostu, bardzo szczupła, ale kości miała drobne i nigdzie jej nie wystawały, a Feliksowi owszem.

– Otyli żyją krócej – wymamrotała, marszcząc brwi. – No i popatrz, tego Feliksa nie znam i w życiu go na oczy nie widziałam, skąd on mi się wziął?

Zaraziła mnie swoim kłopotem i zaczęłam się zastanawiać nieco porządniej. Należałoby wziąć pod uwagę czasy nieco dawniejsze, co najmniej sprzed dwudziestu pięciu lat, może nawet trzydziestu. Nie mogła chyba zwrócić uwagi na chudych i otyłych w wieku lat czterech, bo co ją wtedy obchodzili? Chociaż, kto wie...?

– Okropnie ci się przyglądał – zauważyłam w zadumie.

– Kto?

– Feliks. Tak łypał okiem. Cały czas.

– Ze wstrętem?

Zdziwiłam się.

– Nie, skąd. Dlaczego ze wstrętem?

– Powiedziałaś, że okropnie.

– Skróciłam myśl. Z okropnie wytężoną uwagą.

– Pewnie też mu się z czymś skojarzyłam – zaopiniowała Baśka po krótkim namyśle. – Ciekawe, z czym.

Wysunęłam przypuszczenie, że może te rodziny się kiedyś znały, Baśki i Feliksa. Ćwierć wieku temu Feliks był już z pewnością dorosły, osobiście mogłam to zaświadczyć. Z wczorajszych przesłuchań wyraźnie wynikło, że to on jest prawnym właścicielem działki, bo został kiedyś uznany za człowieka rozsądnego, uczciwego, odpornego na głupie pomysły i wyzutego z lekkomyślności w przeciwieństwie do reszty rodziny.

– Nawet o tym nie wiedziałam – poinformowałam Baśkę. – Albo może wiedziałam, ale nie zwróciłam uwagi...

– Może ja też na coś nie zwróciłam uwagi?

– Możliwe. I może, jako człowiek rozsądny i uczciwy został obarczony twoim rozkawałkowanym mieniem? Jako dziecko, nie zwróciłaś uwagi, ale w ucho ci wpadło?

Baśka z powątpiewaniem kręciła głową.

– Nie gra mi. Nie znalazłabym skarbu za ogarkiem u ciotecznego dziadka. Jako człowiek rozsądny, nie dopuściłby do takiego idiotycznego rozproszenia. Ale może coś wie, coś kiedyś słyszał i mętnie mu się majaczy, nazwisko wpadło mu w ucho i teraz spać nie może, bo przypomina sobie, skąd je zna.

– Możliwe – zgodziłam się. – I gdyby posiadał twoje dziedzictwo, wiedziałby chyba o tym. Dałby ci do zrozumienia, nie?

– Nic mi nie dał. Czekaj, popatrzmy teraz na to, może też ci coś zaświta, bo mnie się uporczywie kojarzy... – zawahała się na chwilę. – Powiem ci prawdę – ciągnęła. – Gówno mnie obchodzi, kto tam kogo kropnął w tym ogrodniczym wykopie, ale powiedziałaś coś takiego...

Zawahała się.

Zgadłam od razu, jakiś sekret zamierzała wyjawić i nie chciał z niej wyjść, zapierał się w progu. Straciłam resztki cierpliwości, do diabła z powściągliwością i taktem, przecież jej nie zaszkodzę!

– No! Co powiedziałam? Ogólnie dużo, ale co z tego masz na myśli?

– O tej łopacie...

O, cholera. Ustrojstwo pod moim ciemieniem odwaliło błyskawiczną robotę. Beztroska świńskim truchtem odbiegła w dal, zalęgło się coś w rodzaju malutkiego napięcia.

– Niewykluczone, że jest w tym jakiś sens. Kontynuuj – przyzwoliłam sucho.

– Bo ja też znałam tylko jednego takiego. Uzdolnionego. Zdaje się, że obie przypadkiem myślimy to samo...?

Owszem, obie bez wątpienia myślałyśmy to samo, ale nie spodziewałam się, że Baśką szarpnie szczerość. Nie miałam chęci iść w jej ślady bez opamiętania, swoje prywatne wolałam ukryć.

– Pozbądź się złudzeń, myślimy to samo. Ale coś mi się widzi, że to jest temat–rzeka, nie chcesz chyba teraz rozpatrywać wybryków psychiki ludzkiej? Tchórzliwa nigdy nie byłaś i nie jesteś, snu ci z oczu nie spędzi...

Baśka zreflektowała się natychmiast.

– Masz rację. O wiele bardziej interesuje mnie szansa na odzysk mienia, chociaż nie dam głowy, czy jedno z drugim się nie wiąże... Nie chcę już tak żyć na skraju nędzy, a czy ja wiem, może coś się uda...? Przyjrzyj się, co ci szkodzi?

Strzępy albumu wyglądały gorzej niż bardzo stara twarz. Wilgoć musiała je sobie upodobać, bo pomarszczone były okropnie, wyblakłe, niektóre zdjęcia w ogóle nie do rozpoznania, elegancki kredowy papier źle zniósł pobyt w altance. Udawało się odgadywać zaledwie część widoków, domyślać grobowców i kaplic, ozdobnych ogrodzeń i kawałków płyt, zapewne granitowych, względnie marmurowych. Wymyślne napisy były prawie nie do odczytania. Zabytkowe budowle mieszkalne prezentowały się podobnie, jednej uciekło całe piętro, nie zostało zburzone, istniało, ale

jakieś dziwacznie rozmazane, wyglądało jak żółtawa chmura, z rzadka przetykana dachówką.

– Pamiątkowe siedziby przodków? – spytałam niepewnie.

– Nie wiem. Ale to grobowiec dziadka, jestem pewna.

– Które...? A, to. Którego...? A, ciotecznego. Znaczy, pamiątki. Źle potraktowane.

– Gdyby to miały być miejsca pochówku... chciałam powiedzieć ukrycia... tych trwałych dóbr, które mnie ominęły, też mi nic z tego nie przyjdzie, bo gdzie ja te wille jednorodzinne znajdę? Po tylu wojnach i ustrojach? I w dodatku wszystko w kawałkach, nigdzie nie widać całości.

W skupieniu, chociaż dość beznadziejnie, przyglądałam się fragmentom budowli. Gdyby trafić na któreś z tych miejsc i stanąć przed nim ze zdjęciem w ręku...

– Nie masz przypadkiem adresów tych twoich przodków? Gdzie oni mieli swoje siedziby? Bo ja na przykład wiem, gdzie moi pradziadkowie mieszkali przed pierwszą wojną światową, a pradziadkowie z drugiej strony mają grób na Powązkach od 1847 roku i przy odrobinie wysiłku z pewnością go znajdę. A ty co?

– Osobiście nie mam jeszcze grobu – zwróciła mi Baśka uwagę bardzo grzecznie. – Żywa tu siedzę. Ale ogólnie masz rację, papierów się w tej rodzinie nie wyrzucało od wieków, dlatego u mnie tak ciasno. Ironia losu, papierowe dziedzictwo ocalało, a trwałe diabli wzięli.

– Nie wzięli. Poukrywali. Zostawili ci nadzieję.

– Nadzieję to ja miałam wczoraj, jak ten wulkan energii śledczej przepytywał podejrzanych. Rozumiesz, tu obce osoby, tu skojarzenia, tu atmosfera nerwowa, myślałam, że się komuś coś wyrwie i czegoś się dowiem na marginesie i przypadkiem, a tu guano tropikalne. I ta łopata mnie zaniepokoiła...

– No właśnie – mruknęłam pod nosem. – Łopata...

* * *

Wczorajsze przesłuchanie rzeczywiście wypadło wystrzałowo, ale w dwa dni później Woźniak zarządził drugie. Też na działce.

Postarał się trochę i zyskał zestaw świadków poniekąd wymarzony, obie części, jedna od szkieletu, druga od głowy, jak oni mogli się wzajemnie nie znać? Jedna sztuka tylko znała jednych i drugich, ale ta sztuka akurat była bezużyteczna, bo dziesięć lat temu gdzieś ją diabli nosili i o niczym nie wiedziała. Irytująca baba.

Dziesięciu lat był pewien. Patolog nie popuścił, zanim pieczołowicie zabezpieczonego kościotrupa z inspektu odłożono ad acta, zwołał całe konsylium. Czterech kolegów po fachu miał obok siebie, w tym jednego doświadczonego patologa, jednego ortopedę, jednego anatoma i jednego pediatrę, bo tak wspaniale zachowany i żadnym uszkodzeniem nietknięty szkielet nie mógł przecież w dzieciństwie, jako chłopiec, być niemrawą pokraką. Nie trzymali go chyba w klatce, musiał być silnym, żywym dzieckiem, jakim cudem tak się uchował?

Na to pytanie pediatra nie umiał odpowiedzieć, poza supozycją, że najwidoczniej rodzice nie pili, nie palili, nie zażywali żadnych produktów chemicznych, nie wspominając o narkotykach, nie stosowali żadnej diety i oddychali wyłącznie świeżym powietrzem. Supozycję wszyscy uznali za idiotyczną, ponieważ takich rodziców nie ma na świecie. Dodatkowo ortopeda pomamrotał pod nosem: – I wygryzali dziury we wszystkich otynkowanych ścianach. Zaopatrzyli potomka w wapno...

Poza tym w łonie konsylium zapanowała zgoda, jakiej nie spotyka się w gronach medycznych. Opinia o wieku bezgłowego kościotrupa zamknęła się w granicach jednego roku, od pięciu do sześciu lat, bez żadnych kłótni,

wątpliwości i różnic, co było zjawiskiem niezwykłym, zatem obecnie, po odnalezieniu głowy, całość liczyła sobie, średnio biorąc, wiosen dziesięć i pół. Jako zwłoki, rzecz jasna, nie za życia.

No i wtedy właśnie ta jedyna, stwarzająca jakieś nadzieje baba świeciła nieobecnością w kraju. Złośliwa podłość po prostu!

Aczkolwiek przyznała się do bliskiej znajomości z łopatą. Ta druga, jak jej tam, Rościszewska, też się przyznała. Obie przełamały wyraźne wahanie i stwierdziły, że znały tylko jednego człowieka, który mógłby uciąć komuś łeb ową znajomą łopatą.

Komu natomiast ten łeb został ucięty, nie wiedziała żadna z nich i widać było, że mówią prawdę.

Przelot głowy przez alejkę na sąsiednią działkę i pogrzebanie reszty ciała w żyznej ziemi inspektowej nastąpiły w tej samej chwili. Na podstawie stanu inspektu, ustalonego po licznych kłótniach przez sześcioro świadków i potwierdzonego przez wiek żółtej róży, przyjęto termin ściślejszy, mianowicie początek czerwca. Na początku czerwca, dziesięć lat i trzy miesiące temu, ktoś tu kropnął faceta o rewelacyjnej strukturze kostnej i pojawiły się dwie niewiadome. Kto kropnął i kogo?

No i czym, bo łopata pchała się wprawdzie natrętnie, ale jednak budziła nieufność. Nikt w nią nie wierzył.

Komisarz Andrzej Woźniak stracił rozum i cierpliwość tak dalece, że na pierwszy ogień wybrawszy te dwie, które przyznały się do bliższej znajomości z narzędziem, nie przesłuchiwał ich oddzielnie, tylko razem. Zagonił je za altankę, odcinając się od pozostałych świadków, których pilnował przydzielony mu aspirant, żeby nie podsłuchiwali.

Chytrze zaczął od łopaty.

Obie zgodnie, chociaż niejako każda oddzielnie, zeznały, że owszem, o łopacie coś wiedzą. Widziały ją w różnym czasie i możliwe, że nie była to

jedna łopata, tylko dwie. Wykonana została ręcznie. Sama łopata, to znaczy część metalowa, zapewne fabrycznie, ze znakomitej stali narzędziowej, chociaż diabli go wiedzą, tego twórcę, bo jaki zakład produkcyjny robi łopaty ze stali narzędziowej? Ale wyprofilowanie, kształt i naostrzenie, o, to już z pewnością ręczna robota, obie damy oglądały te zajęcia na własne oczy. Właśnie oddzielnie oglądały i każda w innym czasie.

– To był maniak – rzekła z niesmakiem starsza, o takiej ilości nazwisk, że Woźniak wolał pozostawać przy imieniu. Joanna. Przynajmniej normalne. – Zorientowałam się nie od razu, ale teraz jestem pewna. Ostrzył i szlifował wszystko, co mu pod rękę wpadło, wygładzał, zmieniał kształt. Nie potrafił siedzieć spokojnie i rozmawiać bez jakiejś ręcznej robótki, musiało to być nerwicowe.

– Paranoiczne – skorygowała młodsza, Rościszewska, której imienia dla odmiany Woźniak z przejęcia zapomniał. – Jeśli ktoś, zamykając kłódkę przy drzwiach starej, cudzej drewutni, skrobie z rdzy i czyści do połysku równie stary skobel, to nie może to być człowiek normalny. Spóźnił się wtedy na pociąg, co nawet mi pasowało.

– Długo go panie znały?

– Różnie – odpowiedziały równocześnie.

– Co to znaczy, że różnie?

– Nie znałyśmy go razem, tylko każda oddzielnie – wyjaśniła Rościszewska.

– I nie wiedziałyśmy o sobie wzajemnie – dołożyła Joanna. – Przypuszczamy tylko, że to był jeden facet, a nie dwóch różnych.

Woźniakowi wydało się to dość skomplikowane i doznał wrażenia, że temat wymyka mu się z rąk. A, do diabła z chytrością!

– Czy to był ten ktoś, o kim panie powiedziały, że jest jedyny do posługiwania się łopatą w celu popełnienia morderstwa?

– Ogólnie może być takich więcej – zastrzegła się Rościszewska. – Wszystkich nie znamy.

– Poza tym ten jeden, o ile ja wiem, udoskonalał różne narzędzia także w celach bardziej prozaicznych – uzupełniła Joanna karcąco.

– Ten, czy nie ten?! – zachrypiał Woźniak okropnym głosem. – Kogoś panie miały na myśli! Tego, czy nie tego?!

– Jeśli chodzi o paranoiczne ostrzenie, to ja owszem, tego – wyznała łaskawie Rościszewska.

– Producenta łopaty – poszła za jej przykładem Joanna, teraz już z niechęcią. – Mógł, potrafiłby. Byłby zdolny. Co nie znaczy, że musiał ten łeb ucinać i nie znaczy, że koniecznie łopatą.

– Dlaczego w ogóle panie mówią o nim w czasie przeszłym? Czy on już umarł?

Znów zaczęły odpowiadać równocześnie.

– Nic o tym nie wiem, od lat go nie widziałam...

– Dla mnie umarł. Był i już go nie ma...

– ...ale doskonale się trzymał, więc zapewne żyje...

– ...stanowi przeszłość nieodwracalną, więc równie dobrze mógłby leżeć w grobie...

Woźniak siłą wdarł się w ten dwugłos.

– W grobie, czy nie w grobie, ale jakoś się chyba nazywał! Jak? Personalia proszę! Imię, nazwisko, adres!

– Bartosz Bartosz – powiedziała zimnym głosem ta starsza, Joanna.

Ta młodsza gwałtownie odwróciła się do niej.

– Co...?! – spytała ze śmiertelnym zdumieniem, tym razem równocześnie z Woźniakiem, i uzupełniła pytanie. – Skąd to wzięłaś?!

– Nie ja, tylko on. I nawet nie on, tylko jego rodzice. Jak Boga kocham, widziałam dokument, Jeremi i Wanda Bartoszowie dali dziecku na imię

Bartosz. Pokazał mi, bo nie chciałam wierzyć. Może sfałszowany.

Rościszewska ochłonęła z osłupienia.

– Bartoszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei. Na pewno sfałszowany. Bo owszem, powiedział, że ma na imię Bartosz, ale na własne oczy widziałam Bernarda Marczyka, na kwicie za wynajęcie kajaka. Nie pokazywał mi tego specjalnie, tylko wyleciało mu z ręki i zdążyłam przeczytać, ale przedtem jako Bartosz się przedstawił. Słuchaj, a może to jednak było dwóch różnych?

– I jeden leży w kostnicy czy gdzieś tam, a drugi uciął mu łeb? I obaj maniacko ostrzyli? Nic z tego, to był ten sam, ja go już wtedy znałam i... Dobrze, powiem prawdę. Teraz sobie uświadamiam, że jeden raz widziałam ciebie obok, ale nie rozpoznałam cię później, bo wyglądałaś wtedy jak rozczochrane obladro. Ale jak teraz myślę, to musiałaś być ty.

– Zgadza się, wyglądałam wtedy jak rozczochrane obladro. Musiałam być ja. A dlaczego ja cię nie widziałam?

– Bo siedziałam w samochodzie.

Dwoistość hipotetycznego zabójcy przywróciła Woźniakowi opamiętanie. Rozdzielić te baby, z każdą rozmawiać w cztery oczy... nonsens, bzdura! Nagle pojął, że przytrafił mu się rzadki fart, najwyraźniej w świecie one obie też czegoś nie wiedziały, wzajemnie udzielały sobie informacji nieporównanie cenniejszych niż oficjalne, przeznaczone dla niego. Pierwszy raz rozmawiały o znajomym facecie, czy co...? Ależ niech gadają jak najwięcej, słuchać, słuchać i tylko nie dać się im już ogłupić. Trzymać rękę na pulsie!

– Ale ja mu chyba wtedy właśnie zwiałam – powiedziała żywo Rościszewska. – Znudził mnie śmiertelnie, upierał się, że uciekłam z domu, owszem, w tym miejscu się nie pomylił, ale koniecznie chciał mnie

wyciągać z bagna alkoholowego i narkotycznego. Także z rozpusty. No mówiłam ci kiedyś przecież, to właśnie on walczył z rynsztokiem!

– Miał te skłonności – przyświadczyła Joanna. – Niewiele mówiłaś, a ja nie skojarzyłam, ale znów się wszystko zgadza, był nadęty i wściekły, napomykał o tobie, nie udało mu się umoralnić tej upadłej ofiary losu, życie będzie miała zmarnowane, koniec z tobą, zgarną cię pewnie już nieżywą spod jakiego mostu, albo spod ławki na dworcu kolejowym, zaćpaną i na ciężkiej bani. Jego klęska.

– Otóż to. A ja narkotyki miałam już dawno za sobą, nie smakowały mi, nie wierzył...

– On w nic i nikomu nie wierzył.

– A co do alkoholu, to jak sama wiesz, upijam się umiarkowanie, a wtedy właśnie zamierzałam wracać do domu. Rozpusta też mi obrzydła. Złapał mnie po drodze i nie uwierzył, że wracam, w ogóle nie uwierzył, że mam jakiś dom, a skoro nie wierzył w prawdę, zgniewał mnie i zaczęłam łgać na cztery strony świata. No więc uparł się wyprowadzić mnie na prostą i nic mi w końcu nie pozostało, jak tylko mu się urwać. Ale tę jego paranoję narzędziową zdążyłam obejrzeć dokładnie.

– Podwoziłam go wtedy, bo cię śledził. I popatrz, ani razu nie powiedział, jak ci na imię!

– Chwileczkę – przerwał Woźniak niedowierzająco. – Czy panie o tym facecie od łopaty rozmawiają ze sobą pierwszy raz w życiu?

Obie spojrzały na niego, na siebie i znów na niego.

– Owszem. Wygląda na to, że tak – rzekła Joanna zimnym głosem. – A może drugi. W każdym razie po raz pierwszy uzgadniamy szczegóły.

– Napomykało się – uzupełniła cierpko Rościszewska. – Przy okazji i rzadko.

– Dlaczego?

Zawahały się obie, popatrzyły na siebie.

– Czy ja wiem... Jakiś niesmak po nim został. Coś nieprzyjemnego, nie nadawało się do wspominania.

– Jak długo pani go znała i kiedy to było?

– Jakieś osiemnaście lat temu i ta umoralniająca sielanka trwała cztery miesiące.

Woźniak odwrócił się szybko do tej drugiej.

– A pani?

Ta druga, westchnęła, obejrzała się i usiadła na pieńku do rąbania drewna.

– Ja wcześniej. Poznałam go przed dziewiętnastu laty i po siedmiu latach zerwałam znajomość.

– Tak długo wytrzymałaś? – zdziwiła się Rościszewska i też usiadła, wymacawszy za sobą worek z torfem.

– Bo ciągle miałam nadzieję, że uda mi się go uczłowieczyć. Poza tym nie usiłował mnie umoralniać, najwyżej trochę obciosać i ogłupić. W końcu wystrzeliłam wszystkim, co myślę i tego on nie wytrzymał.

– Adres – warknął Woźniak, nie siadając na niczym, bo leżał za nim wyłącznie stos suchych i cienkich gałęzi.

– Co adres?

– Adres poproszę. Gdzie on mieszkał?

– Gdzieś na Sieleckiej. Ale w życiu tam nie byłam i nie pamiętam numeru... Nie zaraz, pamiętam, Sielecka pięć, trzecie piętro, przejeżdżaliśmy tamtędy i nawet pokazał mi palcem, że o, to ten balkon. Jakaś facetka tam stała, zdziwiłam się trochę, ale o nic nie pytałam, bo to było na początku znajomości, więc zachowałam takt i umiar. On nie lubił nachalnych pytań.

Rościszewska znów nie skryła zdumienia.

– Czy my naprawdę mówimy o tym samym psychopacie? Jaka Sielecka, mnie dowlókł na Podchorążych i próbował uczyć, jak się używa łazienki i prysznica, bo takich urządzeń z pewnością nigdy w życiu nie widziałam. Przedtem mnie ciągał po plenerach, łąkach i ugorach, żebym zażyła po wszystkich knajpach i spelunach świeżego powietrza. Namiocik mi rozstawiał. Nienawidzę namiocików.

– Pozbądź się złudzeń, to on. Plenery i namiociki, oczywiście!

– Telefon! – jęknął Woźniak, właśnie pozbywając się złudzeń.

– Twierdził, że nie ma telefonu.

– Tam nie było telefonu.

Odpowiedzi wręcz nałożyły się na siebie. Zabrzmiały tak, że Woźniak, nie mogąc uwierzyć, jednak uwierzył. O kim one mówią, co za facet jakiś porąbany... No, ale jeśli jest to sprawca ucięcia łba łopatą... Obłąkani są zdolni do wszystkiego.

– I żadna z pań nie widziała go od dwunastu lat?

– Ja od siedemnastu – przypomniała Rościszewska.

– Od dwunastu, owszem – potwierdziła Joanna. – Zaraz potem ze złości wyjechałam...

– Dokąd?!

– Do Francji, do Danii, do Kanady, do północnej Afryki... Ale przedtem zdążyłam poznać Marlenkę, na łące, ale tak jakby przez niego, ona go znała. I jeszcze zdążyłam... nie, to w rok później... zaflancować ją tu, na działce, w tym okropnym towarzystwie...

* * *

Marlenka po tamtych dwóch babach wydała się Woźniakowi istnym cudem, kwiatem, źródłem krynicznej wody. Była normalna! I mówiła jednym głosem, a nie dwoma naraz.

– Nie mam pojęcia – powiedziała, zmartwiona. – Trudno określić, kim on był. Jako dziecko uważałam, że to coś w rodzaju wujka, no, wujek to wujek, ale czyim był krewnym, niech mnie pan zabije, a nie wiem. Na oczy go nie widziałam już przeszło dziesięć lat, jedenaście chyba.

– A przedtem widywała go pani częściej?

– Różnie. Czasem codziennie, czasem wcale. Wie pan, ja od dziecka miałam tego fioła na tle roślin, puścić mnie na łąkę i byłam z głowy. Panią Joannę też poznałam na łące, ile miałam lat, jedenaście, dwanaście...? Pokazała mi kruszynę, taki piękny krzak i ostrzegła, że kora ma działanie przeczyszczające... Przepraszam, pan nie o to pytał.

Na działce zwiększyło się pogłowie użytkowników, wyraźnie obrażonych, że są zaniedbywani. Dwie poprzednie rozmówczynie zostały na tyłach budyneczku, Marlenkę Woźniak wepchnął zatem do altanki, do środka, ale tylko do części ażurowej. Coś mu mówiło, że zamykać się z nią w części poniekąd mieszkalnej, to nie będzie dobrze. Marlenka nie protestowała, znalazła sobie jakąś skrzynkę, na której leżał zwinięty szlauch, przysiadła na tym.

– To właściwie kiedy pani poznała panią Joannę? Nie później, przez tego... wujka?

– Tak, przez. To znaczy drugi raz ją wtedy spotkałam i już mi została, a przy okazji okazało się, że oni się znają. A później zaprotegowała mnie na tę tutejszą działkę. Z tym, że nie od razu na stałe, nie ośmieliłam się, tak się tylko pokazywałam kawałkami...

– A wujek co? – spytał Woźniak bezradnie, też usiadł wreszcie na wiklinowym krześle, które mocno zatrzeszczało, i sam uznał, że jego pytanie jest okropnie głupie.

Dla Marlenki wcale nie było głupie. Poprawiła rozjeżdżający się szlauch na skrzynce, żywo zaczęła opowiadać.

– A z wujkiem wyszło dziwnie, jakieś komplikacje. Było tu mnóstwo gadania, że ma być taka szklarnia zrobiona i ktoś obiecał, pani Joanna mówiła, ale to dawno i nic, i jakoś wyszło, nie pamiętam, przy jakiej okazji, że to właśnie wujek, i ona o nim mówiła. Ale dopiero ja go tu przyprowadziłam jeden raz, a potem już sam się zahaczył. Ja go nie spotykałam, bo byłam w klasie przedmaturalnej i miałam mało czasu, więc tak bywałam z doskoku. Jakoś się chyba z nim mijałam. A pani Joanny wcale nie było, wyjechała i jakoś tak mi wyszło, że oni ze sobą zerwali. Możliwe, że przez jedną taką... A potem jego już też nie było, szklarni nie zrobił, został inspekt albo kompostownik, na zmianę, a wujka od tamtych czasów nie widziałam do tej pory i nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. W rodzinie też nikt nic nie wie, a w ogóle moja rodzina prawie go nie znała. Niewiele tej rodziny... I sam pan widzi, że to wszystko jest idiotyczne, nikt go właściwie nie znał, a ja w dzieciństwie słyszałam, że to wujek, gdzie sens, gdzie logika? Chyba że jedna moja ciotka, która jakoś tak w tamtym czasie umarła. Na raka. Nic na to nie poradzę.

Woźniak słuchał opowieści wręcz chciwie i przyglądał się Marlence. Szlauch na skrzynce pod nią nie był związany i ustawicznie się rozjeżdżał, Marlenka wyraźnie czuła, że lada chwila rozluźni się całkiem i ona zjedzie z niego albo z nim razem wprost pod stopy komisarza. Podparła się zatem przezornie nogami w dwóch upatrzonych punktach, zabezpieczając równowagę i bezwiednie przybierając pozę nieco dziwną, ale nader wdzięczną. Nogi miała bardzo ładne i Woźniak oczu od nich oderwać nie mógł.

– To już dość dawno, a tyle pani pamięta – bąknął, bo nic innego do głowy mu nie przyszło.

Marlenka pokręciła głową.

– Ale sam pan widzi, że mętnie. A to był człowiek właściwie nie do zapomnienia, mnie się wydaje, że dziwoląg. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje i dziwię się, że tej szklarni w końcu nie zrobił, bo pracowity był wręcz nieznośnie. I wszystko poprawiał i ulepszał.

Informacje o przypuszczalnym sprawcy nie przeczyły sobie wzajemnie, brzmiały poniekąd zgodnie i Woźniak znów się zmobilizował.

– Gdzie on mieszkał, to pani chyba wie?

– A skąd. Pojęcia nie mam. Jeśli ktokolwiek wiedział, to ta moja ciotka, która umarła. Ona też na jego temat była tajemnicza. Zaraz, ja głupstwa mówię. Jak miał zrobić szklarnię, skoro w środku leżał kościotrup? Może go to zdenerwowało?

– A może sam tego kościotrupa tam ułożył?

Wbrew spodziewaniom, Marlenka nie okazała wstrząsu. Znów poprawiła pod sobą szlauch i zmieniła nieco pozycję.

– Czy ja wiem...? – zastanowiła się. – Fizycznie biorąc, mógłby. Ale po co? I dlaczego miałby kogoś zabijać, i to tutaj, na tej działce? Tu nawet nigdy nie było co ukraść... no, chyba że te jego wyostrzone narzędzia.

Woźniak milczał przez chwilę i myślał. Całe to dziwaczne przesłuchanie miał w głowie i doznawał wrażenia, że usłyszał coś ważnego, co mu umyka, a oprócz tego niby wszystko się zgadza, ale jakaś podejrzana różnica istnieje. No nic, jeszcze ma tu kilka osób...

W tym momencie szlauch na skrzynce rozjechał się ostatecznie i Marlenka nie zdołała go zatrzymać. Powoli i wdzięcznie spłynęła pod stopy komisarza.

– Oni się tam biją, czy on ją gwałci? – zainteresowała się zjadliwie Leokadia, wpatrzona, tak jak i reszta, we wnętrze altanki.

– O, aż takich rozrywek to nam nie dostarczą – westchnęła z żalem Bronka.

– Przecież by chyba krzyczała – zgorszyła się Cecylia.

– Wygniata z niej zeznania – zachichotał Teodorek.

– A nasza niby–siostrzenica wreszcie się znalazła, a siedzi tam z tyłu i siedzi – rozgniewała się Paulina. – Nawet się nie pokaże! Niech Feliks coś zrobi! Gdzie on jest?

– Tutaj – zgłosił się grzecznie Feliks z pieńka po ściętej śliwie. – Nie wypada przeszkadzać. Zaraz się pewnie wszyscy pokażą...

Zgadł doskonale. Woźniak pomógł Marlence podnieść się i uporządkować szlauch, czyniąc to niezwykle starannie i bez żadnego pośpiechu. Sam w siebie wmawiał, że strasznie myśli, co też takiego usłyszał, na co powinien zwrócić uwagę, nic nie wymyślił, bo ta Marlenka była jakaś taka miła w dotyku, i wreszcie zajął się gronem pozostałych, niecierpliwie oczekujących go świadków.

Tylko... właściwie... świadków czego...?

* * *

A teraz znów siedziałyśmy obie z Baśką nad strzępami albumu i nic nam do głowy nie przychodziło, aż wrócił do domu Patryk. Odłożył na blat wiekowej komody przyniesione przedmioty, żelazne i pobrzękujące, i podszedł do stołu.

– No i co? – spytał z zainteresowaniem.

– Nic – westchnęła Baśka. – Zgadujemy, co to może być, ale ciągle nie wiemy, gdzie się znajduje. Tobie coś przyszło do głowy?

– Przyszło. Ale muszę sprawdzić.

Zdenerwował nas do nieprzytomności. Nic więcej nie mówiąc, wygrzebał z kieszeni lupę i zaczął przeglądać uważnie strzępy jeden po drugim. Wreszcie, kiedy już zgodnie i stanowczo postanowiłyśmy go zabić,

wydał z siebie triumfujący, acz niezbyt głośny okrzyk: – Bingo! Jednak dobrze widziałem!

I wydłubał jeden wybrakowany wizerunek czegoś. Pozostałe odsunął nieco na boki.

– Cały czas mnie gryzło jak belka w oku bliźniego. Tak mi się wydawało, ale dopiero pod lupą widać. Tu są ludzie. Przyjrzyjcie się.

Udało nam się nie stuknąć głowami.

– To ludzie? – skrzywiła się podejrzliwie Baśka. – Myślałam, że zasuszone kwiatki.

Rzeczywiście, grupka czegoś małego, jakichś drobiazgów, obok kawałka budynku wyglądała jak przywiędła roślinność, owocki może, albo opryskane czymś listki. Wytężyłam wzrok, wysiliłam się. Nie, jednak nie listki ani kwiatki. Ludzkie głowy i twarze. Dostrzegłam nawet, że jedna głowa ozdobiona jest wielką szopą rozczochranych, rudych kłaków.

– On ma rację – zapewniłam Baśkę. – To ludzie. Łby i gęby. Pamiątkowe zdjęcie rodzinne.

Baśka spojrzała na mnie nieufnie, chwyciła lupę i wpatrzyła się pilnie w niewyraźną grupkę. Podniosła głowę.

– Coś takiego! Fakt. Jak się dłużej patrzy, nawet można twarze rozróżnić. No, prawie...

Zabrałam jej lupę, też się dłużej wpatrzyłam. Twarze jakby rosły w oczach. Wydało mi się, że w jednej widzę coś znajomego.

– Popatrz na to, tutaj. Czy to przypadkiem nie Feliks?

Baśka omal nie rozbiła sobie nosa o stół.

– Niech mnie dzika świnia ukąsi! Wygląda jak Feliks. Tylko młody.

– Otóż to! – przyświadczył dumnie Patryk. Wzrok miał lepszy niż my obie razem wzięte, a do tego pamięć wzrokową godną złotego medalu. Wpadł mu w oko ten Feliks na działce jako mocno starszy pan, a oko

zapamiętało. Potem dostrzegło twarz na zdjęciu pobieżnie obejrzanym, z umysłem nie nawiązało kontaktu, ale kłuło ostrym źdźbłem, informując gniewnie, że coś widziało i zostało zlekceważone. Doświadczony w drobnych detalach Patryk zrozumiał komunikat, szybko podwędził silniejszą lupę w swojej macierzystej konserwacji zabytków i przyleciał z nią do domu.

– Mogę to powiększyć – zaproponował. – I wyostrzyć. Nie, lepiej. Wezmę do kumpla, to ekspert od takich rzeczy, zrobi nam od razu i wydrukuje.

– Może wszystkie powiększyć i wyostrzyć? – podsunęła niepewnie Baśka.

– Nie, coś ty. Robota na dwa tygodnie co najmniej, nie mogę tyle wymagać od człowieka pracy. No, może ewentualnie jeszcze drugie, ale nie więcej...

Drugiego zdjęcia z ludzkimi łebkami jednakże nie było. Człowiek pracy nie został obciążony nadmiernie.

* * *

Zdobyte razem z głową zęby rychło doprowadziły do rozpaczy cały wydział zabójstw z patologiem na czele.

Tak upiornie zdrowych zębów jeszcze nikt nigdy u nikogo nie widział. Wszystkie, całe trzydzieści dwie sztuki z zębami mądrości włącznie, ręką dentysty nietknięte. Posiadacz tego arcydzieła mógł oczywiście bywać u dentysty w celach kontrolnych raz w roku, albo raz na pięć lat, dentyście wystarczało wnikliwe obejrzenie, dotykać nie musiał, a rentgena przecież niepotrzebnie nie robił. I w ogóle może mu nawet karty nie zakładał, widział go raz w życiu, może za każdym razem był to inny stomatolog?

Tyle zębów i do niczego!

Woźniak się wściekł, bo sprawcę właściwie miał na celowniku, a kim była ofiara, ciągle dojść nie mógł. Zażądał rozpowszechnienia podobizny konkursowych szczęk po wszystkich stomatologach w całym kraju, nie dość na tym, puścić to w Internecie, niech wszyscy zobaczą, może ktoś znał takiego. Może mu zazdrościł tych nieludzkich zębów!

Odpowiedzi nadeszły błyskawicznie, głównie od stomatologów, którzy natrętnie pytali, czy i gdzie można obejrzeć prezentowane zęby w naturze i na własne oczy, bo nie są w stanie uwierzyć, że człowiek w wieku średnim mógł posiadać coś takiego. Jeden emerytowany dentysta zawiadamiał, iż owszem, raz w życiu miał pacjenta, którego trudno nawet nazwać pacjentem, ponieważ żadnego absolutnie leczenia nie wymagał. Było to dawno, przeszło trzydzieści lat temu, młody człowiek przyszedł wyłącznie na kontrolę, a jego karta zaginęła w czasie przeprowadzki gabinetu przed laty szesnastu. Uzębienie stomatolog pamięta doskonale, natomiast personaliów pacjenta nie. Ale jest pewien, że drugiego takiego nie ma na świecie.

Pociecha to była niewielka, zęby nic nie dały. Woźniak się uparł, zresztą cały wydział zabójstw popierał go głośno, albo w głębi duszy, widać już było, że należy odtworzyć twarz. Mogli odtworzyć Nefretete, tym bardziej mogą i tę ofiarę NN.

Nikt nie protestował, przeciwnie, najlepszy fachowiec od tych rzeczy sam był ciekaw, jak też wyglądało oblicze takiej przepięknej czaszki i tylko udawał, że grymasi w kwestii terminu. Skrócił miesiąc do trzech tygodni, a i tak dla Woźniaka i patologa były to co najmniej trzy lata. I nic na to nie mogli poradzić.

Na szczęście Woźniak miał co robić. Tożsamość hipotetycznego sprawcy wciąż stanowiła zagadkę, lepiej poznał jego upodobania i charakter niż dane personalne, które twardo dochowywały tajemnicy.

Wnikliwie sprawdził oba adresy, które podały mu te dwie okropne baby, osobiste znajome twórcy łopaty, dzięki czemu poznał jeszcze jedną jego znajomą. Przy Sieleckiej mieszkała niejaka Anna Bobrek, która bez najmniejszego oporu zeznała, że owszem, zna pana podwójnego Bartosza, który przed dwudziestu laty scedował na nią główne lokatorstwo mieszkania. Bez żadnego racjonalnego powodu, tak sobie, za nic. Miała wtedy osiemnaście lat, przedtem chowała się w domu dziecka, a dwa lata wcześniej życie wydało jej się zbyt trudne i próbowała się utopić. Pan Bartosz wyciągnął ją z wody i zabrał do siebie, właśnie tu, na Sielecką. Nie, nie współżyła z nim, nie była jego kochanką, nic z tych rzeczy, pod tym względem był jakby z drewna, za to umożliwił jej skończenie szkoły i zdobycie zawodu. Jest mianowicie introligatorem i pracuje w antykwariacie, gdzie ratuje stare książki. Co do pana Bartosza, to od jedenastu lat nie widziała go na oczy i pojęcia nie ma, co się z nim dzieje.

Komisarz robił, co mógł, żeby ją docisnąć, ale nic mu z tego nie przyszło. O samej Annie Bobrek dowiedział się mnóstwo, o tym upiornym Bartoszu zero. Dla niej pan Bartosz był bóstwem, wielbionym niczym świętość na ołtarzu i nigdy nie ośmieliła się zadać mu żadnego osobistego pytania. Nie, homoseksualistą nie był...

Homoseksualista wskoczył Woźniakowi na usta, bo pani Bobrek była bardzo piękną kobietą, jeśli zatem na nią nie reflektował...

Wykluczone, mowy o czymś takim nie było. Żaden osobnik męski, od chłopczyka do staruszka, nie przyplątał się ani razu. Jednakże pan Bartosz musiał być normalny, bo miał syna i raz go widziała na własne oczy z tym synem, tak przeraźliwie do niego podobnym, że wątpliwości nie wchodziły w rachubę. Natknęła się na nich na przystanku autobusowym, ale pan Bartosz udawał, że jej nie zna, więc i ona udawała, że go nie zna i oczywiście o nic później nie spytała. Żonę...? No, chyba musiał mieć żonę,

a w każdym razie jakąś kobietę, bo sam sobie przecież tego syna nie urodził.

Na Podchorążych wyszło jeszcze gorzej. We wskazanym przez Rościszewską lokalu od piętnastu lat mieszkał grafik w kwiecie wieku, który o panu Bartoszu w życiu nie słyszał. Wcześniej mieszkanie należało do jego tatusia, który właśnie piętnaście lat temu umarł i syn je po nim odziedziczył. Przedtem mieszkał z mamusią na Widok, rodzice byli rozwiedzeni. A siedemnaście lat temu tatusia przez rok nie było, siedział w Stanach, mieszkanie chyba komuś wynajął, ale komu, to już zapewne tylko seans spirytystyczny mógłby wyjaśnić. Mamusia może wiedziała, ale od paru lat też nie żyje.

Woźniak nie popuścił, pogonił swoich ludzi i sam się przeleciał po sąsiadach. A owszem, kilka osób w bardzo podeszłym wieku pana Bartosza pamiętało i wspominało ze łzą w oku. Uczynny był i życzliwy jak rzadko, jednej osobie parę razy zakupy pomógł wnieść po schodach, innej zamek w drzwiach naprawił, jeszcze innej nożyczki tak naostrzył, że sznur od żelazka przecięły i zrobiły krótkie spięcie, błysnęło i huknęło okropnie, ale to przez pomyłkę. Nie ma już takich dobrych ludzi na świecie, a pan Bartosz jakieś dziesięć albo jedenaście lat temu znikł i nikt o nim nic nie wie.

Nożyczki przekonały Woźniaka, że wciąż rozmawia o poszukiwanym sprawcy i zaczął wierzyć, iż natychmiast po dokonaniu zbrodni łajdak uciekł z kraju i wszelki słuch po nim zaginął. Mógł się znajdować wszędzie.

I nikt nigdzie nie miał jego fotografii. W Biurze Ewidencji Ludności takiego faceta nie było. Może w ogóle nazywał się zupełnie inaczej, a prawdziwe nazwisko ukrywał przed światem z wielką starannością. Może wcale nie istniał, wszystkie przyrządy tnące ostrzyły się same, a w

inspekcie na działce leżał samobójca bez głowy, a za to w towarzystwie grabi. I szczątków skąpej odzieży.

Jedyną nadzieją pozostała głowa. Jakoś przecież przynależna do tej głowy twarz musiała wyglądać!

* * *

Kiedy zdesperowany komisarz Woźniak złożył wizytę swojemu zwierzchnikowi, u Roberta Górskiego siedziała akurat jego bratanica, Ewa Górska.

Obecnie Ewa Górska nie miała już trzynastu lat, tylko prawie dwadzieścia cztery i jej poglądy na gołych facetów uległy radykalnej zmianie. Nie znaczy to, że zachłannie i maniacko oglądała męski striptiz, ewentualnie ćwiczenia upiększające kulturystów, ale jęła doceniać twarde mięśnie, szerokie bary, klatkę piersiową, na której miło jest głowę położyć, i tym podobne uroki. Subtelnie i wątło ukształtowani chłopcy przestali jej się podobać.

Nie w tej sprawie jednakże odwiedziła stryja w miejscu pracy. Kończyła właśnie prawo i wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować, co woli, prokuraturę czy policję. Adwokatura z góry odpadała. Nie lubiła przestępców, a zarazem nęciły ją dochodzenia i śledztwa z jej własnym, bezpośrednim udziałem, i tak się miotała w rozterce, żałując trochę, że pięć lat temu nie poszła do szkoły oficerskiej w Szczytnie. Później mogłaby skończyć prawo, niechby i zaocznie, a skoro zaocznie, to może równolegle i teraz miałaby jak znalazł. Łatwiejszy wybór. Stryj, zdaje się, tak właśnie zrobił, no więc przyszła się poradzić.

Woźniak przyszedł się poskarżyć, nie po raz pierwszy zresztą.

Niewiele brakowało, a rozpłakałby się już w drzwiach, ale ujrzał Ewę i szlochy czym prędzej zawstydziły się i zdechły. Znał Ewę, oczywiście,

wszyscy znali bratanicę Górskiego, bywała czasem u stryja, nigdy nie stwarzając żadnego kłopotu. Nigdy też nie wyjawiła nikomu żadnej tajemnicy służbowej, jaka przypadkiem wpadła jej w ucho. Była zatem w pełni akceptowana.

– Cholery dostanę – wyrwało się komisarzowi zamiast powitania. – Zmył się ten palant, albo w ogóle nie istniał! Chciałem powiedzieć dzień dobry.

– Dla kogo dobry, dla kogo nie – mruknęła Ewa, bo nie zdążyła jeszcze od stryja usłyszeć żadnej rady.

– Rozumiem z tego, że nie możecie na niego trafić? – zgadł Górski, zainteresowany sprawą.

Woźniak oprzytomniał troszeczkę.

– Można...? – spytał grzecznie i nie oczekując zaproszenia, usiadł na krześle. – Nie istnieje ścierwo. Istniał, owszem, ale przeszło dziesięć lat temu. Nikt go nie znał, nikt o nim nic nie wiedział, trzy baby się do niego przyznają, a ta z Sieleckiej podejrzana.

– Dlaczego?

– Zacięta. Dopiero teraz z siebie wydusiła komunikat. O czwartej.

– Co o czwartej? Jakiej czwartej? Godzinie?

– Nie. Babie.

– Andrzejku, skup się w sobie i mów porządnie, bo też zaczniesz być podejrzany.

– Już bym chyba wolał – westchnął Woźniak i wyjaśnił.

Piękna Anna Bobrek z wielką niechęcią udzieliła dodatkowej informacji, a i to tylko dlatego, że właśnie wróciła ze szpitala staruszka z tego domu, rozmowna szalenie w sposób wysoce niezorganizowany. Mówiła mnóstwo o wszystkim równocześnie. O papieżu, chociaż nie wiadomo, którym, o nieprzyjemnościach szpitalnych, o rozwiedzionej wnuczce, co ma z nią

zamieszkać dla opieki i mieszkania, o romansie doktora z jedną żoną pacjenta i pielęgniarka przez to straszną awanturę zrobiła, o takim szaliczku w kropki, co jej zginął i podarty się znalazł, o lokatorach, a szczególnie o tym, co piętro niżej mieszkał i miał żonę, ale może to była córka, a taka raszpla za nim latała i pod oknami wystawała, a ta żono–córka, czy córko–żona najpierw na to nic, a potem go chyba wygnała, bo już go dawno nie ma, a szkoda...

Już przy raszpli Woźniak usiłował przerwać rozpędzony słowotok i przez chwilę mówili razem, ale temat był sercu staruszki bliski, więc komisarz batalię wygrał. Dawno temu i nawet całkiem długo przychodziła tu jakaś pod dom i w okna patrzyła, a raz jeden staruszka widziała, jak dopadła pana sąsiada, on z miasta wracał, a ona się go uczepiła jak ten rzep albo i pijawka, i on zawrócił, i razem poszli na spacer. A to wieczór już był...

Woźniak wpadł w szał aktorski i relację świadkini odgrywał z tak wielkim talentem, że zarówno Górski, jak i Ewa poczuli się niczym na widowni. Spektakl ich wręcz zachwycił.

Rysopis raszpli staruszka podała sama z siebie, nawet nie pytana. Wielka była, kudłata i całkiem czarna na łbie i na twarzy...

– Murzynka...? – wyrwało się Górskiemu ze zdumieniem.

– Też tak pomyślałem w pierwszej chwili – przyznał Woźniak, porzucając rolę staruszki i wracając do własnej postaci. – Ale nie, upewniałem się trzy razy, nasza, znaczy rasy białej, tylko brunetka, a czarne na twarzy to były brwi. Umalowane czy naturalne, tego się już nie dowiedziałem, bo pani świadek chętnie godziła się i na jedno, i na drugie. No i zaraz potem dopadłem tej Anny Bobrek.

Pani Bobrek po długim milczeniu raczyła sobie przypomnieć, że owszem, pojawiała się tu jakaś wielbicielka pana Bartosza, który ją zimno i

sztywno tolerował. Kim była, ona nie wie. Rzeczywiście wysoka brunetka o bardzo obfitym owłosieniu, tak obfitym, że nasuwało myśl o peruce, potężnie zbudowana, przy tak zwanej kości. Pojawiała się raczej rzadko i dawno, jakoś tak chyba zaraz potem, jak Anna Bobrek tu zamieszkała. A później znikła z horyzontu i Anna kompletnie o niej zapomniała. Bardzo przeprasza, że nie przypomniała sobie wcześniej.

– Widziałam taką – powiedziała Ewa w zadumie. – Raz w życiu. Nie wiem, dlaczego mi się teraz czknęło.

Po króciutkiej chwili milczenia stała się bardziej interesująca, niż całe śledztwo z przyległościami.

– Gdzie i kiedy? – spytał surowo stryj. Ewa ocknęła się z zadumy.

– Pojęcia nie mam. Ale tak mi jakoś w oczach stanęła, wielka, wspaniała, istna Walkiria...

– Bo ja obrazowo opowiadam – podsunął skromniutko Woźniak.

– Jesteś pewna, że widziałaś, a nie wyobraziłaś sobie tylko?

– Widziałam, gwarantowane. Ale dawno i tak mi się jakoś z czymś kojarzy. Z jakimś przeżyciem albo co.

– Z jakim przeżyciem?

– Moim własnym, prywatnym. Jeszcze w szkole, mówię przecież, że to było dawno. Odniosłam życiowy sukces i ta baba jakoś mi się z nim kojarzy...

– W szkole ją widziałaś?

– W szkole...? Nie. Gdzieś... Nie pamiętam. Musiałabym sobie poprzypominać...

Obaj, Górski i Woźniak, z szaloną gorliwością jęli podsuwać rozmaite miejsca i okazje, ale Ewie nic nie pasowało. Krzywiła się i kręciła głową.

– I kiedy to było, ta wizja? Kiedy taką widziałaś?

– A kiedy powinnam ją widzieć, żeby wam się przydało? Zaraz. A w ogóle o co tu biega i czego dotyczy, bo ja nic nie wiem. O jakimś kościotrupie coś mi w ucho wpadało, ostatnio chyba o jakichś zębach... ale przecież stryj wie, że ja służbowych pytań nie zadaję. I niczego nie powtarzam. No, dużo mi w ucho wpadało, dosyć mętnie, tyle że inne rzeczy były zwyczajne... Moglibyście mi powiedzieć dokładniej, może jakoś sobie uporządkuję życiorys...

Popatrzyli na siebie. Rzeczywiście, Ewa o sprawie nie miała pojęcia, bywała rzadko, a nie każda intrygująca ciekawostka rozbrzmiewała grzmiąco w gabinecie inspektora, wybierając w dodatku chwilę wizyty osoby postronnej. Powiedzieć jej...? Takich rzeczy się nie praktykuje, niby już prawniczka, niby pcha się do służby śledczej, ale jednak... Zaryzykować...?

– Przepraszam z góry i nikt tego nie słyszy, ale ja bym powiedział – rąbnął z determinacją Woźniak, który znał Ewę od początku swojej służby.

– Ja też – mruknął Górski. – To słuchaj. Pięć lat i cztery miesiące temu na działkach, tam gdzie kwiatki sadzi twoja ciotka po kądzieli, znaleźli szkielet płci męskiej, bez głowy. Od pięciu lat sobie leżał...

– Sprawdzone – z naciskiem zapewnił Woźniak i podjął relację dalej, bo w końcu był przy tym. Z grubsza na razie, bez szczegółów.

Ewa słuchała w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami, starannie wyliczając sobie czas.

– To już mi się klaruje. Zaczyna klarować. To wtedy właśnie, tak mniej więcej, ten sukces mi się przytrafił... Koniec roku szkolnego... Co ma do tego działka ciotki...? Zaraz. Ma. *Emancypantki*, pamiętam, padał deszcz, czekałam aż przestanie i ledwo zdążyłam...

Umilkła na długą chwilę. Górski spróbował jej pomóc.

– Co to był za sukces?

– Musiałam napisać takie coś, wypracowanie, poglądy własne na *Emancypantki*, czy jak to nazwać, zła byłam, zmokłam, upały panowały i wcale się nie ochłodziło, sam początek czerwca. I ze złości napisałam prawie kryminał, jak można było z łatwością wykryć, że Kazio Norski nie leci na Adę, tylko na jej szmal, i tej głupiej Madzi oczy otworzyć. Rezultat okazał się wystrzałowy, wydrukowali mnie we wszystkich gazetkach szkolnych i w prasie młodzieżowej, za lekturę szkolną robiłam przez dwa lata, szał i orgia bezcielesna. Podejrzewali mnie, że zerżnęłam z kogoś, ale nikt nie wymyślił, z kogo. Do samej śmierci nie zapomnę, choćbym żyła dwieście lat, bo wcale nie miałam takich ambicji i przestraszyłam się śmiertelnie. No i wśród okoliczności towarzyszących plącze się ta Walkiria.

Górski z Woźniakiem urządzili jej rzetelne przesłuchanie. Górski przypomniał sobie jakąś dawną sensację w rodzinie brata, nie zwrócił na nią wielkiej uwagi, ale coś pamiętał. Ewa wydłubywała z siebie coraz więcej.

– Zaraz – powiedziała niecierpliwie. – Gdzie to było dokładnie? Mam na myśli tego waszego nieboszczyka. Kto go znalazł i gdzie?

– No właśnie na działce, pomiędzy twoją ciotką, a bramą. Bliżej bramy. Leżał w inspekcie, przysypany ziemią.

– I wykopywali bambus – dodał ponuro Woźniak, stosując liczbę mnogą, żeby nie obciążać zbytnio samotnej Marlenki.

– Chromolę bambus. Tam! Deszcz padał, taka mżawka, przechodziłam i spojrzałam, bo w ogóle było pusto. Wspaniała facetka, czarne kłaki wyłaziły jej spod kaptura, takiego foliowego, stóg siana można było z nich zrobić, tyle tego miała. I brwi, pasowały do włosów, też czarne, ale wyglądały na prawdziwe. Nie raziły. Opalona była porządnie, więc może dlatego, kolorystyka konsekwentna. Coś głupiego miała na sobie... A, taki fartuch na szelkach, w kolorowe kwiatki, nadawał się dla niej jak wół do

karety, pod fartuchem goła. I foliową płachtę, przezroczystą. Musiałam chyba coś pomyśleć, bo pamiętam, w oczach mi stoi.

– Po co tam poszłaś w deszczu?

– Jak to po co, po *Emancypantki* właśnie! U ciotki w altance zostawiłam przez pomyłkę i potem czekałam aż przestanie padać. No i ostatnia chwila mnie za gardło złapała, na jutro musiałam napisać.

– Sama była ta baba? – spytał Woźniak chciwie.

– Nie wiem. Ach nie, co ja mówię, wiem! Tam był facet. Też wielki i goły, nie spodobał mi się, to pamiętam doskonale...

– Całkiem goły? – wtrącił podejrzliwie Górski.

Ewa znów zamyśliła się na chwilę.

– Górą całkiem, ale na tyłku miał chyba kąpielówki, a może gacie gimnastyczne, ciemne, nie białe. Krótkie. Co na nogach, nie wiem, zielsko zasłaniało. Boże drogi, co to był w ogóle za dzień jakiś okropny, to dlatego tak mi się wszystko przypomina, od rana, pogotowie przyjechało przez pomyłkę, uparli się szukać u nas rannego, a chodziło o sąsiadów piętro wyżej, potem Tomek przyniósł ze szkoły karalucha, mutant jakiś, bo strasznie wielki, babcia Wiesia dostała amoku, awanturę zrobiła przeraźliwą...

Górski kiwał głową, ale Woźniak nie znał dokładnie szczegółów prywatnej egzystencji zwierzchnika i jego rodziny. Nie ośmielił się pytać, miał jednakże taki wraz i warzy, że Ewa poczuła się zmuszona udzielić wyjaśnienia.

– Tomek, mój młodszy brat, interesował się zoologią i przynosił rozmaite zwierzątka skąd się dało. Najchętniej hodowałby w domu nosorożca, konia, a chociaż owcę, ale nie mieściły się, za ciasno było, więc zdobywał mniejsze. Od tego karalucha z babci wulkan wystrzelił i później, jak już wracałam z działki z *Emancypantkami*, na widok tej czarnej facetki

pomyślałam, że gdyby była na miejscu babci, cały dom rozniosłaby z wielką łatwością...

– A facet? – spytał Górski.

– No właśnie – westchnęła Ewa. – Wydał mi się obrzydliwy, bo za dużo go było. I tej jego golizny. Więc czym prędzej znów spojrzałam na babę i dlatego mi w oczach została. Bo przecież ile to trwało, pięć sekund, dziesięć...? Przechodziłam normalnym krokiem, deszcz mżył, rośliny zasłaniały, ile można zobaczyć? A jednak ją pamiętam... Nie, zaraz. Coś mi chyba upadło, zbierałam to, co to mogło być...?

– Wszystko jedno, zbierałaś. I coś więcej? Był tam może ktoś jeszcze? W krzakach nie majaczył?

Ewa zawahała się, zastanowiła.

– Nawet jeśli majaczył, ja nie widziałam. Za to słyszałam.

– Co słyszałaś?

– Trudno powiedzieć. Głos. Chyba męski. I tak mi się wydaje, że z tej działki wychodził, ale za to już głowy nie dam. Treści nie znam, chyba w ogóle do mnie nie dotarła, więc nie ma co marzyć o przypominaniu. Sam głos był wstrętny, jakiś taki okrutny. Bezlitosny. Aż mi się zimno zrobiło i ciarki przeleciały mi po plecach.

– I treści nic?

– Prawie nic. Ale mam wrażenie, że przeciwko czemuś protestował. Poza wszystkim, deszczyk trochę szeleścił.

– Cholerna szkoda! – zmartwił się Woźniak. – A co w ogóle oni tam robili?

Ewa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. On stał prawie tyłem do mnie i nie kiwał się nijak, nie schylał się na przykład, ani nic. Mógł dłubać w nosie. A ona też stała i wspierała się na drągu.

– Na drągu...! Na jakim drągu?

– Też nie wiem. Solidnym chyba, bo byle jaki by jej nie utrzymał.

– I kiedy to było dokładnie? Jakiego dnia?

– O rany, to zupełnie jak przesłuchiwanie podejrzanego! Co pan robił w czwartek o szesnastej miesiąc temu, kto takie rzeczy pamięta? Ale mogę sprawdzić, na pewno mam zapisane w kalendarzyku z tamtego roku. Nie wyrzucam kalendarzyków na wszelki wypadek.

– To sprawdź – poprosił Górski bardzo stanowczo.

– Jesteś perłą po prostu bez skazy – zaopiniował Woźniak uroczyście i jeszcze bardziej stanowczo.

Ewa chętnie zgodziła się na perłę i obiecała zadzwonić do stryja natychmiast po powrocie do domu.

* * *

Owszem, na powiększonym i wyczyszczonym zdjęciu znajdował się rzeczywiście Feliks. Czterdzieści lat młodszy, ale szczupli faceci o wyrazistych rysach twarzy nie zmieniają się zbytnio z wiekiem, o ile nie łysieją i nie zapuszczają brody. Pozostałych osób w postaci sześciu główek, również powiększonych, nie znałam.

Za to Baśka znała.

Bardzo długo wpatrywała się w nie przez lupę, w milczeniu, zbulwersowana, zesztywniała i prawie widać było, jak jej się coś pod skórą kotłuje. Dźwięk żaden z niej nie wychodził i wyglądało na to, że nie wyjdzie już nigdy w życiu.

– Na zawsze jej tak zostanie? – zaniepokoił się szeptem Patryk. – Kogo ona tam zobaczyła?

– A diabli wiedzą...

Baśka odzyskała wreszcie głos...

– Coś na wzmocnienie – powiedziała nieco ochryple. – Może być koniak.

Patryk ją obsłużył, rąbnęła sobie bombę i odetchnęła głęboko. Patrzyliśmy na nią pytająco.

– Tę starą klępę poznałam osobiście, kiedy miałam cztery lata. I do końca życia jej nie zapomnę, bo mi się czasem śni po nocach.

– Która to?

Popukała paznokciem w niewyraźną podobiznę. Przyjrzałam się i podsunęłam zdjęcie Patrykowi. Niech się też ucieszy, co za okropna twarz! Z cienkim, krogulczym nosem, z czarnymi oczami osadzonymi w samej głębi głowy, wręcz bliżej potylicy niż frontu, w dodatku tuż obok siebie, niemal bez żadnej przerwy, wyglądały jak zez.

– Gdyby mnie miała w nocy zmora dusić, wolałabym przyjemniejszą aparycję – skrytykowałam. – Kto to jest?

– Był. Znaczy była. Wnioskując z wieku już chyba zeszła z tego świata, chociaż takie strzygi żyją w nieskończoność. Ciocia Rysia.

– Co ci zrobiła?

Baśka wzięła głęboki oddech, pomacała po stole, znalazła papierosy, Patryk pstryknął jej zapalniczką.

– Przyprawiła mnie o konwulsje. Schyliła się, wyciągnęła do mnie takie kościste szpony i powiedziała: „Moja mała dziedziczka!”.

– Urocze. Tu już wiekowa, to ile miała lat, jak cię straszyła?

– A bo ja wiem? Ze sześćdziesiąt, ale mnie się wydawała tysiącletnia. Przez całe lata myślałam, że „dziedziczka” to jest jakiś rodzaj klątwy, a już na pewno obelga.

– Zdjęcie sprzed co najmniej czterdziestu lat – zauważył Patryk. – Teraz by setki dociągała. Naprawdę myślicie, że jeszcze żyje?

– Ja nic nie myślę – zastrzegłam się na wszelki wypadek.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – powiedziała Baśka ponuro. – Obiło mi się o uszy kiedyś tam po drodze, że ten cały spadek został przede mną ukryty i rozproszony przez ciocię Rysię. Uparła się i otumaniła resztę rodziny ze spadkodawcą na czele. Oprócz tego judziła przeciwko mnie i przez nią zaczęłam uciekać z domu. Tyle mojej wiedzy i więcej nie urodzę. Domyślam się, dlaczego, ale na razie nie powiem, bo mogłoby mnie zadławić.

Zabrzmiało to wysoce niepokojąco.

Milczeliśmy przez chwilę.

Patryk okazał rozsądek.

– Dobra, nie mów. Tylko wychodzi mi, że urokliwa ciocia Rysia jest twoją rodziną. To co ona ma do tego całego Feliksa?

– No właśnie – poparłam go szybko. – Albo on do niej?

Baśka po namyśle i jeszcze jednej bombie koniaku zaczęła się ożywiać.

– Zapytam go. Najzwyczajniej w świecie jak człowiek człowieka, gęba służy nie tylko do wchłaniania pokarmu. Pójdę do niego z tym zdjęciem i zapytam. Tylko przedtem rzeczywiście muszę zrobić u siebie rewizję i wygrzebać wszystkie papiery, bo może jakąś pomoc w nich znajdę. O rany, co za potworna praca!

Byłam dokładnie takiego samego zdania. Udziału własnego w przedsięwzięciu nie proponowałam, talent do porządkowania papierów zawsze miałam tak wielki, że cokolwiek wzięłam do ręki, natychmiast ginęło. Żywiłam nadzieję, że Patryk okaże się użyteczniejszy.

– A ciekawe, swoją drogą, kogo on kropnął tą łopatą... – powiedziała jeszcze Baśka, na nowo zadumana.

* * *

Ewa Górska nie miała żadnego bałaganu w papierach, znalazła odpowiedni kalendarzyk i powiadomiła stryja, iż scena ogrodowa w letniej mżawce miała miejsce szóstego czerwca o siedemnastej dwadzieścia do trzydziestu.

– Wyszłam ze szkoły o wpół do trzeciej – oznajmiła beznamiętnie. – W domu już grzmiało tym karaluchem Tomka. Zjadłam byle co i od razu pojechałam na działkę ciotki. Komunikacją miejską. Godziny szczytu, korki były, przesiadałam się, po drodze jeszcze wstąpiłam do sklepu i już wiem, co mi upadło, bateryjki kupiłam na zapas, dużo, w takich śliskich, plastikowych opakowaniach. Dotarłam tam za dziesięć piąta, patrzyłam na zegarek, bo mnie te *Emancypantki* dręczyły. Poleciałam do altanki, znalazłam książkę, trochę potrwało, bo od razu zaczęłam nad nią myśleć, mam tu nawet zapisane jedno zdanie i razem wziąwszy, zeszło do dwadzieścia po piątej. O pięć minut nie będę się sprzeczać. Do komunikacji miałam fart, krótko po szóstej byłam w domu i usiadłam do odrabiania lekcji. Przedtem zdjęłam mokre łachy. Zanotowane mam tu mnóstwo i dlatego pamiętam.

Górski pomyślał, że Woźniak miał rację, bratanica była perłą.

– Szkoda, że nie szłaś wolniej, może byś obejrzała cały spektakl. Zaraz złapię Andrzeja.

Andrzej Woźniak, rzecz oczywista, natychmiast oddzwonił do Ewy i pomaltretował ją trochę, po czym uświadomił sobie, że ma przecież jeszcze jedną informatorkę, piątą. I możliwe, że ta właśnie, zaniedbana, okaże się najlepsza, szczególnie, że chyba już coś jej się wypsnęło...

Ewie zaś, wpatrzonej w kalendarzyk, pamięć ruszyła. Zbierała bateryjki, deszcz jej siąpił na plecy, mocniej lunął... Przy zbieraniu...? A zza zielska dobiegał ten okrutny, bezlitosny głos. Co on mówił, rany boskie, gdyby do niej ktoś mówił takie rzeczy, zabiłaby! Wszystko jedno czym, a niechby i łopatą, zaraz, przecież ten drąg, na którym wspierała się Walkiria, to była

łopata... Ale ona płakała. Buntowniczo. Ale płakała, więc czy to możliwe...?

Kalendarzyk przemawiał, a pamięć Ewy upierała się przy intensywnej pracy, ale Woźniak, rzecz jasna, nie mógł o tym wiedzieć.

Złapał na komórkę Marlenkę, teraz już z czystym sumieniem, bo nie dlatego łapał, że ona mu się podoba, tylko dlatego, że stanowczo powinna coś wiedzieć. Praworządnie i służbowo.

– Mam gdzieś przyjechać? – zaniepokoiła się zdyszana nieco Marlenka. – Ja właśnie z działki wychodzę, bo już prawie ciemno się robi, ale zmęczona jestem. To wrzesień, dużo roboty odwaliłam i chciałabym do domu.

– Ależ nie, broń Boże, nigdzie pani jechać nie musi – uspokoił ją Woźniak czym prędzej. – Jeśli pani pozwoli, ja przyjadę do pani, mam tu w aktach pani adres. Bardzo mi zależy na chwili rozmowy, dopóki mam w głowie świeże zeznania.

Marlenka też miała, nie w głowie, a w torbach, świeże owoce i warzywka, przed chwilą zebrane na działce, jakoś jej się te świeżości zbiegły, wyraziła zatem zgodę skwapliwie. Posiadała skuter, niemłody, ale sprawny, w domu zdążyła nawet umyć się i przebrać.

Przy oryginalnym poczęstunku, złożonym z gotowanego bobu i surowych witamin, praworządna rozmowa potoczyła się dziarsko. Na pierwszy ogień poszła Walkiria, Marlenka nie ukrywała niczego.

– No owszem – wyznała z lekkim zakłopotaniem. – Była taka facetka, mam wrażenie, że natrętna. Widziałam ją parę razy, więcej nawet, może kilkanaście, tyle że przelotnie, ale to dawno, z piętnaście lat temu, i właściwie tylko dlatego ją zapamiętałam, że rzucała się w oczy. Kolorystycznie efektowna i wręcz z niej buchało. Taki... nadmiar życia.

– I jak on się objawiał, ten nadmiar życia? – docisnął chciwie Woźniak.

Marlenka zakłopotała się bardziej.

– Wie pan, aż mi głupio. Bo wizja mi się wtedy zalęgła, sama z siebie, idiotyczna. Wielka posadzka, strasznie brudna, woda, ścierki, trzeba ją umyć i ta wspaniała Horpyna już się rwie, ręce jej latają, rzuca się na te ścierki, szoruje wszystko w tempie kilometr kwadratowy na minutę, a posadzka wprost kwiczy blaskiem. Krótka wizja, ledwo błysnęła, a bez powodu, bo ona stała na ulicy, żadne ścierki się w pobliżu nie poniewierały i niczego do szorowania nie było. Ale mi utkwiło, może przez ten brak sensu. Jakoś tak do niej pasowało.

– A wuj...?

– Co wuj?

– Związek tej osoby z pani wujem?

– A...! No właśnie, nawet tego, pożal się Boże, wuja obok nie było, sama stała, chyba czekała na coś. Ale oczywiście już wcześniej w towarzystwie wuja ją widziałam i wcale nie zwróciłabym uwagi, gdyby nie ta jej rozszalała żywotność. Wewnętrzna. Wie pan... – zamyśliła się nagle. – Jak pies. Pies siedzi w bezruchu, nawet nie drgnie, ale widać, jak całym sobą czeka na polecenie pana, w pana wpatrzony, gotów na wszystko. Albo idzie przy nodze, grzeczny, spokojny, prawie do pana przytknięty, a jest w nim ta gotowość, czuje się ją, od nosa po ogon tylko panem wypełniony... Coś takiego w niej było.

Woźniak lubił psy, znał się trochę na nich, zrozumiał Marlenkę doskonale.

– Musi być świetnie wytresowany, chętny, i kochać tego swojego pana nad życie... – zaczął z zapałem i zreflektował się, bo nie o psach tu przyszedł rozmawiać. Psy mogły zostać na deser. – I ona też tak wyglądała...

– Zaraz, ja ją przecież jeszcze i później widziałam – przypomniała sobie nagle Marlenka. – Raz, a może dwa razy, tak ze trzy lata temu, albo i cztery. Ale nie pamiętam dokładnie kiedy, ani gdzie i teraz myślę, że to dlatego, że się zmieniła. Poznałam ją oczywiście, chociaż wydała mi się trochę inna, ta psia żywotność z niej znikła. Była zwyczajna, taka... obojętna. Przeciętna. Jakby zrezygnowana. Jak pies, który stracił nadzieję. Cały ogień w niej wygasł, siła została, ale bez ducha. Chyba nawet pomyślałam, że wuj znikł z horyzontu i jakoś tam ją odpędził od siebie.

Woźniak poczuł, że w nim samym lęgnie się psia żywotność. Z szaloną energią zaczął obgryzać wyjątkowo twardą gruszkę. Odpędzona baba, czy nie odpędzona, miała prawo dużo wiedzieć.

– Gdyby pani mogła jednak przypomnieć sobie bodaj mniej więcej, gdzie... chociażby w jakiej dzielnicy...

– O, to wiem. Na Mokotowie. No, może niezupełnie, Sadyba, Czerniaków, Wilanów... W każdym razie w południowej stronie, inne strony świata odpadają. Ale ściślej nie dam rady, bardzo mi przykro, bo widzę, że panu na niej zależy.

– Na każdym, kto znał pani wuja...

Marlenka prychnęła z niechęcią, pomacała gruszki i wybrała sobie bardziej miękką.

– ...ale ciągle słyszę o kobietach – kontynuował Woźniak. – On nie miał żadnego znajomego płci męskiej? Żadnego przyjaciela?

Marlenka zastygła na moment przed ugryzieniem owocu.

– A wie pan, że nie – powiedziała powoli, wyraźnie zaskoczona. – Teraz, jak tak się zastanawiam, żadnego faceta sobie nie przypominam. W tamtych czasach nic mnie to nie obchodziło i nie zwróciłam uwagi, ale teraz widzę, że ma pan rację. Na niego baby leciały, a faceci go nie lubili. A on był dla

nich, dla tych bab, taki wściekle uczynny, taki grzeczny... użyteczny... chociaż... zaraz. Był...? A może to one dla niego były...?

Woźniak czekał dalszego ciągu, nic nie mówiąc. Prowadził dochodzenie i miał przed sobą świadka chętnego i bez wątpienia prawdomównego. Doświadczenie całych pokoleń śledczych wykazywało, że nigdy nie wiadomo, jaki nieważny pozornie drobiazg, jakie głupstwo, okaże się bezcenne dla śledztwa. Marlenka z całej siły starała się uporządkować swoje wrażenia z dzieciństwa i pączkującej młodości, bo ten Andrzej właściwie bardzo jej się podobał...

– Parę razy tak się natknęłam, przez te wszystkie lata na palcach jednej ręki można policzyć, no, niech będzie dwóch rąk. Za każdym razem to samo. One wszystkie były młode i piękne, i takie w niego wpatrzone jak w bóstwo jakieś, takie... gorliwe. Aż lśniły. Wszystko dla niego zrobią, wszystko poświęcą! A on miły, grzeczny, prawie czuły, ale widać było, że wcale nie chce, żeby cokolwiek dla niego poświęcały. Wie pan, mnie takie wrażenie w pamięci zostało, bo zawsze było identycznie. Żadnej z nich bym z twarzy nie rozpoznała, a to coś... te takie... międzyludzkie... utkwiło. W dzieciństwie nie zdawałam sobie z tego sprawy, później owszem, zauważyłam, ale dopiero teraz ubieram w słowa. Chyba nakłonił mnie pan do opisania widoku. Wcale mi się to nie podobało.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Muszę pomyśleć. Coś tu było nie w porządku. Tak z grubsza wydaje mi się... jak by tu powiedzieć...

Przez chwilę obydwoje milczeli, usiłując rozwikłać psychologiczne komplikacje. Woźniak z rozpędu zjadł nawet białe pestki niezupełnie dojrzałej gruszki, najwidoczniej dobrze mu to zrobiło, bo przecknął się i wyplątał umysł z tych takich międzyludzkich.

– Zaraz. A co on właściwie robił, ten pani wuj? Gdzie pracował?

Marlenka nie starała się nawet ukryć zaskoczenia.

– Nie mam pojęcia. Coś podobnego! I nawet w rodzinie nie słyszałam. Moment, niech się zastanowię... On był chyba na rencie.

– Na jakiej rencie?

– Zdrowotnej. Inwalidzkiej. Tak mi się majaczy.

– A co mu było?

Zaskoczenie wyraźnie wyskakiwało z Marlenki prawie po każdym pytaniu. Teraz dopiero uświadamiała sobie, jak mało wiedziała o człowieku, który przez całe jej życie plątał się po rodzinie. Właściwie znała go lepiej tylko ta ciotka, która już dawno nie żyła, cała reszta trzymana była na jakiś dziwny dystans.

– Nic mu nie było – powiedziała energicznie. – Jeśli na coś był chory, to chyba tylko na umysł, bo poza tym zdrowy i silny do obrzydliwości. Ciągle coś robił, coś załatwiał, naprawiał... o, już zgaduję. Nerwica! Przez chwilę nie mógł usiedzieć spokojnie, musiał się czymś zajmować. Nie lubiłam go.

– Dlaczego?

– Bo wiecznie wszystko krytykował, ganił, dobrego słowa z siebie nie wydusił, zwyczajną, szczerą pochwałą pewnie by się zadławił. I taką śmiertelną powagą był zawsze wypchany, podobno powaga jest tarczą głupców, możliwe, z poczucia humoru był wyjałowiony. Mnie to gniotło. Doskonale pamiętam, ile razy znajdował się w pobliżu, w powietrzu wisiał jakiś ciężar, tak to odczuwałam i prawie zaczynałam się bać. Dlatego tak mało miałam z nim kontaktu, bo robiłam co mogłam, żeby się oddalić byle gdzie. Chociaż przyznaję, że umiał i wiedział mnóstwo! Ale zawsze lepiej od innych, nikt nie miał prawa wiedzieć więcej, musiał mieć ostatnie słowo. A jeśli czegoś już całkiem nie wiedział i nie było siły, temat przestawał istnieć w mgnieniu oka, stawał się nieważny, niesmaczny, tylko cham mógłby o czymś takim rozmawiać. Albo się czymś takim zajmować.

Woźniak pojął nagle, że usiłując dotrzeć do sprawcy zbrodni, po drodze odkrył motyw. Genialne! Oczywiste! Ten przepiękny szkielet, ta nieskazitelna czaszka, zęby, denat był doskonalszy niż sprawca i nadęty palant nie mógł tego znieść, musiał usunąć konkurencję ze świata! Ach, dopaść go wreszcie...

– Już wiem! – wykrzyknęła znienacka Marlenka. – Sadyzm!

Woźniak omal nie złamał sobie zęba na pestce od śliwki.

– Co sadyzm?

– Te piękne i głupie facetki. On je traktował sadystycznie. Taki był dla nich czuły, dobrotliwe bóstwo, chciał, żeby się w nim zakochały, długo się starać nie musiał, one już nabierały wielkich nadziei, aż się trzęsły, że coś z tego wyniknie, każda myślała, że jest jedna na świecie i czekała tego dalszego ciągu, a tu chała. A on się nad nimi pastwił, psychicznie znęcał, bo omamiona kretynka w objęcia mu się rzuca, a on jak drewno, z kamienną twarzą ją z siebie otrząsa i nic z tych rzeczy. Słowo daję, raz taki moment widziałam! Ona ma go wielbić, ale bez wzajemności, tak sobie życzył. Uważam, że to sadyzm i okrucieństwo, nie zastanawiałam się nad tym, ale chyba wywęszyłam. Jak zwierzę. I nie lubiłam go bez zastanowienia.

Woźniak wyraźnie poczuł, że też tego sprawcy bardzo nie lubi i tym bardziej będzie go szukał. Niech tylko ujawni się wreszcie tożsamość ofiary!

Postanowił wykonać portret pamięciowy czarnowłosej Walkirii, bo na żadne zdjęcie nie było co liczyć, a tak natrętna baba o tym całym Bartoszu powinna wiedzieć najwięcej. Marlenka chętnie wyraziła zgodę, doskonale pamiętała adoratorkę wuja zarówno kwitnącą w przeszłości, jak i starszą, zrezygnowaną. Ponadto do dyspozycji była jeszcze Ewa Górska, zainteresowana tematem.

Wreszcie przeszli do deseru i z wielkim zapałem przerzucili się na pogawędkę o psach. I tak im się jakoś przyjemniej zrobiło...

* * *

Zamieniwszy mieszkanie w składnicę makulatury, Baśka odnalazła osobliwy dokument. Do kopii testamentu ciotecznego dziadka przypięta była kartka, do niej osobiście zaadresowana, ręcznie pisana, z której to kartki wynikało, iż w razie gdyby ciocia Rysia opuściła ten niegościnny padół zbyt wcześnie, spadkowe mienie, dla niej przeznaczone, ma przypaść jej synowi, Anzelmowi. Cioteczny dziadek liczy na Baśkę, że tego dopilnuje.

Baśka wpadła w furię.

– Jasna cholera, wszędzie pluta i kopana – warczała przez zaciśnięta zęby. – Synek, psiakrew, Zelmuś parszywy, było coś takiego, pamiętam! Urodę wzięło po mamusi, obrzydliwość, gówno dopilnuję, szlag mnie trafi i jeszcze może mam tego szukać, co...?!

Rąbnęła pięścią w stół, trzasnęła kieliszkiem o podłogę, zmiotła z blatu komody cały stos papierów. Metalową popielniczkę, będącą niegdyś zakrętką od jakiejś puszki, usiłowała wyrzucić przez okno, ale popielniczka odbiła się od ramy okiennej i wróciła, siejąc niedopałkami. Trochę popiołu wpadło jej do butów.

– I jakie mienie, do wszystkich diabłów, mienie dla zezowatego parszywca, jeszcze czego...!

Przysunęłam ku sobie swoją szklankę z herbatą, moich butów popiół nie sięgnął, więc siedziałam spokojnie. Patryk zaczął zgarniać makulaturę z podłogi.

– Może ona jeszcze żyje – rzekł pocieszająco – i parszywiec nie będzie potrzebny...

– Ale co żyje, jakie żyje, nieśmiertelna?! Ma sto lat!!!

– Tylko dziewięćdziesiąt sześć.

– Skąd wiesz?!!!

– Gdzieś tu w tych papierach wpadła mi w oko jej data urodzenia...

Baśka jęknęła okropnie i spróbowała walnąć głową w cokolwiek, ale nic odpowiedniego w pobliżu nie było, do komody siedziała bokiem, a stół stał za daleko. Też zresztą usłany papierami, więc niezbyt twardy.

Z wyjaśnień, pochodzących ze stosów dokumentów, listów prywatnych i urzędowych, oraz tysiąca notatek, zapisków, luźnych kartek, a nawet marginesów gazet, zrozumiałam, że komplikacje rodzinne przerosły wszelkie wyobrażenia. Ojciec Baśki umarł później niż cioteczny dziadek, matka krótko po nim, Baśka już była pełnoletnia, a w ogóle wychodziło mi jakoś dziwnie, że tych ojców było dwóch.

Ciotecznego dziadka Baśka widziała parę razy wyłącznie w bardzo wczesnym dzieciństwie i nigdy więcej. Testament omijał średnie pokolenie i najmłodszą dziewczynkę czynił główną spadkobierczynią rozproszonego dziwnie mienia po przodkach. Rodzony syn ciotecznego dziadka został wydziedziczony, wiedział o tym i póki życia, robił nieustające piekło na ziemi, na szczęście jednak umarł. Ściśle biorąc, zabił się w samochodzie, jadąc nim na ciężkiej bani. Był tak sympatyczny, że cała rodzina doznała niebiańskiej ulgi.

Sprawa najwyraźniej została załatwiona jeszcze w dzieciństwie Baśki bez jej wiedzy i zainteresowania, bo zajęta była wtedy głównie uciekaniem z domu. Coś innego wchodziło tu w paradę.

Wedle niejasnych wzmianek nie był to jedyny testament, istniał jakiś drugi, ważniejszy, po pradziadku w prostej linii, możliwe, że był to nawet pra–pradziadek. Pra–pradziadka Baśka nie znała wcale, ale też miała być jego spadkobierczynią. Dwóch ojców, dwa testamenty, istny obłęd, można

było od tego zwariować. Rozmaite daty wprowadzały dodatkowe zamieszanie.

Pochodzące z testamentu ciotecznego dziadka legaty dla cioci Rysi, dla jakiejś Marceliny, dla jakiegoś Antosia i jeszcze kilku osób były nieprawomocne i pozostawione honorowi szlachetnego wykonawcy testamentu. Względnie szlachetnym spadkobiercom. Nazwisko wykonawcy nie znalazło się nigdzie, za to znalazła się wzmianka o tajemniczym zastrzeżeniu, czy też warunku, który musiał zostać spełniony, żeby spadkobierczyni mogła dostać swoje. Nie było pewne, do którego z testamentów wzmianka właściwie należy.

Przy warunku Baśka pozgrzytała zębami i ponownie wydała z siebie wściekły warkot.

– Ja wiem, co to za warunek! Jestem pewna, że wiem! Syf i malaria, żółta febra i czarna ospa! Podsłuchałam kiedyś! Przez usta mi nie przejdzie!

– Na to wszystko masz być chora? – zatroskałam się cierpko. – Przodków miałaś niezłych, ale żeby do tego stopnia...?

– To są kopie – zauważył Patryk. – Nawet może tylko brudnopisy, bo nie podpisane, oryginały ma pewnie wykonawca. Ale jest trochę konkretów.

– Gówno mi przyjdzie z tych konkretów!

Istotnie, najwięcej było mętnych notatek o kawałkach poukrywanych majętności, wynikała z nich niezła forsa. Miejsc ukrycia nie wymieniono nigdzie, znalazła się za to niewyraźna kopia czegoś w rodzaju osobliwej umowy, z której wynikało, że Baśka ma poślubić Zelmusia. Brakowało końca, nie dowiedzieliśmy się zatem, jakie konsekwencje poniesie, jeśli odmówi zgody na mariaż.

Baśka rzuciła się do otwartego okna, ale nie wyskoczyła przez nie, tylko napluła na ulicę.

– To jest robota cioci Rysi, głowę daję – oznajmiła już spokojnie, wróciwszy do stołu. – Niech sobie sama poślubia Zelmusia. Coraz bardziej podejrzewam, że o tym tajemniczym wykonawcy wszystko wie Feliks, tak mi coś jakoś w duszy gra. A może tylko mam nadzieję. Wykonawca już umarł, a Feliks dusi w sobie i nie wie, co z tym zrobić. Pozbieram trochę tych śmieci i pójdę do niego. Ty wiesz, gdzie on mieszka? – zwróciła się do mnie.

– Wiem, na Belgijskiej. Ale czekaj, mówiłyśmy już o tym, niemożliwe, żeby cię potraktował jak obcą osobę i ani słowem się nie zdradził...

– A skąd on miał wiedzieć, że ona to ona? – przerwał Patryk. – Tylko na tej zbrodniczej działce wszyscy byli razem i nikt się nikomu nie przedstawiał.

– Ale gliniarz mówił...

– Nic nie mówił. Twoje nazwisko nie padło.

– On ma rację – przypomniałam sobie. – Od razu nas wepchnął za altankę i potem z całą resztą rozmawiał oddzielnie. Po nazwisku nie wzywał. A Feliks chyba nie ma twojej fotografii?

– Jeśli ma, to w postaci niemowlęcia. Możliwe, że przez trzydzieści lat odrobinę się zmieniłam.

Jednakże wciąż nie pasowało mi to do Feliksa. Tkwiło we mnie przekonanie o jego nieposzlakowanej uczciwości i solidności, powinien chyba w obliczu testamentu i tych wszystkich warunków, które Baśka miała spełniać, idiotycznych czy nie idiotycznych, ale uprawomocnionych niejako słowem honoru, trzymać rękę na pulsie i wiedzieć o Baśce wszystko. Przynajmniej, jak wygląda i co się z nią dzieje. Bo może coś tam już spełniła bezwiednie?

– Dziwne...

– A jeśli mnie nie szukał i nie interesował się, mogłam go nie spotkać nigdy w życiu. I wzajemnie, on mnie.

– Nieoczekiwana przysługa...?

Nagle znów wtrącił się Patryk, układający na komodzie pozbierane papiery.

– Wasz wspólny znajomy psychopata kropnął kogoś i Baśce wyszło na dobre? To miło z jego strony. Może wiedział, co robi...?

Popatrzyłyśmy na siebie z nagłym zainteresowaniem. Rzeczywiście, gdyby nie ta osobliwa zbrodnia i spęd na działce, Baśka i Feliks mieli wielkie szanse omijać się szerokim łukiem do skończenia świata. I co wtedy? Zaciekawiło mnie niezmiernie, co właściwie ten solidny i szlachetny Feliks na ten temat myślał.

– No dobrze, pójdę z tobą – zadecydowałam, co Baśkę wyraźnie ucieszyło. Ożywiła się.

– Nawet ci to chciałam zaproponować. Znasz go, on ciebie też, ze znajomą osobą zawsze jakoś raźniej, przynajmniej drzwi przed nosem nie zatrzaśnie. A w ogóle dziwię się, że mimo znajomości, nic nie słyszałaś o jego konszachtach z moim przodkiem...

Przerwałam jej od razu, bo znów odezwała się do mnie pamięć. Odzywała się tak co jakiś czas, przygłuszona i udeptana, bo każde z tych mniej czy więcej odległych wydarzeń wiązało się z jakąś obrzydliwością, o której nie chciałam pamiętać. Ale skoro już wyskakiwała złośliwie, niech jej będzie.

– Słyszałam. Raz. W ucho mi wpadło. W jakiejś chwili, w której nie chciałam nic słyszeć, bo zostałam silnie zdenerwowana i całe moje jestestwo odmawiało udziału w życiu rodzinnym. Nadęłam się i usiłowałam ogłuchnąć, co mi się prawie udało. Tylko prawie. Jakieś zdanie, nie zacytuję go, ale treść pamiętam, pasowało do całej awantury, jaka wtedy

grzmiała. Na temat odpowiedzialności i jakoś wyszło, że nawet obcy człowiek umie wybrać i szanuje, jeden jest tylko godny zaufania, i miał to być Feliks. Wykonawca testamentu. Chyba mi się wtedy pomyślało, że znów coś na tego Feliksa zwalili i ciekawe, czy się w końcu ugnie. W życiu bym sobie tego nie przypomniała, gdyby nie to zdjęcie, Feliks z twoją rodziną. To musiało być to.

– Nie mogłabyś porządniej pamiętać? – skrytykowała z wyrzutem Baśka.

– Bardzo się starałam, żeby wcale.

– Dlaczego?

– Bo byłam wściekła. Nigdy w życiu nie byłaś taka wściekła, że z premedytacją ogłuchłaś na świat? A szczególnie na najbliższe otoczenie?

– Byłam. I zawsze na własną szkodę.

– Otóż to! – podkreśliłam z triumfem i wzajemne zrozumienie osiadło w atmosferze.

Co nie przeszkadzało, że wciąż usilnie starałam się trzymać na uboczu i nie pchać w środek wydarzeń. Znałam, rzecz jasna, tę czarną Walkirię i doskonale wiedziałam jak się nazywa, ale nie zamierzałam się do tego przyznawać. Mogłam zapomnieć, nieprawdaż? O Bartoszu też wiedziałam za dużo i miałam tego po dziurki w nosie. Od chwili, kiedy razem ze swoimi konwulsjami wyszedł z mojego domu, nie chciałam o nim pamiętać. Porzucony, najwidoczniej nagle, dwór supermena, zatruł mi życie tak, że musiałam zmienić numer telefonu, adres i nawet nazwisko. Dlatego też po większej części mnie nie było, aż wreszcie po jakichś dziesięciu latach stęsknione sylfidy odczepiły się i całkowicie przestały mnie szukać. Może myślały, że umarłam.

A swoją drogą ciekawiło mnie. Umiarkowanie, ale jednak ciekawiło. Kogo, do pioruna, on tą łopatą kropnął...?

* * *

Portret pamięciowy głównej adoratorki sprawcy Woźniak osiągnął w ciągu jednego dnia, połapawszy wszystkie osoby, które się do niej przyznały. Wyszło mu trochę alternatywnie, zapewne z racji upływu czasu, bo każda widywała ją kiedy indziej.

Odmłodziła ją Ewa Górska i w pewnym stopniu pani Bobrek, stanowczo postarzyła Marlenka, która wprawdzie akceptowała niechętnie młodą twarz, ale z uporem trwała przy obecnie starszej, co było dość zrozumiałe. Zganiła ją ta okropna Joanna o licznych nazwiskach, sama bardzo powściągliwa w opisie. Czepiała się Marlenki.

– To właśnie ty powinnaś pamiętać ją od młodości, widywałaś ją przecież nawet za szkolnych czasów!

– No ja wiem – sumitowała się Marlenka. – Pani właściwie znała wuja najlepiej, też ją pani musiała widywać...

– Właśnie nie. To ona podobno mnie oglądała, a nie ja ją, nie zwracałam na nią uwagi i tak naprawdę widziałam ją z bliska dwa razy. W tym wizerunku owszem, twarz rozpoznaję, ale sama nie umiałabym jej odtworzyć.

– W każdym razie teraz jest starsza niż była!

W rezultacie Woźniak miał dwie twarze, jedną w świeżym rozkwicie, drugą rozkwitłą nieco nadmiernie, ale jeszcze by tej róży z wazonu nie wyrzucał. Ząb czasu nie zaszkodził jej zbytnio. Nie była piękna, ale ładna. Interesująca. Żywa, o wyrazistych rysach, pełna energii, zwieńczona wspaniałą szopą czarnych włosów, te czarne brwi rzeczywiście do niej pasowały i Ewie Górskiej miała prawo utkwić w pamięci nawet po jednym spojrzeniu.

Grafik komputerowy wpadł w zapał i sam zaproponował pamięciowe odtworzenie całej postaci poszukiwanej damy. Skoro panie zapamiętały twarz, z pewnością zwróciły uwagę także na resztę figury, kobiety do takich rzeczy mają oko. Poparcie zyskał natychmiast, przystąpił do pracy.

Najściślejszymi informacjami posłużyła Anna Bobrek, która pod własnym oknem więcej widywała całości niż szczegółów, wsparły ją żywo Marlenka i Ewa Górska, potwierdziła Joanna. O tak, miały rację te wszystkie dziewczyny, rzeczywiście Walkiria, kariatyda, mogłaby jeszcze do tego towarzystwa dobić Horpyna, ale, nie wiadomo dlaczego, Woźniakowi Horpyna wydawała się zbyt chuda. No, może zbyt żylasta. Albo koścista.

Baba jak piec, w dodatku czarna. Chyba że...

– Nie posiwiała? – spytał szybko Marlenkę.

– Nie, jak ją ostatni raz widziałam, czarna była jak zawsze. Może się farbuje.

Zatem teraz co? Puścić ją w Internecie? Pokazać w telewizji? Ujawnić poszukiwania, żeby i sprawca się połapał...? Nie, lepiej zacząć kameralnie.

Rozprowadził wydrukowany wizerunek po całej policji z drogówką włącznie i już trzeciego dnia dotarła do niego informacja. Zgłosił się dzielnicowy z jednego z mokotowskich komisariatów, zakłopotany nieco i niepewny.

– Sam nie wiem – powiedział. – Osobiście takiej nie znam, ale podkusiło mnie i pokazałem ojcu. Ja z policyjnej rodziny, ojciec był dzielnicowym dwadzieścia pięć lat temu, jeszcze stary adres mieli, ale z góry mówię, że ojciec nie wszystko dobrze pamięta.

– Bo co? – zainteresował się ostro Woźniak.

Dzielnicowy nie wyglądał mu na więcej niż jakieś trzydzieści pięć lat, ojciec nie musiał być zramolałym staruszkiem, niby dlaczego miałby stracić

pamięć?

Dzielnicowy westchnął ciężko.

– Od tego wypadku na Sobieskiego, może pan pamięta, rozróba była z prowokacją piętnaście lat temu, jak w głowę dostał kamieniem, zaczęło mu nawalać. Upierał się, pracował jeszcze, ale mu nie szło i na rentę poszedł. Niby żywy i zdrowy, czasem tylko coś mu się przekręca. A czasem rozum wraca i wtedy warto z nim pogadać, więc ja tylko na wszelki wypadek uprzedzam.

– No dobra, to co ten pański ojciec powiedział?

Wciąż trochę zakłopotany dzielnicowy jął wyjaśniać dokładnie i obrazowo.

– Widywał ją, powiada, za Sobieskiego taka enklawa była dla partyjnych, rozmaici ważniacy mieszkali, facetka młoda była, ale solidna, dziewucha jak grzmot, podobała mu się nawet. Zresztą wszystkie te młodsze, żony, przyjaciółki, gosposie na stałe, jak tam komu wypadło, jedna w drugą jak łanie, tak ojciec wspomina, z tym, że jakoś blondynki nie miały wzięcia. Głównie rude, a tak to czarne, kasztanowate, blondynek jak na lekarstwo. To była żona jakiegoś pułkownika z UB, ojciec powiada, że zapamiętał, bo ona taka waltornia, a on konus, chudy kurdupel, jeszcze sobie myślał, że szkoda tyle wspaniałości dla byle wypłosza. Ja się staram powtarzać, jak ojciec mówił – usprawiedliwił się nagle.

– Nic nie szkodzi, bardzo dobrze – pochwalił go szybko Woźniak. – I jak ona się nazywała? Adres może ojciec pamięta?

– A tu właśnie ojca wcięło. O adresie mowy nie ma, bo tuż przed tą pechową zadymą oni się zdążyli przeprowadzić nie wiadomo gdzie, a co do nazwiska, to wstyd powtarzać, jakie słowa ojciec wymyślał. Purchel, Parch, Pętak, nawet Pysk wymyślił, ale w to już nie uwierzyłem... I niesłusznie, ojciec w końcu trafił, właśnie podobne, Paszczak. I ona, to już mu łatwiej

przyszło, Helena. Helusia Paszczakowa, tak o niej mówili. O ile oczywiście ojciec z kim innym jej nie myli. Tyle wiem i nic więcej.

Woźniaka uszczęśliwiło i tyle. Zagonił pomocników do komputera, zdążyli znaleźć jakiegoś Kaliksta Paszczaka gdzieś pod Wrocławiem i pani pułkownikowa wyleciała mu z głowy. Dostał wiadomość, że specjalista od twarzy wykonał oblicze ofiary.

Nie nosił i nie rozsyłał oblicza po ludziach. W euforii rzucił się na znajomych świadków i kogo zdołał dopaść, ściągnął do komendy, nie bacząc na sens. Bo właściwie skąd osoby, które na tej działce nigdy nie bywały, mogły znać faceta, przybyłego, może tylko jeden raz, do owego szaleńca ostrzącego tam co popadnie i kopiącego maniacko? Skąd na przykład Ewa Górska mogła wiedzieć, jak wyglądał i kim był ów wielki i goły, stojący do niej tyłem, na którego w dodatku starała się wcale nie patrzeć? A w ogóle sprawcy i ofiary w życiu nie widziała? Nie szkodzi, zawsze przecież mogło się zdarzyć, że ktoś widział faceta przypadkiem, gdzie indziej i kiedy indziej, Woźniak już był w rozpędzie. Melanż, panujący w owej chwili w jego umyśle, przerastał siłą kilka cyklonów razem wziętych, a posiadacz umysłu sam czuł się równocześnie ofiarą, zabójcą i, co najgorsze, zarazem gachem pięknej Helusi Paszczakowej.

Nieszczęściem Ewa przybyła pierwsza i nie ukoiła jego doznań.

– No, no – powiedziała z uznaniem, kręcąc głową. – Ale cyferblat! Teraz bym się chyba nawet za nim obejrzała...

Twarz była iście modelowa, pasowała do czaszki. Idealnie prosty nos, pięknie ukształtowane brwi, duże oczy, owal nieskazitelny, bez najmniejszego mankamentu, żadnej asymetrii, wyciosana z granitu męska uroda, tyle, że może trochę rzewna. Romantyczny rycerz.

– No, taką konkurencję każdy megaloman chętnie by usunął ze swojej drogi życiowej – mruknęła zgryźliwie sekretarka, osoba w wieku dość

zaawansowanym.

– I ty go nie znasz? – spytał rozpaczliwie Woźniak, wpatrzony w Ewę.

– A skąd mam znać? Jeśli to on tam był, znam tylko jego plecy, a i to słabo...

Dokładnie w tym momencie pojawił się orszak świadków. Wszyscy przybyli równocześnie, co się czasami zdarza, kiedy nikomu na tym nie zależy.

Czołówkę stanowiły Paulina i Leokadia, tuż za nimi znajdował się Feliks, dalej Anna Bobrek, Marlenka, Rościszewska z tym swoim anielsko cierpliwym, jak mu tam... Patrykiem, za Patrykiem Joanna. Dalej nadciągali pozostali członkowie skomplikowanej działkowej rodziny, nie stwarzający wielkich nadziei.

Woźniak poczuł, że chyba przesadził. Zamierzał pilnie obserwować twarze wezwanych, każdy wszak mógł zełgać, coś ukryć, o, żadne takie, spragniony był prawdy. I co zrobił? Obserwować wnikliwie pochód pierwszomajowy, względnie pęd na wyprzedaż w supermarkecie, rzeczywiście, świetny pomysł! Zatrzymać ich natychmiast! Wpuszczać po jednej sztuce, góra po dwie!

Zamieszanie trochę potrwało, uspokojono je, zanim ktokolwiek, poza Ewą, zdążył zobaczyć wizerunki, en face, lewy profil, prawy profil, na czele pozostały Paulina z Leokadią. Nie dały się wygonić, skoro przybyły jako pierwsze, mają być pierwsze!

Przyjrzały się krytycznie.

– Co on taki łysy? – zganiła z niesmakiem Paulina.

– Włosy dorabiają świadkowie – pouczyła ją Leokadia. – Ja go chyba widziałam.

– Ja nie. Takiego łysego bym pamiętała.

– Głupia jesteś. Jeżeli ja go widziałam, to i ty też. Wcale nie był łysy.

– Tylko jaki? Włochaty?

– Normalny, jak człowiek. Kojarzy mi się... No nie wiem, ja. dużo ludzi widuję, ale mógł się pojawić na działce, bo chyba o to chodzi? Kojarzy mi się z Marlenką... – podeszła do zdjęcia na stelażu i zakryła ręką wierzch głowy. – No tak, zgadza się, ta łysa pała bardzo myli. Widziałam.

– Z włosami owszem, może być – przyświadczyła Paulina łaskawie. – Możliwe, że ja też widziałam. Ale to już dawno.

– I kto to jest? – spytał Woźniak chciwie.

Prawie obraziły się obie, Leokadia zabrała rękę.

– A skąd my to mamy wiedzieć? Ledwo majaczy w pamięci, a pan chce wiedzieć, kto to jest.

– Tak jakoś mignął dawno temu. I wcale nie jestem pewna.

Z dużą ulgą Woźniak pozbył się pierwszych świadków i z jeszcze większą ulgą zaprosił Marlenkę.

– O Boże! – powiedziała Marlenka, niemal przestraszona. Obejrzała się i pomacała oparcie krzesła za sobą. – Przecież to... Gdyby nie ta łysina... Ale to przecież wuj!

Woźniaka rzetelnie zatchnęło.

– Co...?!

– Mój wuj. Ten przyszywany. O którym jest tyle gadania. Ale on nie był łysy!

Woźniak czym prędzej zaprezentował twarz na monitorze, grafik jął przymierzać uczesanie. Okropnie zaniepokojona Marlenka porzuciła kontakt z krzesłem i udzielała instrukcji.

– Nie, żadne loki! Ale nie, nie taki ulizany, one mu jakoś rosły, te włosy... Trochę jaśniejsze chyba... I krótsze, takie ostrzyżone normalnie, po męsku. I mnie się wydaje, że gęstsze miał...

Nie zwalniając Marlenki, którą jakoś miło mu było mieć pod ręką, Woźniak ściągnął Annę Bobrek.

Spokojna, opanowana kobieta weszła, spojrzała i zamarła. Skamieniała na chwilę, dech jej zaparło, milczała, wpatrzona w twarz na ekranie. Woźniak z szalonym zainteresowaniem wpatrywał się w piękną twarz w naturze.

– No i co? Poznaje pani?

Anna Bobrek postarała się odzyskać przyrodzone możliwości biologiczne.

– Nie rozumiem – powiedziała po długiej chwili milczenia. – To jest pan Bartosz. Czy pan mi pokazuje sprawcę przestępstwa, czy ofiarę?

– Ofiarę, proszę pani. Nieboszczyka, znalezionego na działkach przeszło dziesięć lat temu.

– Wciąż nie rozumiem. Niemożliwe. Czy to znaczy, że Bartosz nie żyje? Pan go szuka, a on nie żyje?

– Dokładnie tak, proszę pani. Jeśli to on, całkowicie nie żyje.

– O Boże jedyny...!

Przyglądający się z boku współpracownik komisarza czym prędzej podsunął jej krzesło porzucone przez Marlenkę, na którym od razu usiadła. Znów pomilczała długą chwilę.

– Ja... jestem... zaskoczona. Nie przypuszczałam... Nie spodziewałam się... Myślałam...

– Co pani myślała?

– Myślałam, że jest... podejrzany...

– Owszem, był podejrzany. Ale jeżeli zwłoki są jego zwłokami, podejrzenie raczej upada. Samobójstwo wykluczone. Nadal musimy szukać sprawcy.

Anna Bobrek spojrzała jakoś dziwnie, otworzyła usta, zamknęła i wzięła głęboki oddech.

– Ja to muszę przemyśleć – powiedziała cichutko. – Muszę się zastanowić. Nie teraz, proszę.

– Pani wie o nim coś więcej?

– Nie teraz...!!!

Woźniak nie był idiotą. Mimo własnych, potężnych doznań, bo sprawa mu się odwracała do góry nogami, zorientował się, że za chwilę ta kobieta wybuchnie atakiem histerii, nie zdoła się opanować, nie będzie żadnego przesłuchania, tylko walka z szokiem, przyjedzie pogotowie, zabierze ją i on sam ptasie łajno uzyska, a nie upragnioną wiedzę. Odesłał ją czym prędzej do wolnego chwilowo pokoju dla kłopotliwych aresztantów i kazał dać wody. Koniaku, niestety, nie miał pod ręką.

Teraz wziął te dwie młodsze zołzy. Razem. Zorientował się już, że ich prywatne uwagi, wymieniane między sobą, są znacznie cenniejsze, niż wszelkie odpowiedzi na urzędowe pytania. Proszę bardzo, niech też nimi wstrząśnie i niech pogawędzą prywatnie ile im się żywnie spodoba.

– O, rany boskie – jęknęła prawie od razu Joanna. – Niech ja dom i ojczyznę porzucę, to przecież prawie Bartosz!

– Jak dla mnie, może być Bartosz, ale trochę nieścisły – skrytykowała zimnym głosem Rościszewska. – Gdzie tu twórca...? A, to pan. Niech mu pan przedłuży rzęsy. I zagęści, mają wyjść takie na Gretę Garbo.

Grafik z żywą uciechą spełnił polecenie.

– Włosy też ciut dłuższe, tak z centymetr – dołożyła Joanna już bez żadnych jęków, za to z niechęcią. – Dobrze, że jest w fazie twórczej, na komputerze, bo ten łysy czerep na wydruku kazałby mi się mocno zawahać. Profile w porządku, doróbcie im włosy. Ale i tak chciałabym wiedzieć, co się dzieje. Żarty sobie robicie?

Rościszewska porzuciła grafika i obejrzała się.

– To ma być głowa z gąszczu mojej ciotecznej babci? – przyłączyła się grzecznie.

Woźniak poczuł się rozczarowany, niecierpliwie oczekiwał ich rozmowy wzajemnej i nie wiedział, jak do niej doprowadzić. Na razie wpatrywały się w stworzone oblicza, jedno łyse, drugie z włosami i oceniały je, jakby miały dać nagrodę autorowi za lepsze zdjęcie.

One chyba nie wiedzą, co widzą...

– To jest odtworzenie twarzy ofiary, znalezionej na działce państwa w tym wykopie – rzekł z naciskiem.

– Głowa z gąszczu od ciotecznej babci. Razem, głowa i szkielet, stanowią całość. Sprawdzone.

Popatrzyły na niego z niesmakiem, chociaż trochę tępo.

– Tak jak te prehistoryczne jaszczury? – upewniła się Rościszewska. – Tu szczęka, tam ogon, ale pasują do siebie?

– Teraz jaszczury badają na węgiel C – zauważyła Joanna. – Nie wiem, co to jest węgiel C, bo samo C, to węgiel, taki pierwiastek, ale skoro jest, niech sobie będzie.

– Ostatnio chyba DNA...? Też nie wiem dokładnie, co to jest, ale protestować nie zamierzam.

Przez chwilę kontemplowały wszystkie wizerunki w milczeniu i wyraźnie pozbywały się zaskoczenia.

– W tej sytuacji zaczynam wątpić w łopatę – zauważyła Joanna krytycznie.

– Zwariowałaś. To uważasz, że czym mu ten łeb uciął? Mieczem?

Zwariowały obie, pomyślał Woźniak. Ale nic, grunt, że wreszcie gadają do siebie...

– Miecza nie ostrzył – stwierdziła stanowczo Joanna. – Bagnet owszem, ale miecza nie. Ja w każdym razie nie widziałam.

– A bagnet widziałaś?

– Nawet go używałam. Bardzo poręczne narzędzie.

– Ale wychodzi mi, że to w ogóle nie on. To jego.

– I uwierzysz, że jego własną łopatą?

– W nic nie wierzę. O ile dobrze pamiętam, to się kiedyś nazywało pic–fotomontaż. Kantują, bo czegoś od nas chcą, ale nie wiem, czego.

Obie stały przed dwiema podobiznami, uwłosioną i łysą, i nadal przyglądały się tej uwłosionej. Joanna wzruszyła ramionami.

– Po namyśle, w łopatę gotowa jestem uwierzyć. Wyrwał mu z ręki... Nie, wyrwanie odpada, chwycił stojącą gdzieś obok. Ona jest nieco wklęsła...

– A nie wypukła? – zainteresowała się Rościszewska. – U ciotecznej babci znalazłam wypukłą.

– Zależy, z której strony patrzeć. Ale tu wklęsłość ważniejsza. Jeśli wziął dobry zamach i ciachnął, odrzuciło ten czerep jak łyżką kartofel. Wklęsłość go utrzymała. I nadała kierunek.

– Takiego wykształcenia technicznego ja nie posiadam. Pewnie masz rację, tylko nie umiem sobie wyobrazić, że on nie żyje. Kto go mógł tak pięknie załatwić?

Woźniak zaczął tracić cierpliwość.

– Czy pan Bartosz miał wrogów?

Obie znów spojrzały na niego, teraz z politowaniem.

– Jak wąż ogon. Wyłącznie – odparła chłodno Joanna.

– Pani jakiegoś zna?

– Osobiście żadnego. Ale możliwe, że pani Bobrek na jakiegoś trafiła, bo o ile wiem, pochodzą z dawniejszych czasów. Teraz wierna kapłanka nie

musi już milczeć jak głaz.

Woźniak był dokładnie takiego samego zdania, od początku czuł, że pani Bobrek ukrywa różne tajemnice. No nic, ma ją pod ręką.

– Raz mówił, że ktoś go ganiał po jakimś lesie z bronią palną w ręku – włączyła się trochę żałośnie Marlenka z niewygodnego krzesełka w kącie. – I strzelał.

Woźniak ożywił się gwałtownie.

– Kto? Kiedy? Dlaczego? Zna pani jakieś szczegóły?

– A skąd. On nawet jak coś mówił, to tak, żeby nie można było zrozumieć. Zawsze był tajemniczy. Raz tylko coś takiego do mnie powiedział.

– A nie miało to być ostrzeżenie, że nikomu nie można wierzyć i zawsze należy zachować ostrożność i przezorność? – podsunęła zgryźliwie Joanna.

– Chyba miało – zastanowiła się Marlenka. – Bo pamiętam, że jechałam na jakąś wycieczkę, jeszcze w szkole, a on mnie pakował. I tak zabezpieczał, że o mało od tego nie zwariowałam. Ale na szczęście ten jeden raz i nigdy więcej.

– Co nie przeszkadza, że w tamtych czasach mógł go ktoś ganiać ze spluwą...

Woźniaka nagle olśniło. Odkrycie, kim najprawdopodobniej był i co robił ten dotychczasowy sprawca, a obecnie ofiara ogrodniczej zbrodni, zalęgło się i zaczęło kiełkować i podrastać powolutku, ale za to wytrwale. Równocześnie nadzieja wykrycia sprawcy jakoś dziwnie zachwiała się i przybladła. Zdenerwował się, pomyślał, że szlag go trafi, po jaką czarną ospę wykopywali tego kościotrupa, i czym prędzej wypchnął myśl na dalekie tyły, nie życząc sobie dochodzić przez bambus do Marlenki.

Konwersacja dwóch dam, wciąż jeszcze zbulwersowanych nieco wizerunkiem znajomej twarzy, była już w pełnym rozkwicie i należało jej

posłuchać.

– ...miała męża? – pytała Rościszewska.

– A bo ja wiem...? – to zniesmaczona Joanna. – Zaraz... Chyba miała. Tak mi się majaczy, że miała. Zdaje się, że jakiegoś awanturnika, ale głowy nie dam.

– To może ten mąż wyśledził ich i usunął rywala?

– A cholera go wie. Na naszej działce?

– Mnie się zdaje, że wuj tam bywał – wtrąciła się znów zmartwiona Marlenka. – To znaczy wiem, że bywał.

– Czy w ogóle jest pewne, że ten łeb odleciał mu akurat wtedy, kiedy Ewa, bratanica Górskiego, ich podsłuchała? – zirytowała się Joanna. – Bo może, na przykład, w tydzień później, albo co? I ogólnie były tam wtedy inne osoby?

– Albo ten mąż ukrywał się w zaroślach, moknąc na deszczu – snuła swoje Rościszewska – i z furii nawet nie wiedział, że moknie...

Woźniak pogratulował sobie portretu pamięciowego Walkirii, prawdopodobnej pani Heleny Paszczakowej, teraz już dotrze do niej choćby po trupach, a zarazem wściekł się na myśl, ilu informacji jeszcze nie zdobył. Ile wiedzy posiada to całe towarzystwo i nawet jej właściwie nie ukrywają, lekceważą, sukcesywnie im się coś przypomina, nie mają pojęcia, co tu jest ważne. A on, na dobrą sprawę, nie ma pojęcia, skąd wytrzasnąć stosowne pytania. Motyw niejasny, hipotetyczne narzędzie zbrodni wątpliwe...

Owszem sprawdził w instytucie meteorologii, jaka pogoda panowała na początku czerwca dziesięć lat i cztery miesiące temu, zgadzało się, szalał upał tropikalny mniej więcej od połowy maja, a ciepły deszcz siąpił później prawie pięć dni. Ewa Górska natknęła się na pracowitą parę szóstego, to

miała zapisane i można było jej wierzyć, ale deszcz padał jeszcze siódmego i ósmego do popołudnia. Stąd brak świadków na działkach.

Mąż, ten Paszczak, oczywiście! Jeżeli Paszczakowa latała za Bartoszem, mąż miał prawo się zdenerwować. Chudy wypłosz...? No i cóż takiego, chude wypłosze miewają dużo siły, a furia te siły wzmaga. Z UB...? Może ćwiczył w młodości sztuki walki...?

Odczepił się od męża Paszczaka, bo te dwie rozmawiały beztrosko, jakby nikt ich nie słyszał. Dzieliły się poglądami.

– W każdym razie – mówiła cierpko Joanna – jeżeli nas tu nie wpuszczają w maliny i on rzeczywiście nie żyje, można już nie ukrywać z grzeczności, że był psychopatą.

– Też tak uważam, chociaż znałam go krócej. Leczył się w ogóle kiedykolwiek?

– Owszem. Dawno. I z miernym skutkiem.

– Mogą złapać lekarza...

– Nie mogą. Już dosyć długo nie żyje.

– Skąd wiesz?

– Znałam go. Nie, mnie leczyć nie chciał, chociaż żywiłam obawy, że to ja zwariowałam. Świetny psychiatra. Miałam do niego interes parę lat temu i okazało się, że nic z tego.

– I co mu było dokładnie? Bartoszowi, mam na myśli.

– Schizofrenia paranoidalna. Rozdwojenie jaźni, w jego wypadku roztrojenie. Co innego myślał, co innego mówił i co innego robił. Nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Słusznie od niego uciekłam – stwierdziła Rościszewska z głębokim przekonaniem. – Dziwię ci się, że tak długo z nim wytrzymałaś. Nie bałaś się?

– Gdybym wiedziała to, co wiem teraz, bałabym się śmiertelnie. Ale nie miałam pojęcia, dziwiłam się tylko i chciałam go unormalnić, bo w końcu miał mnóstwo zalet ubocznych. Później dopiero poczytałam sobie różne rzeczy i pogadałam z fachowcami. Kliniczny przykład, jak w pysk dał!

– No to właściwie kropnąć go mógł każdy.

– Gdyby to było wtedy, akurat tego dnia, leżałyby tam dwa trupy. Walkiria kropnęłaby zabójcę.

Rościszewska zastanowiła się.

– Możliwe, skoro tak się na niego zaparła. Drugiego trupa, mam wrażenie, nikt nie szukał?

– Zdaje się, że nikt. Niedopatrzenie.

Woźniakowi zrobiło się gorąco, a zarazem zimny dreszcz przeleciał mu po plecach. Pokrętne umysły tych bab za chwilę i jego doprowadzą do schizofrenii paranoidalnej, może i rzeczywiście popełnił potworne niedopatrzenie? Tresowany pies by znalazł...

Świadomość niedoinformowania utkwiła w nim jednakże tak głęboko, że zaprosił sobie teraz Feliksa, na wszelki wypadek. Annę Bobrek stanowczo zostawiał na koniec.

Feliks popatrzył na twarze, zakłopotał się i zmieszał. Obejrzał się i usiadł.

– Ja... No tak... Właściwie znam tego pana, chociaż bardzo słabo. Przepraszam, że pozwolę sobie... Ale kto to jest? Ofiara, czy zabójca?

– Czy w kwestii znajomości robi to panu jakąś różnicę?

Feliks aż się żachnął.

– Ależ oczywiście! Myślmy racjonalnie, jeżeli mam rozpoznać sprawcę zbrodni, stanowi to dla mnie... i dla każdego... pewne niebezpieczeństwo. Żywy zbrodniarz może się mścić. Czego nie oczekuje się z pewnością po nieżywej ofierze.

Woźniakowi spodobało się to nawet, facet rozumuje logicznie. Nie ulegało wątpliwości, że natychmiast po wyjściu z tego pokoju dowie się prawdy od swoich bab, ponadto po zastanowieniu sam ją zapewne odgadnie, ale, jak widać, woli się upewnić na wstępie. Więcej powie o nieboszczyku niż o żywym, to jasne, nieboszczyka nie musi się bać. No dobrze, można mu powiedzieć.

Powiedział. Feliks pomilczał chwilę i westchnął.

– Dwa razy się z nim zetknąłem. Raz dawno temu, jeszcze w młodości, jego młodości oczywiście, ja już przechodziłem w wiek średni... przedstawiono mi go jako pana Bartosza, do dziś nie wiem, czy to imię, czy nazwisko, spotkanie było brzemienne w skutki. A drugi raz przed trochę więcej niż dziesięciu laty, na działce, rozmawialiśmy nawet, ale tylko na tematy ogrodnicze. Mignął mi tak ze dwa albo trzy razy i na tym koniec. Nic więcej o nim nie wiem, no, poza tym, że podobno przyprowadziła go panna Marlenka.

Marlenka w kącie jęknęła cichutko. Woźniak twardo jechał po wszelkim wypadku.

– A to pierwsze spotkanie, w młodości. Brzemienne w skutki, jak pan powiedział. Na czym polegała ta brzemienność?

Feliks zakłopotał się bardzo wyraźnie. Odchrząknął kilkakrotnie. Niepewnie i ostrożnie wyznał: – Zastanawiam się, co zrobić. Wymyśleć jakieś rozsądne kłamstwo, bezpieczne i łatwe do uwierzenia, które nie przysporzy panu żadnych kłopotów, czy powiedzieć prawdę, która na pewno skłóci się z przepisami prawnymi i tylko narobi zamieszania. Bo, od razu powiem, nie ma nic wspólnego z obecnym dochodzeniem.

– Pomogę panu – zaproponował Woźniak, zastanawiając się marginesowo, czy przypadkiem ci uczciwi i prawdomówni świadkowie nie są gorsi od kłamliwych krętaczy. – Wolę kłopotliwą prawdę, niż

najbezpieczniejsze kłamstwo. Z kłopotami jakoś sobie dam radę, a ile wysiłków przysparzają te wiarygodne kłamstwa, nawet pan sobie wyobrazić nie potrafi. Niech pan powie w skrócie.

– W skrócie, w skrócie... Człowiekowi, który już dawno nie żyje, na łożu śmierci... rzecz jasna, jego łożu śmierci, nie moim... przysiągłem zachować tajemnicę do właściwej chwili, która z pewnością jeszcze nie nadeszła. Rzecz dotyczyła testamentu. Pan Bartosz w grę bezpośrednio nie wchodził. Czy to wystarczy?

– To skąd skutki?

– A, to już byłyby szczegóły. Mnie własne słowo zobowiązuje.

Woźniak nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten cały Feliks, zamknięty w kazamatach o chlebie i wodzie, też by nic nie powiedział. Może i miał rację, jakieś cudze, stare sprawy, z pewnością rodzinne, nie miały tu nic do rzeczy, ale kto wie...? Jeżeli Bartosz komuś nabruździł...

– Wolałbym jednak o ważności sprawy sam zadecydować.

– Tu właśnie wchodzi w grę kolizja z przepisami, jak sądzę. Gdybym mógł powiedzieć to panu prywatnie, w cztery oczy, bez żadnych zapisów, notatek... Zorientowałby się pan od razu. Nie wiem, czy to możliwe. Oficjalnie cudzych komplikacji rodzinnych, powierzonych mi w zaufaniu, nie ujawnię.

– A kiedy to było?

– Trzydzieści trzy lata minęły.

Woźniak podjął decyzję. Postanowił złapać tego Feliksa ponownie, natykając się na niego starannie zaplanowanym przypadkiem, pogadać prywatnie i zobaczyć, co z tego wyniknie. Odpuścić całkiem, mowy nie ma! Nacisnąć zawsze zdąży, świadek wygląda zdrowo i nie robi wrażenia idioty.

Zwolnił Feliksa i wreszcie przygarnął do siebie Annę Bobrek.

* * *

– Proszę bardzo – powiedziała całkowicie już spokojna i opanowana Anna Bobrek. – Tutaj możemy porozmawiać. Mam pewność, że tylko pan mnie słyszy, a nagrywać pan może, ile się panu podoba, ja znam ten przyrząd. O ile wiem, policja takich zeznań po mieście przez gigantofony nie rozgłasza.

– W komendzie też...

– A, tego to ja już pewna nie jestem, więc wolę tu.

Uległszy uporowi świadkini, Woźniak zgodził się, przesłuchać ją u niej w domu. W komendzie nie chciała powiedzieć nic.

Rozejrzał się po skromnej kawalerce, zapchanej potworną ilością papieru. Do ludzkich sprzętów zaliczał się tapczan, stolik z dwiema szufladkami, dwa krzesła, fotel, telewizor w kącie i wąska ścienna szafka. Reszta służyła makulaturze, regały, coś w rodzaju komody, pod sufit zawalonej prasą wszelkiego rodzaju, kufer i stojąca na nim skrzynia, wszystko wypełnione słowem drukowanym. Woźniak nie dziwiłby się książkom, skoro miał do czynienia z introligatorką, ale właśnie książek było stosunkowo mało, prawie wyłącznie prasa i grube pliki, robiące wrażenie dokumentów urzędowych i równie urzędowej korespondencji. Na podłodze zostawało trochę miejsca dla ludzkich nóg, ale trzy osoby stanowiłyby już nadmiar i co najmniej jedna noga musiałaby zostać za drzwiami.

– Tu zatem pani powie... – zaczął Woźniak, ale Anna Bobrek natychmiast mu przerwała.

– Już uwierzyłam, że Bartosz nie żyje. Gdyby żył, nie powiedziałabym ani słowa, bo on mi naprawdę uratował życie i czułam się zobowiązana do absolutnej lojalności. Od pierwszej chwili patrzyłam w niego jak w obraz święty... – w spokojnym głosie pojawił się cień rozgoryczenia. – Był dla

mnie bóstwem. Tajemniczy i bezwzględny, chociaż opiekuńczy, decydował o moim życiu, a ja godziłam się na wszystko. Nie ośmielałam się zadawać pytań, nie miałam pojęcia, co robi...

– A co robił? – nie wytrzymał Woźniak.

– Nic – odparła zimno Anna i uczyniła gest, wskazujący papierowy śmietnik. – Zapewne wyobrażał sobie, że wykonuje jakąś niesłychanie ważną pracę, rodzaj maniactwa, był, niestety, uszkodzony umysłowo. Powiedział mi, że usiłowano go zabić, w młodości dostał w głowę, oczywiście wyleczył się, ale zyskał pretekst, żeby przejść na rentę inwalidzką. Dzięki czemu ma swobodę działania. Tak to w siebie wmawiał, nie mógł znieść myśli, że nie nadaje się już do pracy i z jego wysiłków wychodzi absolutne zero. No, śmietnik... Przez całe lata wierzyłam w to jego posłannictwo dziejowe i dopiero kiedy znikł mi z oczu na długo i bez słowa, zaczęłam się łamać. Teraz już wiem. Odgadłam, że w młodości musiał być szkolony w jakichś tajnych służbach specjalnych i zostało mu na zawsze.

– Z kimś pani rozmawiała na ten temat?

– Ach, nie! Z nikim. Ale ja pracuję wśród książek, a od dzieciństwa dużo czytam. Czytałam nawet w tym Domu Dziecka, kradłam książki, gdzie tylko mogłam... no, niekiedy pożyczałam, tak to można nazwać, bo oddawałam z powrotem, jeśli mi się udawało. Z najrozmaitszych lektur można się bardzo dużo dowiedzieć i mnóstwo zrozumieć. Po paru latach wreszcie zdecydowałam się wykorzystać zdobytą wiedzę i przejrzałam trochę ten jego tajny skarbiec.

Znów zatoczyła krąg dłonią, pokazując składnicę makulatury. Najwyraźniej pozbyła się wszelkich barier, wieloletnie milczenie pękło, ulewały się z niej stres, rozgoryczenie, gniew i żal. Woźniak postanowił tylko słuchać, ale jedno pytanie mu się wyrwało.

– Nigdy wcześniej nie próbowała pani sprawdzić...?

– A skąd! Od początku zastrzegł, że nie wolno mi żadnej z tych rzeczy dotykać, a ja byłam posłuszna, prędzej bym włożyła rękę w ogień. Po paru latach zresztą, ośmiu co najmniej, przyznał mi się, że o każdym najmniejszym zerknięciu wiedziałby doskonale, bo poczynił specjalne zabezpieczenia. Taki był z nich dumny, że musiał się pochwalić. Jakieś szpiegowskie podstępy, włos na przykład, albo nitka pajęczyny, przylepiona czarna kropka, która przy najmniejszym poruszeniu musiała odpaść, ziarnko maku, odrobina kleju... O, nie o wszystkim mi powiedział, cóż znowu, to były takie pułapki najprostsze, sam powymyślał lepsze, które trzymał w sekrecie. W ogóle może mi o tym powiedzieć, bo już się przekonał przez te ileś tam lat, że nie grzebię w jego sezamie i zasługuję na zaufanie. No i tak zasługiwałam, aż przepadł.

Wyglądało na to, że zaschło jej w gardle, przecisnęła się do wnęki kuchennej, z suszarki nad zlewem zdjęła szklankę.

– Chce pan wody mineralnej? O herbacie mowy nie ma, nie robię teraz przyjęcia, ale woda może być.

Woźniak nie chciał wody, prawie się nie odzywał i nigdzie mu nie zaschło. Anna nalała sobie i wróciła na poprzednie miejsce.

– A i tak siedem lat odczekałam, zanim zaczęłam sprawdzać. Głównie te dokumenty, pisma, listy, jego listy, kopie tego, co wysyłał na wszystkie strony świata. Jeden stek bredni i oczywiście żadnej odpowiedzi znikąd nie dostał. Ta cała prasa nadaje się prosto na śmietnik razem z podkreśleniami i uwagami na marginesach, ale nie wiem, czy wyrzucę to sama, osobiście, bo może jakieś archiwum historyczne, może psychiatryczna placówka naukowa zechce pogłębić swoją wiedzę o psychopatycznych megalomanach. W każdym razie pozbędę się tego z wielką ulgą.

– Dziwię się, że nie uczyniła pani tego wcześniej. Dlaczego tak długo...?

Prawie żadnego pytania nie udawało mu się dokończyć. W każde Anna wdzierała się z odpowiedzią.

– Bo myślałam, że on żyje. I wróci.

– I co...?

– I będę mogła mu powiedzieć, co myślę, mając pod ręką konkretne przykłady. Pomachać przed nosem tą wiekopomną korespondencją, tymi bzdurami prasowymi, spytać o sens galerniczej pracy, której poświęcał życie podobno dla dobra ludzkości i ode mnie też takiego poświęcania wymagał...

Urwała nagle. Wypiła wodę do końca. Ze wszystkich uczuć zostały jej tylko gniew i rozgoryczenie.

Woźniak sprężył się w sobie.

– Czego dokładnie od pani wymagał?

– Żebym węszyła w naszej antykwarycznej introligatorni, bo może wpadną mi w ręce jakieś tajne materiały polityczne. I żebym je dla niego ukradła.

Zatchnęło ją lekko na chwilę, ale szybko odzyskała opanowanie.

– I byłabym ukradła, bo święcie wierzyłam w tę jego misję dziejową, na szczęście na nic takiego się nie natknęłam. Ale przyznam, że po wykryciu prawdy zdenerwowałam się porządnie i samej sobie nie mogłam uwierzyć. I potrafi pan chyba zrozumieć, dlaczego, gdyby żył, nie powiedziałabym o tym wszystkim ani słowa, a zaginiony człowiek dopiero po siedmiu latach może być uznany za zmarłego.

O tak, tyle Woźniak doskonale potrafił zrozumieć, chociaż nie aprobował zaślepienia. Jak ten facet to robił, że głupie baby tak dookoła niego skakały? No, szkielet miał piękny...

Znów musiał się solidnie zmobilizować, żeby wyjść wreszcie z tych szaleństw uczuciowych.

– Ma pani bagnet? – spytał znienacka.

Anną Bobrek najwidoczniej nic już nie mogło wstrząsnąć. Potraktowała pytanie obojętnie.

– Ja nie. Ale Bartosz miał.

– I gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że zabrał ze sobą.

– Chodził po mieście z bagnetem?

– Po mieście raczej nie, ale często udawał się gdzieś, w jakieś plenery... Lubił przyrodę, las, wodę, jeździł do lasu i bagnetem ścinał suche gałęzie. Czasem myślałam, że powinien był zostać leśnikiem, tak był tymi drzewami przejęty. Sądzę, że wziął bagnet, jeśli jechał na jakąś działkę, a rozumiem, że znaleziono go na działce...?

– Owszem, ale bagnetu tam nigdzie nie było.

– Przez tyle lat ktoś mógł ukraść.

– A właściwie... kiedy go pani ostatni raz widziała?

– Szóstego czerwca rano, kiedy wychodziłam do pracy – powiedziała Anna bez wahania lodowatym głosem. – I nigdy więcej. Deszcz padał. Siąpił. Taki ciepły, letni deszczyk.

– Tak dokładnie pani pamięta? – zdziwił się Woźniak.

– Najdokładniej w świecie. I proszę bardzo, mogę powiedzieć, dlaczego, żadna tajemnica. Szóstego czerwca wypadają moje urodziny. Od dzieciństwa marzyłam o tym, żeby mieć dla siebie taki uroczysty dzień. Imieniny albo urodziny, raz w roku, a chociaż raz w życiu. Nie miałam. Bartosz o tym wiedział, zwierzałam mu się przecież, wypytywał o Dom Dziecka... Ale on nie uznawał takich rzeczy, sam nie obchodził niczego. A ja tak strasznie chciałam, ciągle miałam nadzieję, że bodaj jeden raz, kiedyś, zrobi mi niespodziankę... i bąkałam coś na ten temat wcześniej, a rano w dniu urodzin również, napomknęłam dyplomatycznie... I wyszłam.

Wiedziałam, że wybiera się na tę jakąś działkę, więc może chociaż kwiaty... Wróciłam z pracy, czekałam, wciąż z nadzieją, zrobiłam kolację i nie doczekałam się do dzisiejszego dnia. Takich rzeczy się nie zapomina.

Szóstego czerwca! Rano! Szóstego czerwca Ewa Górska późnym popołudniem widziała na działce dwie osoby w padającym deszczyku...

– I to był ostatni raz? – upewnił się Woźniak, starając się ukryć emocje. – Nie wrócił i już nigdy więcej się nie pokazał?

– Nie. Z całą pewnością. Ja też umiem zabezpieczyć drzwi tak, żeby wiedzieć, czy ktoś wchodził...

Annie Bobrek Woźniak uwierzył bez zastrzeżeń. Niby to było przesłuchanie, ale wyszło jak spowiedź. Jak wypchnięta z siebie wreszcie wieloletnia udręka. Ulewały się z niej rozczarowania, rozgoryczenie, żal i przepadłe na zawsze nadzieje. Właściwie to ona powinna była go zabić i Woźniak prawie mógłby w to uwierzyć, gdyby nie jej spokój i bezgraniczna rezygnacja. Nie, ostatnich iskierek tej nieszczęsnej nadziei sama sobie by nie odebrała.

Należało szukać wrogów innego rodzaju.

– Chciałbym to przejrzeć – rzekł z naciskiem, wskazując papierowy chłam takim samym gestem jak wcześniej Anna. – Pani pozwoli?

– Ależ proszę bardzo! Mam nadzieję, że zabierze pan to gdzieś do siebie? Chętnie powitam każdą pomoc w pozbyciu się śmieci.

Woźniak przyobiecał jej to solennie.

* * *

Feliks mieszkał zupełnie inaczej.

Zachęcony doświadczeniem z Anną Bobrek, Woźniak od razu postanowił złapać go w domu, rezygnując ze starannie zaplanowanych przypadków, i stwierdziwszy telefonicznie, że już do tego domu wrócił,

pojechał do niego od razu. Po drodze zastanawiał się ze zgrozą, jak policja albo milicja mogła dawniej prowadzić śledztwo bez telefonów komórkowych. Jakim cudem udawało im się do czegoś dojść i łapać przestępców, marnując potworną ilość czasu na latanie po mieście w poszukiwaniu czynnych aparatów telefonicznych? Ciężkie życie mieli.

Przedwojenny apartament Feliksa wydał mu się, po kawalerce Anny, niesłychanie przestronny i bogato umeblowany. Żadne gazety nigdzie nie piętrzyły się w stosy. Słowo drukowane występowało w postaci książek, poustawianych na regałach i w oszklonych szafkach we wszystkich trzech pokojach. Woźniak zdawał sobie sprawę, w jakiej epoce Feliks spędził życie, rozejrzał się zatem z wielkim zainteresowaniem.

– Jakim cudem udało się panu zachować cały lokal po wojnie...?

– To po ciotce – wyjaśnił Feliks pobłażliwie. – Mieszkałem u niej w dzieciństwie, później odziedziczyłem, a oprócz mnie mieszkały trzy mocno starsze panie. Nie stanowiły jednej rodziny, więc nie można ich było upchnąć w jednym pokoju, mimo zagęszczenia. Stopniowo przeniosły się na tamten świat i tak jakoś przeszło. Miałem szczęście, nawet część mebli ocalała. Poza tym przez jakiś czas miałem żonę, już od dość dawna nie żyje, umarła, niestety, na raka.

Nie ciągnął tematu, grzecznie czekając na pytania. Woźniak poczuł dla niego wdzięczność. Usadowił się w bardzo wygodnym fotelu przy małym, okrągłym stoliku.

– Chciałbym usłyszeć od pana historię tych dziwnych komplikacji rodzinnych, które spowodował denat. Pan Bartosz. Jak pan widzi, nie notuję i nie nagrywam.

– To będzie długie – ostrzegł Feliks z westchnieniem. – A skoro rozmawiamy prywatnie, może kawkę? Albo herbatkę...?

Przy dość urozmaiconych napojach popłynęła opowieść nieomal historyczna. Niezmiernie bogaty pradziadek, ostatni w tym momencie potomek i spadkobierca rozbudowanej niegdyś rodziny, całe mienie testamentem przeznaczył najmłodszej prawnuczce, liczącej sobie trzy tygodnie życia, jedynej zresztą jego potomkini w prostej linii. Jak łatwo zgadnąć, co najmniej jedno z rodziców dziecka też musiało pochodzić z prostej linii, i był to tatuś, który już nie żył, prawnuczka urodziła się jako pogrobowiec. (Pogrobowczyni...?). Możliwe, że tych pra– było więcej, pra–prawnuczka, Feliksowi tak wychodziło. Reszta dość wiekowej rodziny zaliczała się do linii bocznych i wszyscy byli bardzo niezadowoleni.

Trzydzieści cztery lata temu pradziadek leżał na łożu śmierci, a dookoła niego zgrzytał zębami i warczał stan ducha licznych krewnych i powinowatych. Wśród nich całkowicie obce były tylko dwie osoby, mianowicie wysoko ceniony młodzieniec, udzielający korepetycji jednemu z pociotków, oraz znacznie starszy od niego Feliks.

– Wie pan, ja skończyłem prawo – mówił Feliks – i wtedy jeszcze pracowałem w notariacie, ale nie bardzo mi się podobała praca pod dyktando, no, ustrój mi trochę nie pasował... Kilkanaście lat wytrzymałem, potem wymyśliłem sobie odpowiednią chorobę i przeszedłem na głodową rentę, bo i tak miałem za co żyć. Też byłem potomkiem jakiejś rodziny...

Testament pradziadka właśnie zaistniał, o poranku tego dnia został podpisany i z wszelkimi szykanami uprawomocniony przez rodzinnego adwokata, który zrobił, co do niego należało i zdążył uciec przed zbiegowiskiem. Feliks nie zdążył, a w ogóle obecny był dlatego, że stał się wykonawcą tej ostatniej woli. Musiał nie tylko wyrazić na to zgodę, ale także poprzysiąc, iż dopilnuje spełnienia życzeń testatora ze szczytową dokładnością nawet w wypadku końca świata.

Między ucieczką adwokata a szturmem rodziny zdążył złożyć pradziadkowi jeszcze jedną, prywatną przysięgę. Otóż pradziadek żywił tak potężne obawy ostatecznego wykończenia rodu czystej krwi przez lekkomyślność spadkobierczyni, która może zlekceważy sprawę i wyrzeknie się potomstwa, że postanowił wprowadzić coś w rodzaju tajnej klauzuli. Feliks mianowicie, jako wykonawca, nie udostępni jej odziedziczonego mienia, dopóki nie będzie miała co najmniej jednego dziecka. Płeć dziecka, a także jego sprawca bez znaczenia, bo i tak dziecko musiałoby nosić rodowe nazwisko, po matce.

– I pan to poprzysiągł? – spytał Woźniak z szalonym zainteresowaniem i lekką zgrozą.

Zakłopotany nieco Feliks westchnął.

– Ja bym mu poprzysiągł wszystko. Widzi pan, tak się złożyło, że w czasie wojny pradziadek mojemu ojcu uratował życie z narażeniem własnego. To mnie do czegoś zobowiązywało, nieprawdaż? Przynajmniej zrobić mu przyjemność na łożu śmierci, bo prawnie rzecz biorąc, ta klauzula nie miała znaczenia. Musiałem ją w ogóle starannie ukryć i tu właśnie nabruździł pan Bartosz.

Podniósł się z drugiego fotela, uzupełnił delikatne napoje i podjął relację.

– Otóż bliską powinowatą po jakimś siostrzeńcu, zwaną w rodzinie ciocią Rysią, była pani Rycheza Klucznik...

– Jak, proszę...? – wypsnęło się zdumionemu Woźniakowi.

– Rycheza Klucznik.

– Żydówka z pochodzenia czy Niemka? Protestantka...?

– Ależ skąd! Katoliczka.

– U nas ochrzcili dziecko takim imieniem? Przed wojną? Była taka święta? Bez świętej żaden ksiądz by nie ochrzcił!

– Oczywiście, że była, musiała być. Żona Mieszka II, cioteczna wnuczka cesarza Ottona, nie mogła przecież być poganką, a miała na imię Rycheza. Ochrzcili dziewczynkę bez najmniejszych trudności.

– Co też rodzicom wpadło do głowy...

– Uprzedzałem, że to długie i skomplikowane – przypomniał Feliks z subtelnym wyrzutem. – Podobno mieli wielkie nadzieje. Rycheza była matką Kazimierza Odnowiciela, wyobrażali sobie... to plotki, rzecz jasna... że spłodzili matkę równie zasłużonej postaci, a imię w tym dopomoże. Pani Rycheza, czyli ciocia Rysia, w takim przekonaniu wychowana, święcie wierzyła w przyszłą wielkość syna, bardzo późno zresztą urodzonego. Jakoś nie wiodło jej się, Anzelm Klucznik przyszedł na świat, kiedy miała czterdzieści dwa lata, może nawet czterdzieści trzy. Wszyscy bardzo się dziwili, że żadnych komplikacji nie było, a ona ugruntowała się w swojej wierze i uczyniła z chłopca bóstwo. Ów Anzelm Klucznik, zwany Zelmusiem, wówczas piętnasto– czy szesnastoletni, również znajdował się w gronie otaczającym pradziadka. I właśnie pan Bartosz był jego korepetytorem. No, wreszcie do niego doszedłem!

Odsapnął i wzmógł siły resztką łagodnego koktajliku. Woźniak słuchał z ciekawością i bez zniecierpliwienia, bo bardzo mu się te dziwactwa familijne podobały. Czekał na ciąg dalszy.

Feliks szczerze wyznał, że wypowiedzi poszczególnych osób już nie zacytuje, bo forma mu umknęła, ale sens pamięta. To pan Bartosz rzucił myśl, żeby w kolebce skojarzyć młodą parę, jak to za dawnych czasów bywało i połączyć świeżo narodzoną spadkobierczynię z najmłodszym członkiem rodziny, przeznaczonym do wyższych celów. Mianowicie z Zelmusiem. Poparcie cioci Rysi, wcale nie zaskoczonej, zyskał natychmiast i od razu spłodzono osobliwy dokument, nakazujący Zelmusiowi i Barbarze we właściwej chwili zawrzeć związek małżeński. Dzieło nie miało nie tylko

żadnej mocy prawnej, ale także najmniejszego sensu. Podpisała się pod nim połowa obecnych, druga połowa zaś gwałtownie zaprotestowała z przyczyn niedokładnie wyjaśnionych. Pan Bartosz niewątpliwie miał jakąś sitwę z ciocią Rysią, bo wspólnymi siłami wymyślali coraz to nowe udziwnienia, domagając się od pradziadka aprobaty. Ściśle biorąc, domagała się ciocia Rysia, podczas gdy pan Bartosz na uboczu racjonalnie uzasadniał kolejne pomysły, dzięki czemu pokłócili się wszyscy ze wszystkimi.

Pradziadek nie protestował przeciwko niczemu, z Feliksem porozumiewając się wzrokiem. W zamieszaniu ktoś ukradł dużą kopertę z danymi osobowymi spadkobierczyni, aktem ślubu rodziców, świadectwem jej urodzenia, świadectwem chrztu, aktem zgonu ojca i w ogóle wszystkim, co niemowlę może posiadać. Nie było to żadne nieszczęście, bo uwierzytelnione kopie znajdowały się razem z testamentem u notariusza, ale przez kilkanaście lat Feliks nie mógł śledzić losów dziecka, co przyczyniło mu trudności i kłopotów. Później wyszło na jaw, że kopertę podwędziła ciocia Rysia.

– Po co?

– Pojęcia nie mam. Chyba tylko po to, żeby przysporzyć uciążliwości. A może jako rodzaj zabezpieczenia. Teraz już mniej więcej wiem, co się ze spadkobierczynią dzieje, ale wiem też, że warunku nie spełniła i o dzieciach nie myśli.

– Zaraz, moment. A ona w ogóle wie o tym?

– O czym?

– O warunku i o dzieciach?

– Pojęcia nie mam. We właściwej chwili miała zostać powiadomiona, ale nie wiem, czy to nastąpiło.

Testament pradziadka został zatem zrealizowany dziwnie, formalnie owszem, ale praktycznie wcale. Odziedziczony majątek, prawnie należący

do spadkobierczyni, wciąż był jej niedostępny.

– I wie pan – zwierzał się Feliks – miałem wtedy wrażenie, zresztą nadal mam, że pradziadek całą tą awanturą świetnie się bawił. Dlatego nie wtrącałem się i jak oka w głowie pilnowałem tylko tego, co sam przekazał w moje ręce. Nie ulega jednakże wątpliwości, że iskrę rzucił i ogień podsycał pan Bartosz, bardzo podstępnie.

– I myśli pan, że dlaczego?

– Nie wiem. Znielubiłem go i nie chciałem mieć z nim do czynienia. Ale podejrzewam... może krzywdzę człowieka, ale jednak podejrzewam, że to przez swojego podopiecznego. Uwierzył w stworzenie z Zelmusia postaci historycznej własnym wysiłkiem. Wielcy nauczyciele i twórcy królów też przechodzili do historii, może po prostu wierzył w siebie.

Woźniakowi przeleciało przez myśl, że chyba przydarzył mu się fart. Stanowczo lepiej mieć pana Bartosza pod ręką w charakterze ofiary, niż w charakterze sprawcy. Naużerałby się z nim po wszystkie czasy!

– I co? Zrezygnował z sukcesów?

– I to nawet dość szybko. Zelmuś, nadęty przekonaniem o tej swojej wielkości, wyrósł na megalomana, a przy okazji także chciwca i skąpiradło. Wszelka uległość z niego wyparowała, rychło uznał, że przerósł mistrza, i z tego, co już dawno słyszałem, wnioskuję, iż urażony opiekun się wyłączył, porzucając niesfornego ucznia. A może po prostu zorientował się w jego walorach i stracił wszelkie nadzieje. To już co najmniej dwadzieścia pięć lat... Ciocia Rysia też się zapewne przyczyniła, była nieznośnie apodyktyczna. Tamtą awanturę testamentową pradziadek zdążył jeszcze skomentować, powiedział do mnie, że teraz nie będzie się kłócił, bo nie ma siły, ale pogada sobie z tą zgagą na tamtym świecie.

Woźniak przetrawił opowieść, popił świetną kawką i wszystko mu się zgodziło, aczkolwiek w głowie krakowiaka tańczył melanż wspaniały.

– Miał pan rację, to rzeczywiście nie do protokołu. Przydałby mi się tylko adres Rychezy i Anzelma Kluczników. Ma pan może?

– Z dawnych czasów. Dla niej był legat w drugim testamencie, więc oczywiście musiałem mieć. Nie wiem, gdzie teraz mieszka, ale z pewnością pan znajdzie. Ale nawet nie wiem, czy ona jeszcze żyje.

– Zaraz. W jakim drugim testamencie?

Feliks westchnął ciężko.

– Ciotecznego dziadka spadkobierczyni, młodszego o pokolenie od pradziadka. Umarł później... A w ogóle ojciec nie był jej ojcem, tylko ojczymem, drugim mężem matki, więc, rzecz jasna, z innej rodziny, o czym nikt nie pamiętał. Ona sama uważała go za rodzonego ojca. Cioteczny dziadek poparł zdanie przodka, też uczynił ją spadkobierczynią, drobne legaty zostawił i też oczywiście wykonawstwo zwalił na mnie. Zelmusia wystawił do wiatru, nie cierpiał go...

Zawahał się, zastanawiał przez chwilę. Woźniak zapragnął mu dopomóc.

– W rezultacie został pan strażnikiem mienia...?

– Coś w tym rodzaju. Może raczej informacji o mieniu. Ale i tak, nawet gdyby pani Rościszewska miała już sześcioro dzieci, jeszcze byłyby kłopoty. Informacja jest praktycznie niedostępna i mam podejrzenia, że przez pana Bartosza... A może przeze mnie...?

Rozstali się w najlepszej zgodzie i Woźniak wyszedł, zaopatrzony w kolejny kawałek wiedzy. Ten Zelmuś... Zaintrygował go. Nie słychać jakoś o Anzelmie Odnowicielu, rozczarowany megaloman nie znajdzie winy w sobie, musi jej szukać w kimś innym, gniew nim szarpie, pretensja, śmiertelna uraza do nieudolnego nauczyciela, który zawiódł. Pragnienie zemsty rośnie...

Jak najszybciej należy znaleźć Zelmusia!

* * *

Siedziałyśmy obie z Baśką u niej w domu nad stosem na nowo rozkopanej makulatury, ogłuszone niespodziewanym przeistoczeniem Bartosza ze sprawcy w ofiarę. Ja bardziej, ona mniej, krócej go znała. Wciąż trudno mi było w to uwierzyć.

– Z panią Paszczakową ogrodnicze prace odwalał – mówiłam w zadumie. – Cholera ich wie, może i rzeczywiście ten Paszczak go dopadł. Awanturnik, wpadł w furię, złapał łopatę...

– Skąd wiesz, że awanturnik? – zaciekawiła się Baśka. – Znałaś go?

– Raz w życiu rozmawiałam z nim przez telefon. Wścieklizna ze słuchawki strzelała, kogoś poszukiwał, ale nie pamiętam już, żony, czy rywala. Żadnej z tych osób u mnie nie było, a już jego małżonki z pewnością nigdy w życiu, w co nie chciał uwierzyć. Tej Helusi Paszczakowej w ogóle nie znałam, wiedziałam tylko, że podobno istnieje.

Do nagłego zamachu ostrym narzędziem mąż pasował doskonale.

– Bartosz by się nie uchylił?

– On wcale nie miał takiego refleksu, jak się chwalił. Już go widzę, stoi niczym pomnik i siłą woli osłabia cios.

– To źle mu wyszło – zaopiniowała filozoficznie Baśka. – Stawiam na Paszczaka. Powiem ci jednak, że mnie ustrzeliło, naprawdę myślałam, że to Bartosz wykasował jakiegoś i już się nastawiłam na duży ubaw. Wiem, że ty w ogóle wiesz więcej...

– Najwięcej wie piękna Helusia – przerwałam stanowczo. – Ona, zdaje się, z tych samych sfer i znała go od młodości. Tych jego wrogów też. Ja za to od młodości znam Górskiego i trochę z nim pogadałam w cztery oczy, jeśli chce, może uszczęśliwić Woźniaka.

– A ta... jak jej tam... Anna Bobrek?

– O niej tylko słyszałam. Nawet dosyć dużo, od niego. Rozczarowała go. Wziął ją pod opiekę, dobrotliwe bóstwo, i chciał, żeby skończyła medycynę, własny lekarz w domu, wysoko ukształcony, to cenna postać. A ona złapała się za kursy introligatorskie i w książkach siedzi, do bani. Za karę nie wtajemniczył jej w swoje święte sekrety. Nie, tylko pani Helusia, mam nadzieję, że Woźniak ją znajdzie, Górski mówi, że to bystry chłopiec i zaparł się czterema łapami.

– To niech się pośpieszy – powiedziała Baśka niecierpliwie. – Bo poleciałabym do tego Feliksa, ale nie wiem, czy już. Coś mi się widzi, że lepiej przeczekać.

– A pewnie. Za dużo ludzi się pęta dookoła. I ostrzegam cię przed tymi dwiema babami, Pauliną i Leokadią. One wścibskie i maniacko ciekawe, na głowie staną, żeby się dowiedzieć, o co tu chodzi, dlaczego Feliks wie o tobie coś tam i co to jest. Paulina szczególnie.

– O ile rzeczywiście on coś wie – mruknął Patryk za naszymi plecami, zajęty przy zabytkowym kredensie. Robił kawę, herbatę i jakieś wymyślne, łagodne napoje.

Baśka obejrzała się na niego.

– Mnie daj uczciwego koniaku, bo robię się jakaś nerwowa. Co właściwie one mają do Feliksa? Albo Feliks do nich? Bo tak się przyglądałam w tej komendzie i wyszło mi, że uważają go za swoją własność, a on się na to zgadza?

– I bardzo dobrze ci wyszło – pochwaliłam ją. – Znają się dłużej, niż ja żyję na świecie, Feliks od zawsze był zakamieniałym wielbicielem Pauliny, wszyscy myśleli, że się z nią ożeni, chociaż jest starszy przeszło dychę, ale jakoś im się nie zbiegło. O ile sobie przypominam, on miał żonę, a ona męża, w różnych czasach i ciągle im się mijało. Ona miała do niego pretensję i za jego żonę i za swojego męża, żona Feliksa umarła wcześniej...

– Rozumiem, że przez grzeczność? Żeby uciąć niesnaski?

– Możliwe. Podobno łagodna była.

– I wtedy Feliks powinien był się z tą Pauliną ożenić – odgadł Patryk, stawiając napoje na stole.

– Powinien, tylko że wtedy właśnie ona już znów miała męża. Drugiego, z pierwszym się rozwiodła. Dobry człowiek i uprzejmy, ale nie do tego stopnia, żeby zaraz umrzeć, umarł o wiele później, jeszcze na tej działce pracował aż miło, a z Feliksem się przyjaźnili. Zresztą Paulinie bardzo się to podobało, mieć i męża, i wielbiciela, i obydwoma pomiatać. Pomiatanie wychodziło jej koncertowo.

– A jak już ten mąż umarł...?

– To Feliks zaczął mieć różne swoje tajemnicze kłopoty i rozzłoszczona Paulina obraziła go śmiertelnie. Pod wpływem Leokadii, podjudziła ją ta zołza, nie znam szczegółów, bo mnie nie było, ale Leokadia uwielbia intrygi i jest z nimi w pełnej symbiozie, same jej w ręce wchodzą.

– Miała męża? – wtrąciła Baśka, szalenie zainteresowana.

– Miała, dlaczego miała nie mieć?

– Bo intrygantki przeważnie nie mają. Brakuje im chłopa, intrygi go zastępują.

Pokręciłam głową.

– O, to nie Leokadii. Lecieli na nią, a ona na nich nie, nigdy się do seksu nie pchała. Na Paulinę też lecieli, w młodości to była piękna kobieta i przywykła do hołdów, świat ma być dla niej, a nie ona dla świata. A Leokadia judziła i podpuszczała ze złośliwym chichotem. Teraz to widzę wyraźnie, bo wcześniej unikałam ich jak ognia, też próbowały mną pomiatać, ale ja mam zły charakter i poskąpiłam im tej przyjemności. Do Bartosza w ogóle się nie przyznałam, w ostatniej chwili rzuciłam im go na

pastwę, możliwe, że przez niedopatrzenie, bo chodziło mi raczej o Marlenkę. Rwała się do kawałka ziemi, więc chciałam jej trochę pomóc.

Patryk obsłużył nas napojami, spróbowałam koktajlu i wyliczyłam, że więcej niż 0,2 promila w siebie nie wchłonę, więc może być. Zawahałam się.

– Nie wiem, czy Woźniaka nie wspomóc – rzekłam niepewnie. – Ale ma taki przekrój społeczeństwa do przekopania, że jeśli mu dołożę, może nie wytrzymać i jeszcze mu zaszkodzę. Diabli wiedzą, kto z tego towarzystwa nadal żyje, a kto nie.

– A kogo masz jeszcze? – zaciekawiła się Baśka.

– Helusia Paszczakowa miała przyjaciółkę. Też wielka baba, ruda i ostra, i też na Bartosza leciała. Nie miała szans, za głęboki rynsztok. Helusię wspomagała, zapewne z nadzieją, że i jej coś skapnie, a nazywała się wdzięcznie, Idalia Krasna.

– Skąd, na litość boską, masz takie znajomości?!

– Z telefonu. Mówiłam ci przecież, cały ten wybrakowany harem do mnie dzwonił, jak on im znikł z oczu. Wcześniej zresztą też, musiałam w końcu uciąć dostęp do siebie.

– Widziałaś tę Idalię?

– Nigdy w życiu. A jeśli widziałam przypadkiem, to nic o tym nie wiem. Bartosz mówił, że ruda i wielka, a że leciała na niego, to już zgadłam sama z siebie. Przez telefon mnie karciła, że paskudzę taką piękną miłość, Helusia i Bartosz, niczym Romeo i Julia, a ja w tym siedzę jak zadra w tyłku.

– I naprawdę się tak nazywała?

– Cholera ją wie, tak się przedstawiła. Bartosz przyświadczył, że tak, ale tyle powiedział, ile mu się wyrwało. A może zełgał. Nie chciał o niej rozmawiać, bo nie kryłam pretensji za przesadne szastanie moim numerem

telefonu. Wtedy myślałam, że jest tylko głupi, chociaż paranoja już mi świtała.

– Moim zdaniem powinnaś komisarzowi powiedzieć – zaopiniował Patryk. – Jakoś przetrzyma, a pomóc może. Dlaczego właściwie nie powiedziałaś od razu?

– Bo dopiero w tej chwili ją sobie przypomniałam. Tyle wysiłku zużywam na przyjęcie do wiadomości faktu jego zejścia, że na nic innego mi nie starcza. Ale może masz rację, dobrze, powiem...

* * *

Pogoniwszy swój zespół na cztery strony świata, Woźniak zaczął dość rychło uzyskiwać rezultaty. Równocześnie dotarły do niego pożądane informacje o pani Paszczakowej i o Zelmusiu. Które to informacje omal nie pozbawiły go resztek posiadanej dotychczas równowagi.

Pani Paszczakowa mieszkała obecnie na Wierzbnie, przy ulicy Puławskiej, w trzech eleganckich pokojach z kuchnią, które jej zgasły małżonek zdążył wykupić tuż przed swoim zejściem nieodwracalnym, a ona je po nim odziedziczyła. Bez trudu, bo i tak mieli wspólnotę majątkową.

Wieść o poszukiwanej damie nadbiegła szybko, ale efekt okazał się mierny, pani Paszczak bowiem w domu nie było. Ani w dzień, ani w nocy. Rzecz jasna, przepytano sąsiadów, wyjątkowo mało użytecznych, ponieważ nic nie wiedzieli z przyczyn dość prostych. Mianowicie tak się pechowo złożyło, że ci z najbliższych pięter wynieśli się w ostatnim czasie, w ciągu roku mniej więcej, albo na lepszy świat, albo do domów opieki, albo do jakichś rodzin, czemu, z racji ich wieku, nikt się nie dziwił. Na ich miejsce wprowadzili się nowi, irytująco pracowici, którym brakowało czasu na kontakty sąsiedzkie i pojęcia nie mieli o innych lokatorach. Szczytem

znajomości było rozpoznawanie się z twarzy i kłanianie się sobie wzajemnie tych z jednego piętra, co do innych pięter istniały już wątpliwości. Tym bardziej nikt nie umiał powiedzieć, co się dzieje z lokatorką tego akurat jednego mieszkania. Nie urządzała imprez, nie robiła hałasu, nie miała psa ani kota, nie wychodziła i nie wracała o żadnych regularnych porach i nikt jej systematycznie nie spotykał. Nie umarła. Nawet najmniejszy cień podejrzanej woni obok jej drzwi nie wskazywał na obecność zwłok w środku, a nie mogła przecież umrzeć i sama się zabalsamować.

Woźniak się wściekł i o mało go szlag nie trafił, na szczęście znalazła się nadzieja na pociechę w osobie Zelmusia. Zelmuś mieszkał w Bydgoszczy, w starej willi po cioci Rysi, z żoną i dziećmi, ciocia Rysia zaś, wciąż jeszcze żywa, przebywała tuż blisko, w prywatnym, luksusowym domu opieki. Zgodnie z własnym życzeniem. Kosztowała nieźle, ale miała czym płacić.

Utalentowany niewymownie Zelmuś zajmował się pracą pisarską. Tworzył wielkie dzieło, pisał mianowicie komentarze do twórczości Marksa, Engelsa i Lenina, Stalina sobie darował, i widział przed sobą piedestał, na którym trwale zasiądzie. Co prawda, tylko jeden jego felieton pojawił się w druku jeden raz, w jednym z ostatnich numerów Trybuny Ludu i więcej nic, ale jednak się pojawił i Zelmuś powiesił go sobie na ścianie, wycięty z prasy, oprawiony w ramki i pod szkłem. Na widocznym miejscu ulokował dowód, że jest pisarzem!

Woźniak w pierwszej chwili nie chciał wierzyć w tę informację, ale nie wytrzymał, pojechał do Bydgoszczy, która nie leży wszak na końcu świata, i sam zobaczył. Zarówno dowód, jak i Zelmusia.

Odbył także rozmowę z Zelmusiem. Nagrał ją na taśmę od pierwszego do ostatniego słowa i przepisująca później tekst aspirantka zapytała

nieśmiało i grzecznie, czy nie mogłaby dla odpoczynku otrzymać rozkazu obezwładnienia samodzielnie sześciu zuchwałych złoczyńców, posiadając wyłącznie pistolet na wodę i może być nawet nienabity. Przepisała wszystko rzetelnie i straciła pewność, że zna w ogóle jakiś ludzki język.

A Woźniak chciał tylko wydoić z Zelmusia informację, gdzie był i co robił szóstego czerwca przed dziesięciu laty...

Przy okazji miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o wrogach pana Bartosza, bo nadzieję na osobisty udział Zelmusia rychło stracił, i z lekkim zaskoczeniem stwierdził, że dotychczas przesłuchani świadkowie mieli rację i mówili samą świętą prawdę. I ta cała Joanna, że pan Bartosz miał wrogów jak wąż ogon: wyłącznie. I Feliks, który nie tylko nic nie przesadził, a przeciwnie, jako człowiek dobrze wychowany, mocno złagodził wizerunek młodzieńca. Największym wrogiem pana Bartosza byłby sam Zelmuś, gdyby nie to, że pan Bartosz był jeszcze większym wrogiem Zelmusia, któremu zniszczył karierę i zatruł życie, a mamusia jest świadkiem.

Życiorys Zelmusia stanął przed komisarzem otworem z najdrobniejszymi szczegółami. Od dwudziestu pięciu lat, a nawet nieco dłużej, przyszły wielki człowiek prowadził diariusz w trojakiej postaci. Prawie trzydzieści zachowanych kalendarzy, gęsto upstrzonych notatkami, zapiskami dla pamięci, tysiącem spotkań, nazwisk, dat i godzin, terminy kontaktów z pralnią, szewcem, dentystą, sklepami, lekarzami i w ogóle wszystkim, z czymkolwiek człowiek może się stykać, zapiski maczkiem prowadzone, a i tak się nie mieściły. Drugą postać stanowiły grube bruliony w liczbie jedenastu, w których Zelmuś notował konkretne wydarzenia, starannie pilnując nie tylko dat, ale nawet godzin. I wreszcie trzecie, zapewne dla twórcy najważniejsze, dzieła większego formatu, w twardych

okładkach, zawierające wzniosłe myśli, poglądy, odkrycia, spostrzeżenia i wynikające z nich wnioski genialnego autora.

Tę ostatnią część biografii Woźniak postarał się ukradkiem zlekceważyć natychmiast po dostrzeżeniu zdania: „...calizna, jakoby wieczna, nagle i znienacka pęknięta z hukiem, a w ciszy, nierównym szlakiem w postaci ostrych, a kapryśnych trójkątów...”. Zarówno huk w ciszy, jak i kapryśne trójkąty odrzuciły go od siebie i czym prędzej jął udawać, że umysłem tych wyżyn nie sięga, żeby przypadkiem nie obrazić bezcennego świadka. Nawet bardzo udawać nie musiał.

Zelmuś jednakże był rzeczywiście bezcenny. Ów szósty czerwca sprzed dziesięciu lat opisany został z przeraźliwą drobiazgowością, tego dnia bowiem ciocia Rysia przenosiła się do upragnionego luksusowego domu opieki medyczno–prywatnej. Przenosiny, mimo niewielkiej odległości, trwały pełne cztery dni, w Bydgoszczy deszcz nie padał tak, jak w Warszawie, ale upał owszem, panował i mleko skisło, a świeżutka szynka straciła swoją dziewiczość. Woźniak dowiedział się nawet, że było to całe siedemnaście i pół deko i zjadły ją bezpańskie koty. Zelmuś, rzecz jasna, przez cały czas, w każdej sekundzie, był obecny, sam zajmował się wszystkim z mamusią na czele, a na poszukiwanie zapasowej sztucznej szczęki cioci Rysi razem z żoną i dziećmi stracił czterdzieści osiem minut. Grono osób towarzyszących, wymienionych z nazwisk i numerów telefonów, było liczne i godne szacunku, ani na chwilę nie miało szans od Zelmusia się oderwać i tym sposobem wróg numer jeden pana Bartosza zyskał alibi nie do zwalczenia. Nie on kropnął działkową ofiarę.

No to co, że nie on?

Spis prawdopodobnych sprawców posiadał imponujący. Póki jeszcze z opiekunem miewał kontakty bezpośrednie, wszystkie perypetie pana Bartosza zostały uwiecznione niemal równie dokładnie, jak zelmusiowe.

Te, o których wiedział, rzecz jasna, bo na przykład o pani Paszczakowej nie miał zielonego pojęcia, a o Annie Bobrek tyle wiedział, że istnieje. Inne osoby żeńskie plątały mu się po horyzoncie bardzo niewyraźnie, ponumerował je i wszystkie elegancko określał mianem dam. Dama I, dama II, dama III... Zależnie od kolejności, w jakiej o nich słyszał, albo się ich domyślał. Najwidoczniej Bartosz utrzymywał je w tajemnicy, nie chcąc ucznia gorszyć.

Płeć męska występowała wyraźniej i miewała nazwiska, adresy i numery telefonów, a jeden miał nawet adres grobu na Bródnie, co pozwoliło Woźniakowi usunąć go od razu z grona potencjalnych sprawców. Reszta stanowiła grono zdeklarowanych wrogów.

Wezwawszy do pomocy kumpla z komendy bydgoskiej, Woźniak wykonał fotokopie twórczości Zelmusia strona po stronie i cały nabój przywiózł do Warszawy. Zelmuś nie tylko się zgodził, ale nawet gorliwie pomagał.

Zdobycie materiału trwało krótko, za to nieźle dokopało całemu zespołowi, sprawdzającemu owych wrogów pana Bartosza. Zważywszy, iż pochodzili z dość odległych czasów, duża ich część znikła z horyzontu przed zbrodnią, ale resztka została i od ich alibi sprzed dziesięciu lat wydział zabójstw prawie dostał nerwicy. Prawie, bo najgorsza kołomyja trwała tylko trzy dni, a jedno znalezisko okazało się nawet interesujące. Była to duża, stara koperta, zawierająca dane personalne istoty płci żeńskiej, w momencie ich gromadzenia jeszcze nieliczne z racji wieku istoty. Pamiętny zeznań Feliksa Woźniak błyskawicznie zorientował się, że dopadł oto podwędzonej przez ciocię Rysie pełnej wiedzy o spadkobierczyni, która nie dostała swojego spadku. Nazwisko jej brzmiało: Barbara Rościszewska.

Doznał czegoś w rodzaju ukojenia.

* * *

Nim zdążył cokolwiek zrobić, kolejnej informacji dostarczyła ta okropna Joanna, która po Zelmusiu wydała się Woźniakowi istotą prawie niebiańską. Nie opowiadała całego swojego życiorysu, nie wymieniała sprawców klęsk, nie rozwodziła się nad sukcesami i nie przywaliła komisarza stosem makulatury w twardych oprawach. Zwyczajnie zadzwoniła na komórkę i powiedziała: – Teraz sobie przypomniałam, przepraszam, że nie wcześniej, że ta Paszczakowa miała przyjaciółkę od serca. Jedną. Inne były zwyczajne i nic o nich nie wiem, a ta jedna wyjątkowa. Nazywała się Idalia Krasna. Te same sfery, zbliżone miejsce zamieszkania. Kto, jak kto, ale ta Idalia powinna wiedzieć, gdzie się pani Paszczak podziewa.

W Woźniaku natychmiast wybuchła chciwość.

– Coś więcej o niej! Wiek, wygląd, co robiła, gdzie ją można znaleźć?

– Pojęcia nie mam. Wiek ten sam, co przyjaciółki. W życiu jej na oczy nie widziałam, ale znam z opisu. Potężna baba–grzmot, wulgarne rysy, jaskrawo wymalowana i płomiennie ruda. Nie jestem pewna, czy z natury, może farbowana, opisywał mi ją mężczyzna, a płeć męska w sztukach fryzjerskich nie jest oblatana. Ale jeśli konsekwentnie farbowała się w młodości, to i teraz jest ruda. Nawet tym bardziej.

– Pracowała gdzieś?

– Podobno przez jakiś czas była strażniczką w więzieniu dla kobiet. Nie wiem, w którym.

– Skąd pani w ogóle o niej wie, skoro jej pani...

Przerwała mu od razu.

– Z telefonu. Uparcie do mnie dzwoniła, przedstawiając się imieniem i nazwiskiem, i komunikując, że pan Bartosz właśnie z panią Helusią w

łóżku igraszkuje.

– Co robi...?!

– Igraszkuje. Tak wytwornie określała osobiste kontakty natury seksualnej. Wiem, bo czasem jej się ta wytworność nudziła i wtedy waliła wprost. Chyba nie muszę...?

– Nie, nie, ja... to jest, my... znamy te określenia... mniej więcej.

– No to łatwo panu zrozumieć, że nie wdawałam się z nią w długie pogawędki. Ale we wspomnieniach tkwi mi przekonanie o ich wiernej przyjaźni. Może się panu na coś przyda.

Woźniak już otworzył usta, żeby spytać o Rościszewską, ale zamknął je czym prędzej. Nie, to nie rozmowa na telefon, trzeba będzie pogadać z nią osobiście, może jej się coś wyrwie, a Rościszewska nie zając. Chociaż podobno coś tam było z zającem w samolocie...

Opanował się i z miejsca ruszył poszukiwania Idalii Krasnej, sprawiając z kolei wielką ulgę poszukiwaczom wrogów z listy od Zelmusia. Zanim jednak uzyskał rezultaty, poczuł wyraźnie, że musi, ale to musi absolutnie, porozmawiać z ludzką istotą nie tylko niewinną i normalną, ale w dodatku jakoś dziwnie kojącą pod każdym względem.

Marlenka zaprosiła go na swoje dwudzieste ósme urodziny.

Nie było w tym żadnej premedytacji. Owszem, Marlenka doskonale zdawała sobie sprawę ze stanu swoich uczuć, doznań, pragnień i zamiarów życiowych, nie była żadną idiotką, ale też złudzeń dawno się wyzbyła. Nie miała fartu. W jakiś dziwny sposób każdy osobnik, który jej się spodobał, jeśli już nawet odpłacił jej wzajemnością, natychmiast od niej czegoś chciał. Pociechy w nieszczęściu, jakie go dotknęło. Załatwienia jakiejś obrzydliwej sprawy urzędowej. Pomocy w zdobyciu czegoś niezupełnie legalnego. Opieki zdrowotnej, jeśli już nie dla niego samego, to dla chorej siostry, mamusi, brata... Wachlarz potrzeb był tak szeroki, że szarpana

dobrym sercem Marlenka miała urwanie głowy i w końcu się zbuntowała. Dosyć tego, pierwsze zmartwienie, o jakim usłyszy, odrzuci ją od faceta!

Nie było to łatwe, bo zaprotestowała wrodzona uczynność, na szczęście jednak ostatnimi czasy spadały na nią wymagania jednorodne, działkowe. Z tym już dawała sobie radę, dziedzina bliska jej sercu i nie przysparzająca udręk uczuciowych, w dodatku niczego od niej nie wymagano, przeciwnie, dokładano jej. Interesująca nowość. Komisarza Woźniaka ujrzała nagle na działce, dokąd przyszedł w nadziei, że miejsce zbrodni przysporzy mu natchnienia. Nie zawiódł się, pierwszą i jedyną zresztą osobą, jaką tam ujrzał, była Marlenka i od razu odrobina błogości zakiełkowała w jego skołowanym umyśle. Wiedział doskonale, że po rewelacjach Zelmusia powinien spotkać się z Feliksem i z nim uporządkować tych cholernych dawnych wrogów, a także wysoce podejrzaną sprawę Rościszewskiej, ale chwila wytchnienia była mu niezbędna.

Marlenka, pozbywszy się działkowego towarzystwa, robiła październikowe porządki i właśnie kończyła robotę na dziś, czyszcząc i składając w altance ogrodnicze narzędzia. Na widok Woźniaka w furteczce coś jej w środku wyraźnie piknęło, ale opanowała to czym prędzej, bo wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

– Ma pan jakieś zmartwienie? – spytała podejrzliwie zamiast powitania.

Nie zdążyła wymówić do końca tych słów, a już posępne oblicze przybysza rozpromieniło się, jakby miało zastąpić zachodzące słońce. Śmiało, odważnie i w mgnieniu oka Woźniak przyznał się samemu sobie, że tak naprawdę chciał spotkać Marlenkę i żadna inna normalna osoba nie wchodziła w rachubę.

– Tak – powiedział radośnie. – To znaczy nie, odwrotnie, właśnie przestałem mieć zmartwienie i zostaje mi tylko przytłaczający nadmiar wiedzy. Z tak idiotycznym dochodzeniem jeszcze się w życiu nie

zetknąłem! Tę folię trzeba pod kółka podłożyć, bo wiatr może ją zerwać, coś mówili o zmianie pogody. Pomogę pani.

Marlence też się świat rozjaśnił, nie ona ma pomóc, tylko on jej pomoże, radośnie przyjęła męski udział w osłonięciu kosiarki do trawy.

– Kawałek trzeba przepchnąć, pod okap...

Kosiarka upiększyła atmosferę tak, jakby zdopingowane słońce rzeczywiście postanowiło wyrazić aprobatę i wstrzymać się chwilę z zachodzeniem. Sprzątnęli, co trzeba, a potem było zupełnie naturalne, że Woźniak zabrał Marlenkę do samochodu i pojechali razem, ponieważ okazało się, że właśnie tego dnia wypadają jej urodziny. Zaprosiła go spontanicznie i z wdzięczności. Po drodze ukradkiem kupił szampana. Okazało się, że jest jedynym gościem, Marlenka bowiem nie miała w planach żadnego przyjęcia, o tych urodzinach w ogóle nie pamiętała, wyleciały jej z głowy, chociaż dnia poprzedniego dla własnej przyjemności przyrządziła coś dobrego do zjedzenia. Sałatkę jarzynową mianowicie i zraziki wołowe w ziołach, śmietanie, jogurcie, obficie doprawione na ostro za pomocą curry, pieprzu i papryki. Z ryżem. Czerwone wino miała w domu, a szampan został wypity na deser pod dość osobliwą zakąskę w postaci marynowanych gruszek.

Z szalonym zainteresowaniem i żywą radością Marlenka wysłuchała wszystkich tajemnic służbowych, które Woźniak musiał wypchnąć z siebie, bo inaczej z pewnością by pękł. No, nie były to tajemnice stanu, zaliczały się raczej do tajemnic poliszynela, ale wydział zabójstw nawet i drobnostki zazwyczaj ukrywa przed społeczeństwem. Marlenka jednakże nie była społeczeństwem, tylko sobą, a taki Zelmuś, taka ta piękna Idalia... Zaraz. Piękna...? Chyba raczej czerwona...

Zaraz... W której to książce było? Młodzieniec chciał powiedzieć do ruskiej panienki: „Jaką pani ma piękną różę”, bo miała rozkwitłą różę

przypiętą do gorsu, i powiedział: „*Kakaja u was krasnaja roża*”, po czym panienka obraziła się śmiertelnie, ponieważ znaczyło to podobno: „Jaką pani ma czerwoną mordę”. Za nic w świecie Woźniak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to czytał, Żeromski...? Któryś z rosyjskich klasyków...? Nie, to raczej ktoś z naszych.

Marlenka też nie pamiętała. Zastanawiali się usilnie, w rezultacie czerwona morda połączyła ich węzłem znacznie silniejszym niż samotna głowa, kościotrup w inspekcie, a nawet urodziny.

Krasna morda rychło doprowadziła do skojarzenia z krasną Idalią. Marlenka o niej nie słyszała, za to mgliście przypominała sobie Zelmusia, którego widziała dwa razy we wczesnym dzieciństwie jakoś tak obok wuja. Umknąłby jej z pamięci z pewnością, gdyby nie oczka, osobliwie ulokowane.

– Przestraszyłam się go – wyznała teraz Woźniakowi, który przeistoczył się już w Andrzeja. – Chyba mi się nawet raz przyśnił. Myślałam, że to jest jedno takie oko na środku twarzy, nad nosem, coś okropnego, później myślałam, że to zez. A potem już nic nie myślałam, bo gdzieś znikł i tyle. To zresztą była w ogóle obca rodzina.

– Mnie dręczą ci wrogowie – wyznał z kolei Woźniak. – Sensu w nich nie widzę żadnego, łatwo ich odnaleźć w gruncie rzeczy, ale i tak jest to czysta strata czasu. Jak dotąd, wśród tych, co żyją, nie ma ani jednego podejrzanego bez alibi. Trudno sobie wyobrazić, że na przykład denata wykosił gość, który akurat wtedy spał za stołem prezydialnym na jakiejś naradzie miejskiej w Suwałkach. Chrapał podobno tak, że wszyscy go słyszeli. A także widzieli. Albo taki, który szóstego czerwca płacił mandat w Szczecinie i jeszcze się awanturował. Reszta... aż głupio mówić, bo to twój wuj...

– Nie lubiłam go – przypomniała energicznie Marlenka.

– No więc tak naprawdę nikt go nie traktował poważnie. Ciągle składał jakieś pozwy i usiłował wytaczać różnym facetom sprawy sądowe, z których nic nie wynikało. Znajome osoby do tego samego namawiał. Przeczytałem ostatnio, przypadkiem, tak mi jakoś w ręce wpadło, że skłonność do pieniactwa sądowego jest jednym z objawów paranoi.

Marlenka kiwnęła głową.

– Pani Joanna mówiła to samo – mruknęła, sprawiając Woźniakowi dużą ulgę.

– Więc może i rzeczywiście... Coś w tym jest, że odebrali mu prawo jazdy, kartę pływacką, zezwolenie na broń...

– Miał bagnet. Raz go widziałam.

– Na pamiątkowy bagnet zezwolenie niepotrzebne, a nikogo nim nie uszkodził, sprawdziłem. Gdzieś zniknął, nie możemy go znaleźć. Podobno miał syna, też go nie możemy znaleźć, znasz go może?

– Nawet nie wiedziałam, że miał syna.

– Co do żony, też nic nie wiadomo – martwił się Woźniak. – Mam na myśli matkę tego syna. Jakąś przecież musiał mieć?

– A, właśnie! – ożywiła się Marlenka. – Zaraz, ja coś słyszałam, jeden raz, takie plotki w rodzinie. Jeszcze żyła ta moja ciotka, która umarła. I to ona powiedziała, że wcale się z nią nie ożenił, takim jakimś złym, jadowitym głosem, że do tej pory to pamiętam. A ile ja miałam wtedy, ze dwanaście lat chyba? Ale ona już była ciężko chora i ledwo mówiła, a tu nagle tak się z niej wyrwało jak z trąbki bojowej.

– Masz ci los. Więc ten syn może mieć nazwisko po matce, diabli wiedzą, jakie. Nie plotkowali więcej?

– Plotkowali, ale ja już tego nie pamiętam. Na wuja kręcili nosem, tyle wiem. Na pewno więcej wiedzą te dwie, jak jej tam... Anna Bobrek i pani

Joanna. Z nimi powinieneś więcej rozmawiać, to żadne nieszczęście, obie piękne.

Gdyby teraz Woźniak powiedział, choćby nawet żartobliwie: „No, to ty mi się na nic nie przydasz”, dziabnąłby ją sztyletem w serce i nigdy więcej nie zostałby zaproszony. Ale powiedział coś zupełnie innego, w dodatku z bezwiedną irytacją.

– Zawracanie głowy. Każdy ma swój gust. Dla mnie jesteś dziesięć razy piękniejsza niż one obie razem wzięte i nie zamierzam zmieniać poglądów. Natomiast do ostrej pogawędki muszę złapać tę cholerną Idalię Krasną, która chyba raczej nie powala urodą.

– Tylko nie pomyl się i nie mów do niej po rusku, że ma taką piękną rożę – zachichotała Marlenka, czując na sercu wielką kroplę miodu.

Nastrój zmienił się w mgnieniu oka, tak szybko, że Marlenka nie zdążyła nawet pomyśleć o kawie, a Woźniak bez chwili wahania postanowił poważnie potraktować spożyty alkohol, pół butelki wina i pół butelki szampana, bo spożywali po równo, i zostawić samochód pod domem Marlenki. Odebrać go jutro.

Co też uczynił.

Po czym zgodnie, acz na razie jeszcze każde we własnym zakresie, stwierdzili, że tak cudownego wieczoru żadne z nich dotychczas nie spędziło. Z nikim innym.

* * *

Idalia Krasna znalazła się nad podziw łatwo.

W miejscu zamieszkania wprawdzie trudno ją było zastać, ale wieści o miejscu pobytu nadbiegły zewsząd natychmiast i już w godzinę później Woźniak osobiście mógł podziwiać upragnioną damę.

Popodziwiał sobie trochę, siedząc na barowym stołku w małej knajpie o wdzięcznej nazwie „A Kuku” i stwierdzając, iż rysopis poszukiwanej otrzymał zdumiewająco trafny. Potężna baba, ciemnorude kędziory, dużą, ordynarną twarz miał upiększać i zapewne odmładzać makijaż, gruby na centymetr. Makijaż obowiązku nie spełniał. Wiek spod niego wyłaził, druga połowa pięćdziesiątki jak obszył. Siły i energię jednakże widać w niej było niespożyte i Woźniak zawahał się w wyborze, od kogo wolałby dostać w pysk, od któregokolwiek z siedzących w knajpie klientów, czy od tej facetki. Zdecydował się w końcu na klientów, choć też im nic nie brakowało.

Rządziła tam. Komisarz już wiedział, że knajpa w połowie należy do niej, w połowie do wspólnika, który dawno odsiedział swoje i teraz był porządnym obywatelem. Prym wiodła jednak pani Krasna, ruchliwa i wszechobecna, miała oko na wszystko, ladę barową, kilka stolików, gości, obsługę i zaplecze.

Woźniak z zainteresowaniem przyjrzał się twarzom klientów, ale rozpoznał tylko dwie, reszta była mu obca. Orientował się także doskonale, że lokal służy niejako resocjalizacji, oblatana w zawodzie piękna Idalia daje ciepły kąt części społeczeństwa skłóconej z prawem, już po odsiedzeniu wyroku, względnie na przepustce, pilnując tylko, żeby nikt nie był aktualnie poszukiwany. Planować następny skok mogą sobie do upojenia, bo co innego plan, a co innego wykonanie. Woźniaka nie dziwił ani brak znajomych twarzy, ani nietypowa, jak na taki bar, ilość płci pięknej. W końcu pracował w wydziale zabójstw, swoich klientów nie mógł się spodziewać na wolności, bo co innego napad, mordobicie, włamanie i rabunek, podpalenia i kradzieże, a co innego morderstwo, a choćby nawet zabójstwo w afekcie, za takie rozrywki kibluje się dłużej. Te dwie zapamiętane twarze to byli dwaj podejrzani, którzy wyszli ze sprawy

ulgowo, ponieważ prawdziwy sprawca był kretynem i sam się podłożył. Woźniak ich nawet osobiście nie przesłuchiwał, nie mogli go poznać.

Płeć żeńska... Cóż, pani Krasna rzeczywiście była niegdyś strażniczką w więzieniu dla kobiet, trudno się dziwić licznym znajomościom. Znajomości obecne w knajpie prezentowały zresztą niezmiernie szeroki wachlarz, nie były to żadne frywolne panienki do towarzystwa, tylko przekrój społeczeństwa płci żeńskiej bez ograniczeń. Od zestarzałej kupki nieszczęścia w łachmanach do wyniosłej bogini w kosztownych szatach. Ponadto z tychże właśnie uprzednio karanych pani Idalia konsekwentnie kompletowała swój personel, który albo śmiertelnie się jej bał, albo był jej dozgonnie wdzięczny.

Bogaty zyskaną dotychczas wiedzą Woźniak rozważał sposób działania. Zaprosić babę do komendy? Umówić się na wizytę u niej? Złapać ją od razu i zamienić kilka słów?

Złapać od razu. Z zaskoczenia!

Pani Idalia na widok dorodnej postaci męskiej i znanej jej doskonale legitymacji natychmiast zaprosiła go na zaplecze, do przytulnej komórki, określonej przez nią mianem gabinetu. Zaproponowała liczne napoje, ale Woźniak skorzystał tylko z wody mineralnej.

– Tak dla porządku, żeby już mieć z głowy formalności – rzekł milutko. – Gdzie pani była szóstego czerwca dziesięć lat temu?

Pani Krasna, zamiast się oburzyć na głupie pytanie, bo kto pamięta, gdzie był i co robił określonego dnia przed dziesięciu laty, o ile, na przykład, nie brał akurat ślubu, spęczniała dumą.

– W Kołobrzegu byłam. Rok w rok na taką kurację wyjeżdżam do Kołobrzegu, od dwudziestego czwartego maja do ósmego czerwca i jak raz właśnie wtenczas pierwszy raz byłam. I w tym roku taka rocznica wypadła, nawet mi tam taką niedużą uroczystość urządzili, że to stała gościowa, rok

po roku jak w zegarku przyjeżdża. I od następnego roku dziesięć procent zniżki mam gwarantowane, a tam drogo biorą. A bo co? Dlaczego pan pyta? Stało się co akurat wtenczas?

Dumę z doznanego honoru przebiła w głosie zwyczajna ciekawość. Pani Krasnej pogawędka z bardzo przystojnym facetem pokrewnego zawodu najwyraźniej sprawiała przyjemność bez żadnej domieszki niepokoju.

– Nie, to formalność – powtórzył Woźniak pobłażliwie. – Ja do pani z czym innym. Pani miała przyjaciółkę, niejaką Helenę Paszczak?

– Miałam? – zdziwiła się pani Idalia. – A cóż jej się stało? Miałam i dalej mam, dlaczego mam nie mieć? Nie umarła chyba nagle, bo nic o czymś takim nie wiem?

– A kiedy ją pani ostatnio widziała?

– Jakże, w Kołobrzegu przecie! Na tej uroczystości była, jeszcze mi gratulacje składała. Z tydzień tam siedziała, popluskała się trochę. A co?

– A gdzie jest teraz?

Swobodna dotychczas i wręcz radosna pani Idalia nagle się lekko zakłopotała.

Teraz zełże – pomyślał Woźniak i nagle zdał sobie sprawę, że w tym całym dochodzeniu natknął się na coś niezwykłego. Obfite grono świadków, którzy nie kłamią, nie stawiają oporu, mówią prawdę wręcz beztrosko. Jedenaście lat kontaktów z podejrzanymi wszelkiego autoramentu wyrobiło w nim instynkt zbliżony do zwierzęcego, na początku ci ludzie starali się o powściągliwość, później, kiedy wyszła na jaw tożsamość ofiary, trysnęli szczerością. Mógł się oczywiście mylić, głupio wierzyć w swoje pobożne życzenia, ale instynkt twierdził, że nie. Nie łgali i nie łżą nadal, prawda sama się z nich wyrywa.

Dokonał odkrycia. Oni się kompletnie nie boją policji!

Ależ mu się przytrafiło, co za ludzie...

Dopiero teraz, w obliczu pani Idalii Krasnej, delikatnie powiało łgarstwem. Ale nie zwlekała długo z odpowiedzią na pytanie.

– Teraz to nie wiem – rzekła ostrożnie. – Od tego Kołobrzegu na oczy jej nie widziałam.

– Ale panie są przecież przyjaciółkami.

– No to co?

– Coś do pani z pewnością mówiła, zwierzała się. Miała jakieś plany?

Pani Krasnej zaczęło być niewygodnie na fotelu. Kilkakrotnie zmieniła pozycję, umościła się tak jakoś dziwnie, jakby chciała rozepchnąć mebel, który wydawał się za ciasny. Przyjemny wyraz twarzy nie utrzymał się na stanowisku.

– A ona na co panu potrzebna?

Woźniak zaparł się przy taktyce przyjacielskiej.

– O, nic takiego. Jako świadek. Parę pytań mam do niej. W domu jej nie ma i liczę na to, że pani mi powie, gdzie ją mogę znaleźć.

– Jakich pytań?

– Różnych. Była chyba przy takim jednym wydarzeniu...

Pani Idalia wzięła się w karby.

– A to może ja bym panu mogła odpowiedzieć. Bo my się razem trzymamy i jak ona co widziała, to pewno i ja.

– Ale przecież pani jej nie spotkała od czerwca, sama pani mówi, to jak pani mogła widzieć to samo, co ona?

– A to ostatnio było? Nie dawniejsze?

– I takie, i takie. Ale przepisy, to przepisy, jak mi na świadka podają Helenę Paszczak, to ja muszę przesłuchać Helenę Paszczak i bez tego się nie obejdzie, to już powinna pani wiedzieć. A jak ją przesłucham, to głowę daję, że się pani dowie, jakie pytania musiałem jej zadać. I wszyscy będą zadowoleni.

Przy tych zachęcających i życzliwych słowach Woźniak omal nie zachichotał. Pomyślał, że najwidoczniej w braku kłamliwych świadków sam złapał się za łgarstwa, zapewne dla złagodzenia nietypowości śledztwa, bo czy tu rzeczywiście wszyscy będą zadowoleni, bardzo wątpił. Pani Krasna coś węszyła, w oczy biło z daleka i należało ją docisnąć, ale to w drugiej kolejności. Najpierw piękna Helusia.

Po krótkiej chwili wahania pani Idalia nagle się ugięła. Upiększający makijaż naruszyła jakby gniewna błyskawica.

– No, jak tak... to ona różnie bywa. Teraz to domu jednym takim pilnuje, bo za granicę wyjechali.

Woźniak sprężył się w sobie i wciąż jeszcze grzecznie, ale bardziej stanowczo zażądał nazwiska i adresu jednych takich. Panią Idalię znienacka odblokowało i udzieliła informacji teraz już bez oporu. Okazało się, że nie są to jakieś dalekie strony, tylko Siekierki, gdzie utrzymały się jeszcze przedwojenne rudery, przerobione na eleganckie wille z dość przestronnymi ogrodami i pani Paszczak domu pilnuje, a w ogrodzie rozmaite porządki robi, bo lubi. U siebie też bywa, dlaczego nie.

– Jakoś trudno ją spotkać – bąknął Woźniak.

– Bo się woli pokazać, jak już wypięknieje – wysyczała przyjaciółka i tu ujawniła się zaskakująca uległość w kwestii zdradzenia adresu. – Ta Stasińska, co przyjedzie, bo oni czasem przyjeżdżają, a ona kosmetyczka jest, to Helusi buziuchnę wyklepie, wymaseczkuje, odmłodzi, i tak z rok jeszcze, a Helusi z dziesięć latek odejmie. Po to ona tam siedzi i ludziom się wymiguje, bo nic innego z tego nie ma. A jeszcze kąpiele, wanny, prysznice, te żakuzy czy jak im tam, pławi się w tym, a jak prosiłam, żeby i mnie wpuściła, jak Stasińskich nie ma, oooo... to nie! Bo mnie to niby na co takie upiększanie, a jej niby na co...? A ja ją w tym Kołobrzegu zaprotegowałam!

Dzika furia wystrzeliła z nadprzyrodzoną gwałtownością i zakotłowała się w pani Idalii. Nie była to furia czynna, taka, która ciska zastawą stołową, demoluje lokal, wydrapuje przeciwnikowi oczy i nóż w klatkę piersiową wbija, tylko bierna, wewnętrzna, niczym kłębowisko żmij, z wściekłym sykiem tryskających jadem na wszystkie strony. Długo już musiało w damie wzbierać i nagle przerwało tamy.

– Dziesięć lat będzie, jak już i tak ją gach w trąbę puścił, mówię, jak komu dobremu, ty raszplo głupia, on już nie wróci, to nie! Jak ten baran zaparta, dla niej wróci, a ona mu te swoje piękności podetknie i dopiero będzie! Będzie, akurat, gówno w kratkę malowane, trąba powietrzna z koziego ogona! I żeby nawet za grosz nie popuścić, i dawniej, i teraz, dla najlepszej przyjaciółki, co jej tego kurwiszona nadętego wygryzłam...!

Tu panią Idalię lekko zatchnęło i tylko syk się z niej wydobywał, jak z zabytkowego parowozu w doskonałym stanie. Woźniakowi pamięć nie szwankowała, już od połowy zwierzeń zaczął się domyślać, co słyszy, a koniec zrozumiał doskonale. Kurwiszon nadęty wywołał w nim silne wzdrygnięcie, starannie ukryte.

Pani Krasna jednakże złapała drugi oddech. Najwidoczniej zadawnione żale do przyjaciółki miały potężną moc, przebiły wszystko, ostrożność, nieufność, znajomość świata, w którym obydwoje, i gliniarz, i strażniczka więzienna, lata całe tkwili, ulały się jak wrząca lawa z wulkanu.

– Ale to ona zawsze ma powodzenie, z tym Walusiem się trzyma, a on za nią od młodości lata. Nie chciała go, nie chciała, kochasia na białym koniu pazurami łapała, Paszczak jej w końcu kopyta wyciągnął, już myślała, że go ma, a on co? Zmył się jak ta woda w sraczu. Pan wie? Suknię ślubną sobie uszyć kazała!

Nie, tego Woźniak doprawdy nie wiedział. Pani Krasna siorbnęła czegoś ze szklanki, odświeżając gardło.

– Z białym welonem to się już nie wygłupiała, kostium zamówiła, czerwony, spódnica do ziemi, z takim małym ogonem z tyłu, kapelusz też czerwony, ale tu już nie strzymała, z białą woalką, dziewica się znalazła... Waluś to by na kolanach z nią do tego ślubu leciał, już się nawet rozwiódł dla niej, a ona nie i nie, bo ulubiony kochaś do niej wróci...

Woźniaka nagle tknęło.

– Zaraz. Jaki Waluś?

Pani Krasna szła rozpędem.

– Stułbia Walerian. Na Madalińskiego mieszka, bystry chłopiec, z partyjnego aparatu rozumnie uciekł, przyczaił się i teraz za wielkiego biznesmena robi, pluskwa wredna.

– Adres, telefon, miejsce pracy!

– A proszę, proszę, burak taki, gdzie mu do Bartosza, ale niech ta wielka pinda, nawet i takiego nie ma!

Głębokim współczuciem i zrozumieniem Woźniak zdołał ukoić doznania pani Idalii, co zaowocowało jeszcze długą chwilą wysoce przydatnych zwierzeń. Prawie dostał wypieków.

Wiedział już, co ma robić i jak łapać nieuchwytną panią Paszczak. Oraz, na wszelki wypadek, Walusia Stułbię.

* * *

Ewa Górska, we własnym zakresie trzymająca już teraz rękę na pulsie sprawy, która ją coraz bardziej ciekawiła, znienacka doznała wstrząsu.

Ogólnie biorąc, nie wtrącała się, milczała kamiennie, nie tylko jednak odwiedzała stryja częściej niż kiedykolwiek, nawiązała także bliższe znajomości z całą ekipą Woźniaka, jemu samemu nie pchając się w oczy. Czasem nawet bywała przydatna i czujnie śledziła tajemnicę łopaty, ulęgłą niejako w jej obecności, chciwie wypatrując postępów w dochodzeniu.

Stała akurat w księgarni w kolejce do kasy z trzema wybranymi książkami. Kolejka była niewielka, jakiś pan płacił bilonem za nabyte dzieło, trochę niedowidział, więc długo to trwało, kasjerka okazywała anielską cierpliwość, od pana zaś dzieliła Ewę tylko jedna pani w średnim wieku. Do łona tuliła około tuzina cienkich książeczek dla dzieci, z ramienia zwisała jej pękata, skórzana torba, w drugiej ręce trzymała torbę foliową, pobrzękującą szkłem, ale wciąż nie zapowiadało to wielkiej straty czasu. Pozbyć się pana z bilonem i już pójdzie szybciej.

Pani jednakże była chyba niezdarna, albo niedbała. Albo jedno i drugie.

Pan z bilonem odszedł, upuściwszy tylko dwie dziesięciogroszówki, pani zaś zamaszystym gestem ulokowała obok kasy książeczki dla dzieci. Pochyliła się przy tym, żeby łonem zbliżyć się do lady, bo trzeciej ręki nie miała, a książeczki trochę się jej rozjeżdżały. Przy tej okazji puścił zatrzaskowy zamek wypchanej torby, z jej wnętrza zaś sypnęły się ochoczo śliczne, małe, okrąglutkie cebulki. Ewie na nogi i dookoła.

– Jezus Mario! – krzyknęła pani. – Moje tulipany!

Ewa rzuciła swoje książki na ladę, odruchowo schyliła się, żeby natychmiast zacząć zbierać drogocenności i z dużym impetem wbiła się częścią tylną w kogoś, kto stał za nią. Ten ktoś jęknął cichutko, ale kroku w tył nie uczynił, utrzymał się na nogach, zdopingowany zapewne okrzykiem kasjerki: – Państwo się nie ruszają, bo to się rozdepcze!

Okrzyk miał sens, cebulek było dużo. Ewa zaniechała skłonów, przykucnęła, sprawczyni katastrofy również, druga torba walnęła o ladę i chyba coś w niej pękło, bo zabrzęczała podejrzanie dźwięcznie. Z głębi księgarni nadbiegła ekspedientka, kasjerka podała zbieraczom dwie mniejsze torebki, a sama zaczęła liczyć dziecinne książeczki, dość niemrawo, bo co chwilę wychylała się zza kasy i z troską wskazywała

zguby turlające się w niejakim oddaleniu. Okrągłe cebulki toczyły się wesolutko i łatwo.

Cztery osoby dość szybko dały im radę i nie wpuszczono tylko jednego klienta, wstrzymanego w wejściu rozpaczliwym okrzykiem: – Nie wchodzić!!!

Pani, stęknąwszy, podniosła się wreszcie z pozycji w kucki i wyjaśniła, że to nowość, holenderskie, jakieś niezwykłe, niskie i wczesne, dostała właśnie od przyjaciółki, kasjerka zaczęła liczyć bez przeszkód, Ewa zaś odwróciła się, żeby dopiero teraz przeprosić klienta, którego rzetelnie rąbnęła tyłkiem. Wiedziała, że to mężczyzna, kucając, dostrzegła buty. Zdecydowanie męskie.

– Bardzo pana... – zaczęła i urwała, zaskoczona. – Och, ja pana chyba skądś znam...?

I odjęło jej mowę, bo natychmiast uświadomiła sobie, skąd. Oczywiście, znała tę piękną, męską twarz, nieco starszą, ale równie atrakcyjną, wpatrywała się w nią mnóstwo razy, zapamiętała dokładnie wraz ze wszystkimi okolicznościami towarzyszącymi. To po prostu niemożliwe, nie mógł przecież ożyć, odmłodnieć i przyjść do księgarni...

– Niemożliwe, proszę pani – powiedział osobnik, przyglądając się jej z zainteresowaniem. – Z całą pewnością nie widzieliśmy się nigdy, mowy nie ma, żebym zapomniał.

– Nie, to ja pana... – wyrwało się Ewie i znów zamilkła, potwornie zakłopotana. Jak miała mu powiedzieć, że zna go w charakterze trupa, wygrzebanego w dwóch częściach, z kompostowego inspektu i z gąszczu pani Amelii. – ...widziałam... – zakończyła dość rozpaczliwie. Gdyby nie była tak śliczną dziewczyną, nagabnięty facet, dostatecznie przystojny, żeby przywyknąć do rozmaitych zaczepek, z pewnością pomiarkowałby swoje

zainteresowanie. Ale Ewa w zakłopotaniu była jeszcze ładniejsza niż zwykłe.

– A można wiedzieć, gdzie mnie pani widziała? I kiedy?

Kasjerka załatwiła już panią z cebulkami i teraz policzyła książki Ewy. Dla Ewy pytanie osobnika tylko pogorszyło sytuację.

– To długa historia. I chyba skomplikowana...

– Sto dwadzieścia siedem złotych i sześćdziesiąt groszy – powiedziała kasjerka i sięgnęła po książki następnego klienta.

Ewa wyciągnęła z torebki portfel i nagle oprzytomniała. Przypomniała sobie, do jakiego zawodu się przygotowuje i na jaką osobliwość trafia. Nie może odpuścić, wszystko jedno, co on sobie pomyśli, trupem nie jest, to pewne, więc osobiście go to nie dotyczy. A była chyba mowa o synu nieboszczyka, takim strasznie podobnym...

– Czy zechce pani chwileczkę zaczekać, ja zaraz zapłacę – powiedział syn nieboszczyka. – Wyjaśnijmy to sobie.

– Bardzo chętnie.

I natychmiast za drzwiami księgarni wzięła byka za rogi.

– Czy pan przypadkiem nie znał pana Bartosza?

Iskra przeleciała po facecie, natychmiast stłumiona.

Trochę zesztywniał. Nie odpowiedział od razu, zastanawiał się przez chwilę.

– A pani?

Ewa już odzyskiwała opanowanie i zaczynała myśleć racjonalnie. Zatrzymała się na skraju chodnika.

– Osobiście go nie znałam i nigdy z nim nie rozmawiałam, ale widziałam go wiele razy. Słyszałam też, że miał syna, niewiarygodnie podobnego do siebie. Pan wygląda dokładnie tak samo jak on, tylko znacznie młodziej. To jak? Odpowie mi pan?

– Dlaczego mówi pani o nim w czasie przeszłym?

Subtelność Ewę odbiegła.

– Jak to? Nie wie pan, że on nie żyje?

Facet nie wydał żadnego okrzyku, ani rozpaczy, ani niedowierzania, nie zemdlał i nie zalał się łzami. Przyglądał się Ewie wzrokiem prawie bez wyrazu, może z odrobiną zaskoczenia.

– Nie mam o tym najmniejszego pojęcia, to primo. A secundo, czy jest pani pewna, że rozmawiamy o tym samym człowieku? Bartosz to nie jest takie rzadkie nazwisko.

– Nazywał się Bartosz Bartosz, imię i nazwisko takie samo, to już chyba nie zdarza się często? A poza tym, niemożliwe przecież, żeby pan był tak przeraźliwie podobny do obcego człowieka!

– Nie. Istotnie... – syn ofiary zawahał się i nagle jakby podjął decyzję. – Owszem, miałem ojca i jestem do niego rzeczywiście bardzo podobny. Zewnętrznie. Wie pani na pewno, że on nie żyje?

– Absolutnie, we wszystkich procentach świata. Zaraz. Rozumiem, że nazwisko nosi pan inne?

– Adam Barnicki, do usług.

– Ewa Górska – powiedziała Ewa odruchowo.

Stali wciąż na skraju chodnika tuż obok zaparkowanego przy krawężniku ciemnoszarego mercedesa i przeszkadzali trochę przechodzącym ludziom. Adam Barnicki rozejrzał się nagle dookoła.

– To nic są warunki do takiej rozmowy, a nie widzę blisko żadnego lokalu. Czy ma pani coś przeciwko temu, żeby wsiąść do tego samochodu i pogadać spokojnie w środku?

Pstryknął pilotem. Wsiedli. Ewa pożałowała gorzko, że nie zdoła uwiecznić tej rozmowy, ale żal jej trwał krótko, bo właściwie nie była

pewna, rozmawiają prywatnie, czy służbowo. Niech będzie, że prywatnie, pamięci przecież znienacka nie straci...?

– Mówi pani, że on nie żyje – zaczął Adam. – Jak to się stało? Kiedy? Na co umarł?

To, co było powszechnie wiadome, Ewa mogła wyjawić.

– Został zamordowany przeszło dziesięć lat temu – rzekła sucho. – Sprawca dotychczas nieznany. Zabójstwo wyszło na jaw pięć lat temu, a tożsamość ofiary ustalono dopiero w tym roku, przed miesiącem. Sprawę prowadzi komisarz Andrzej Woźniak i oszaleje z radości, jeśli pan się z nim skontaktuje. Mogę panu dać jego telefon.

Doznania emocjonalne komisarza Woźniaka nie zaprzątnęły Adama bez reszty, nie przejął się nimi, ale telefon wziął. Coś mu się tu wydało skomplikowane. Zgadł bez trudu, że sam też będzie musiał udzielić wyjaśnień i nie widział powodu, żeby ich unikać, szczególnie, że przyjemniej było zwierzać się pięknej dziewczynie, niż jakiemuś gliniarzowi.

– Dziesięć lat, mówi pani – mruknął. – Rok po mojej ucieczce.

– Jakiej ucieczce?

– Uciekłem ojcu spod ręki w tydzień po ukończeniu osiemnastu lat, już mnie nie mógł zatrzymać. Maturę miałem. Świeżutko otworzyli granice, we Francji poczekałem na stosowne dokumenty, zaproszenie od matki, wizę i tak dalej, i pojechałem do niej, do Stanów. Moja matka uciekła wcześniej, też od ojca, kiedy miałem pięć lat, zostawiła mnie pod opieką dziadków.

– Dlaczego?! – wypsnęło się Ewie, nieco zgorszonej i zdumionej, bo wszystko to brzmiało dziwnie.

– Co dlaczego?

– Wszystko. Dlaczego?

– Bo ojciec upierał się przy ślubie, a ona nie zgadzała się, za nic w świecie, i wcale jej się nie dziwię. On był jak kafar, jak walec drogowy, nie zniosła tych nacisków. Noszę jej nazwisko, sama zarejestrowała mnie w Urzędzie Stanu Cywilnego, podając, że ojciec nieznany, dała im do zrozumienia, że padła ofiarą gwałtu, co wcale nie było prawdą. Ale co jej szkodziło. Ojciec toczył wojnę z dziadkami, koniecznie chciał mnie wychowywać, próbował załatwić to sądownie, ale nic mu z tego nie wyszło. Kontaktował się jednak ze mną, ile tylko zdołał, przez kilka lat nawet mi się to podobało, ale w trakcie dorastania przestawało podobać. Coraz bardziej. Nie był dobrym człowiekiem.

Ewa kiwnęła głową. W uszach zabrzmiał jej głos, dochodzący z zadeszczonej działki, bezlitosny i okrutny, nie do zapomnienia. O, mogła tego Adama doskonale zrozumieć, ona też nie chciałaby mieć takiego ojca. Męża tym bardziej.

Adam przyjrzał się jej, wywęszył zrozumienie, podjął temat.

– Nie mówił prawdy. Albo inaczej, mówił ją w kratkę, istna szachownica. Egocentryk zakamieniały i nie zdawał sobie sprawy, że to wychodzi na jaw na każdym kroku. Chciał ze mnie zrobić swoją kopię, zorientowałem się w końcu, że prezentuje jakieś wypaczenie umysłowe, zacząłem się go bać, szkodził mi podstępnie, żeby zmusić do postępowań zgodnych z jego poglądami. Przestałem mu wierzyć, starałem się go unikać i tylko czekałem chwili, kiedy stanę się pełnoletni i żadna opieka nie będzie mi groziła. No i uciekłem, z rodziną miałem to uzgodnione.

– Porozumiewał się pan z matką?

– Oczywiście. Moja matka ma międzynarodowy zawód, jest anestezjologiem, wyjątkowo utalentowanym. Zaczęła od Francji, poznała tam Amerykanina, za którego wyszła za mąż, pojechała z nim do Stanów, szybko dostała obywatelstwo, mieszka i pracuje w Bostonie. Ja skończyłem

tam studia prawnicze, ale jestem dziennikarzem, korespondentem kilku periodyków, teraz odważyłem się już wrócić do Polski. Zawsze chciałem wrócić.

– Nie przyjeżdżał pan?

– W ciągu dziesięciu lat jeden raz, cztery lata temu. Przyjechałem na pogrzeb dziadka, zdecydowany unikać ojca. Dziwiłem się trochę, że tak łatwo mi to przyszło. Okazuje się, że on już nie żył...

– I zamierza pan zostać?

– Oczywiście. Od początku miałem to w planach, tylko musiałem dojrzeć do tej podjazdowej wojny obronnej.

– Nie ma pan żadnego akcentu, mówi pan po polsku, jakby pan nigdy nie wyjeżdżał z kraju.

– Nie mam powodu paskudzić akcentu, w którym uczyłem się mówić. Zresztą, języki obce łatwo mi przychodzą, zapewne to pamięć słuchowa, po matce, w dziennikarstwie bezcenna zaleta. A w moim ojczystym kraju prawo stoi na głowie, jest o czym pisać... Zaraz, wróćmy do tematu. Jak to było dokładnie z tym zabójstwem ojca? Powie mi pani?

Ewa oparła się wygodniej, wyciągnęła nogi, spojrzała w dal i ciężko westchnęła.

– Jak się później okazało, byłam początkiem – wyznała ponuro. – Wszystko wskazuje na to, że żywy z tej działki nie odjechał...

* * *

Woźniak plan zajęć ułożył sobie w mgnieniu oka.

Ustawiwszy człowieka pod siedzibą nieobecnych Stasińskich, na Belgijską postanowił udać się osobiście. Feliksa chciał załatwić w pierwszej kolejności, to bowiem wydawało mu się najprostsze, a zatem najkrótsze. Uporządkować sprawę i z głowy.

Pani Paszczak u Stasińskich dała się zauważyć, acz z trudem, bo wprawdzie porządkowała ogród, ale wysoki żywopłot skutecznie osłaniał całą posiadłość. Jedno było pocieszające, mianowicie wyjść musiała przez furtkę, względnie przez bramę, inna możliwość nie istniała, musiałaby przedzierać się przez zbity gąszcz, wręcz mur, wysoki na prawie cztery metry i straszliwie kłujący. Ani Woźniak, ani jego podwładny nie wierzyli w takie masochistyczne wybryki pilnowanej damy. Dwóch podwładnych, ściśle biorąc, zmieniali się dwa razy na dobę, bez przerwy nikt by nie wytrzymał.

Waleriana Stułbię zlokalizował błyskawicznie, bo rozumny biznesmen wcale się nie ukrywał, tyle że odznaczał się szaloną ruchliwością. Został w zapasie, jeszcze nie przyszedł czas na niego.

Drogi do Feliksa nie korkowały żadne przeszkody, a sam Feliks bardzo się ucieszył wizytą komisarza. Ze wzruszeniem przyjął wielką, starą, wypchaną kopertę.

– To ta – rzekł. – Jest tu nawet mój podpis. O, tu z boku, taki mały. Ale widzę, że była otwierana?

– Wielokrotnie – potwierdził Woźniak z lekkim przekąsem. – Pan Zelmuś wraz z panią Rychezą opiekowali się nią troskliwie, uzupełniając informacje.

– No właśnie, od razu wydała mi się grubsza, niż była. Do czego im to było potrzebne?

– Nie wiem. Myślałem, że pan może wiedzieć.

Feliks westchnął.

– Ja się tylko domyślam. Pani Rycheza lubiła trzymać rękę na pulsie i nie spodziewała się zapewne, że wyświadczy mi przysługę. Dokładała sukcesywnie informacje o spadkobierczyni. Zgadza się?

Woźniak kiwnął głową, nie zamierzając ukrywać, że sam już to wszystko przeczytał urzędowo. Tajne instrukcje testamentowe stawały się znane coraz szerzej, omijając tylko osobę najżywiej nimi dotkniętą, mianowicie spadkobierczynię. Istniała duża szansa, że i do niej w końcu też dotrą.

Feliks przejrzał to wszystko z wielkim zainteresowaniem i westchnął ciężej.

– No tak, Barbara Rościszewska, dobrze się domyśliłem, że to ona, kiedy ją ujrzałem na działce. Nie zmieniła nazwiska. Nic nie poradzę, naprawdę starałem się dotrzymać przysięgi, ale skąd mogłem przewidzieć, że tego Bartosza ktoś skosi i śledztwo zatoczy takie szerokie kręgi. Czy ta dokumentacja jest panu potrzebna? Służbowo?

– Służbowo nie – przyznał Woźniak uczciwie i posunął się jeszcze dalej. – Chociaż na wszelki wypadek zrobiłem kopie, sam pan rozumie...

– Rozumiem, rozumiem. Dla mnie ważne jest, że wiem gdzie jej szukać i mam ją pod ręką. Oczywiście nadal będę się starał, a z jakim skutkiem, to już nie wiem. A pan...?

– A dla mnie ważne jest odczepić ten cały nabój od zabójstwa Bartosza – rzekł stanowczo Woźniak, podnosząc się z fotela. – Nie wierzę, że mordowały go trzy rodziny i niech mi się to wreszcie poukłada!

Tego, że na prowadzenie wśród podejrzanych wyszedł mu właśnie pan Stułbia, rzecz jasna, nie wyjawił. Zostawił Feliksa nad szpargałami, wyszedł, uczynił dwa kroki i zabrzęczała jego komórka.

– Andrzej? – powiedziała Ewa Górska i słychać było, że bardzo przejęta. – Znalazł się syn Bartosza, nazywa się Adam Barnicki, będzie do ciebie dzwonił, dałam mu twój numer, mam nadzieję, że mnie za to nie obsobaczysz...?

Obsobaczysz...?

Zanim zdążył uczynić trzeci krok, Woźniak oczyma duszy ujrzał nie jedną perłę, a cały naszyjnik z pereł, przetykanych diamentami. Z niezrozumiałych przyczyn ten naszyjnik otaczał szyję Marlenki...

* * *

– Powiedzieli w meteo, że jutro ma nie padać – zawiadomiła mnie Baśka, jak się później okazało, dokładnie w chwili, kiedy promienny Woźniak opuszczał dom Feliksa. – Uprzedzałam, że chcę ci zabrać trochę tego takiego, nie wydawałaś okrzyków protestu, więc może byś mogła nam pomóc jutro od wschodu do zachodu słońca. Co ty na to?

Czym prędzej zgasiłam silnik, bo komórkę trzymałam już przy uchu, a obok mnie powolutku przejeżdżał radiowóz. Na szczęście nie zdążyłam jeszcze ruszyć spod sklepu.

– Jeśli nie masz na myśli sprzątania, szczególnie papierów, proszę cię bardzo. Wszystko inne może być.

– Inne – zapewniła Baśka solennie. – Co nie znaczy, że wszystko, wystarczy transport. Mamy kupca na działkę ciotecznej babci i jednym kopem chcemy przewieźć do domu to, co nasze, pamiątkowe. W dwa samochody się zmieści.

A owszem, ten rodzaj pomocy bardzo mi się spodobał. W głębi duszy pochwaliłam komisarza Woźniaka, który najwidoczniej nie wierzył w udział pani Amelii w mordowaniu ofiary i ukrywaniu głowy we własnym gąszczu, w rekordowym tempie przegrzebał altankowe mienie pod kątem widzenia śledztwa i wydał stosowne zezwolenie. Umówiłyśmy się na jutro.

Co do wschodu słońca, nikt nie trzymał się go zbyt ściśle, zachód jednak okazał grzeczność i nastąpił we właściwym czasie. Udało nam się odjechać wypchanymi samochodami jeszcze przed zmrokiem. Głównie napracował się Patryk, bo ktoś musiał przenieść prywatną część spadku z altanki do

bramy. Przenieść, względnie przewieźć na taczkach. Rzecz jasna, nie wchodziły w grę narzędzia ogrodnicze, na grabiach, piłach, siekierach i tym podobnych Baśce wcale nie zależało, a już łopaty budziły w niej zdecydowaną niechęć, ale taki na przykład duży, sczerniały półmisek, który okazał się srebrny i zabytkowy, owszem, chciała mieć. Samowarów było dwa, jeden, zdaniem Patryka, z Tuły, prawdziwy. Latał teraz, Patryk, nie samowar, i znów przenosił, tym razem po schodach, cały dobytek z samochodów do mieszkania.

– Mam nadzieję, że się nie ochwaci – powiedziałam grzecznie, z odrobiną powątpiewania.

– Nic mu nie będzie – odparła Baśka niecierpliwie. – Nie darmo...

I urwała. Pomyślałam, że chyba wreszcie coś z siebie wypchnie. Cały czas była zdenerwowana, zniecierpliwiona, spięta i pełna lekkiej, ale trwałej irytacji. Odczekałam chwilę.

– No? – rzekłam zachęcająco. – Coś cię gryzie. Wypluj to.

– Gębą nie da rady – mruknęła i usiadła przy stole, na którym już zaczynał się piętrzyć nowy niezły stos. Obejrzała się na drzwi, za którymi znów zniknął Patryk. – Póki go nie ma... Nie darmo się na niego zdecydowałam, sprawdziłam przedtem, do czego jest zdolny. Pod byle śmieciem się nie załamie, ale nie w tym dzieło.

– A w czym?

Sięgnęła za oparcie krzesła, na którym wisiała jej torebka, wygrzebała papierosy i zapaliła. Brzegiem stołu przesunęłam ku niej popielniczkę, bo chłam na środku wydawał mi się w pewnym stopniu łatwopalny.

– We mnie – oznajmiła, nagle zdecydowana. – I chyba ci powiem, bo sama o tym kiedyś mówiłaś i dopiero teraz widzę, że jesteś bardzo mądra. I znalazłam dwie kartki, trudno mi ocenić, bardziej eleganckie czy bardziej pogniecione, a najbardziej stare.

Przez chwilę byłam absolutnie pewna, że znienacka zwariowała i prawie się przestraszyłam, bo te kartki wyskoczyły jak Filip z konopi, ale usłyszałam Patryka w drzwiach wejściowych i przestrach mnie opuścił. Obrócił w piorunującym tempie, Baśka usłyszała go wcześniej i zmieniła temat bezbłędnie, tym samym tonem, idealnie tworząc ciąg dalszy. Nie trzeba było Einsteina, żeby zrozumieć, nie chciała wyjawiać przy Patryku tej jakiejś krew w żyłach mrożącej tajemnicy.

Czort bierz tajemnicę, ale, na litość boską, kiedy, gdzie i w czym ja byłam taka bardzo mądra?! Zaintrygowało mnie to szaleńczo, a mogłam być pewna, że nie tak zaraz się dowiem. No trudno, kartki też ważne.

– Zapisane?

Baśka znów zaczęła grzebać w torbie.

– I to jakim tekstem! Wystrzałowym! Co prawda, czymś zalane...

– Koniec rozładunku – oznajmił Patryk i położył na stole kluczyki samochodowe. – Czekajcie, żebym nie pomylił, to twoje, to nasze, zgadza się? Pozamykałem. Chcecie teraz może kawę, albo herbatę?

– Chcieć, chcemy, ale nie wiem, czy mam sumienie – skrzywiła się Baśka. – Obawiam się, że chyba trochę mam. No dobrze, zrobię, a ty możesz się umyć. Z oporem przyznaję, że ci się należy.

Szurnęła krzesłem, podniosła się od stołu. Też znalazłam w sobie ślady sumienia, wzmocnione ciekawością, i poszłam za nią do kuchni. Patryk znikł w łazience, roztaczając wokół siebie aurę wyraźnego zadowolenia z życia.

– On się cieszy, że będzie odnawiał te żelazne struple – wyjaśniła Baśka ponuro, chociaż o nic nie pytałam. Wygarnęła na tacę filiżanki i szklanki i sypnęła do dzbanka kawę. Zapaliłam gaz pod czajnikiem.

– Póki go nie ma, może zdradzisz mi, kiedy i jakim cudem byłam taka mądra, bo mnie to nadzwyczajnie interesuje – zażądałam. – Może sama od

siebie czegoś się nauczę.

Zawahała się. Najwyraźniej w świecie chciała już przekłuć ten pęczniejący w niej balon, ale coś ją dławiło. Spróbowała nadkąsić z wierzchu.

– Jak mówiłaś o tej tam... fizjologii. A może biologii. Botanice i anatomii, i rozmaitych innych przyrodniczych. Właśnie stwierdzam, że miałaś rację, chociaż wcale ci nie wierzyłam i miałam nadzieję, że przesadzasz. Albo w ogóle się mylisz. A ty zrobiłaś mi świństwo i nie myliłaś się wcale.

Przeprosiłam ją natychmiast z jadowitą skruchą, bo od razu zaczęłam się domyślać sedna rzeczy. Baśka zastanawiała się jeszcze przez chwilę. Podsunęła dzbanek z kawą bliżej szumiącego czajnika i pokręciła głową.

– Nie, to nie teraz. Nie mogę szastać się po kuchni własnymi flakami w takiej nerwowej atmosferze. Wszędzie pełno Patryka, a jego planuję w drugiej kolejności. Odwalmy najpierw te dwie kartki, bo mnie się zdaje, że jest to fragment pamiętnika którejś zamierzchłej prababci. Zdążyłam przeczytać tylko sam początek.

Kartki rzeczywiście wyglądały na pamiętnik młodej dzieweczki z nieco dawniejszych czasów. Papier był tak elegancki, że nawet częściowe oblanie go jakimś płynem, mogła to być kawa, herbata, sok pomidorowy, względnie nawóz do kwiatków albo i co gorszego, wcale mu nie zaszkodziło. Nawet atrament się nie rozmazał, tyle że ogólnie był dziwnie blady. Zaczynało się od słów: „...widziałam ten myśliwski domek w środku lasu, dziadzio mnie zabrał już dawno i pokazywał...”.

Opis domku zajmował więcej niż pół strony. Wynikało z niego, że budowla była kamienna, z pięterkiem, i wątpliwe jest, czy dziś ktokolwiek nazwałby ją domkiem, skoro sama kuchnia zajmowała powierzchnię średniej stodoły i posiadała kominek, na którym z pewnością można było

upiec dzika, jelenia, a nawet wołu w całości. Część mieszkalna została najwidoczniej potraktowana nieco po macoszemu, bo w salonie mieścił się najwyżej tuzin myśliwych, śpiących na kamiennej posadzce pokotem, a w pokojach gościnnych panie bardzo się gniotły. Acz pań na ogół bywało niewiele.

Cały ciąg dalszy aż do końca drugiej kartki zajmowała ciężka troska tak dziadzi, jak i wnuczki. Dziadzio martwił się strasznie, żeby Niemcy przypadkiem do tego domku nie trafili, chociaż minął już trzeci rok wojny, a jeszcze go nie znaleźli. O pożar nie było obawy, kamień tak łatwo się nie pali, ale kryjówkę mogli znaleźć i strasznie dużo by przepadło. Wnuczka martwiła się wtórnie.

I z tego zmartwienia zapewne dokładnie opisała lokalizację tajemniczej kryjówki. W salonie też był kominek, nieco mniejszy i w nim się mięs nie piekło, za to kiedy wyjęło się ruszt, można było także wyjąć całą warstwę cegieł specjalnych, z łatwością oboje z Patrykiem odgadliśmy, że szamotowych, umieszczonych na takim wielkim żelazie. A pod żelazem była dziura. Głęboka.

W ściślejszy opis dziury autorka pamiętnika się nie wdawała, wracając do zmartwień dziadzi, którego zdenerwowanie rosło, przeplatane chwilami pociechy na przypomnienie, że jedyny zeszłowieczny sługa, znający sekret dziury, wziął i umarł. I nikomu już nie mógł o niej powiedzieć, więc majątek w środku miał szansę ocalenia. Gdyby tylko Niemcy nie...

Na tym kończyła się druga kartka.

Dzbanek kawy wyszedł, mnóstwo herbaty i dwa koniaki, zanim udało nam się całą treść w połowie odczytać, a w połowie odgadnąć, bo upiększające papier płyny zdecydowanie przeszkadzały. Więcej słów pisanych w chłamie z altanki pani Amelii nie znaleźliśmy, drukowane

owszem, ale te drukowane opiewały kwestie ogrodnicze, spożywcze, hodowlane, dekoracyjne i ogólnie domowe, żadnych tajemnic nie tykając.

– Super wspaniale – powiedziała Baśka dziwnym głosem. – Czy to ma być informacja o fragmencie mojego spadku?

– Sądząc z tego, że poniekąd poniewierało się w rodzinie... – zaczął Patryk z powątpiewaniem.

Przerwała mu od razu.

– To może ktoś z was odgadnie, GDZIE jest ten cholerny domek?

– W lesie – przypomniałam cierpko. – W samym środku.

– A GDZIE jest ten las?!

– Możemy się zastanowić – rzekł kojąco Patryk. – Drogą dedukcji. Nie w Białowieży...

– Skąd wiesz? Dlaczego nie w Białowieży?

– Bo tam Göring polował, gdyby znaleźli taki domek, piekliby mu w kominie te dziki i jelenie na rożnie. A już na pewno wcześniej pogonili ludzi w puszczę, żeby głupich niespodzianek nie było. Białowieża, moim zdaniem, odpada.

– Weźmy atlas historyczny – poradziłam. – Mnie się myli, gdzie były jakie puszcze przed wojną. Patryk, ty masz kumpla, który podobno hobbystycznie opracowuje sobie dzieje wszystkich walk partyzanckich. Stawiałabym na najspokojniejsze miejsce z nadzieją, że ci Niemcy tam nie...

– Niespokojnych się bali – zaprotestował Patryk.

– Ale byli zmuszani. Bartosz pewnie by wiedział, włóczył mnie po rozmaitych matecznikach. W jednym urwałam rurę wydechową.

– Anna Bobrek! – wykrzyknęła żywo Baśka. – Jestem pewna, że ją włóczył jeszcze więcej.

– Nic podobnego, to ja miałam samochód, nie on. I nie ona.

– Ale ja bym ją jednak zapytała...

Rozważania nie trwały zbyt długo, bo Patryk zwrócił nam uwagę, że jeśli Feliks rzeczywiście posiada zadołowany spis rzeczy, to ów spis wie najwięcej. Pierwsza myśl najlepsza, trzeba mu w końcu złożyć tę zaplanowaną wizytę. Baśka pozgrzytała trochę zębami, zgodziła się z nim i zażądała natychmiastowej renowacji czegoś w rodzaju trójzębnego widelca długości sześćdziesięciu centymetrów, z ozdobną, chociaż mocno zdewastowaną rękojeścią. Kojarzył się mniej z trójzębem Neptuna, a bardziej z wołami pieczonymi w kominku i twierdziła, że napawa ją nadzieją.

– Jaką nadzieją? – zainteresował się Patryk podejrzliwie.

– Że odnajdę ten cholerny domek i upiekę tam coś dużego dla uczczenia wielkiej chwili. Nie musi być wół, obejdę się indykiem.

– Oparzysz się – ostrzegł Patryk, oglądając rękojeść, ale ciągnęło go do ulubionej pracy, zabrał zatem przyrząd i udał się do swojej pracowni.

Baśka popatrzyła za nim, uznała, że atmosfera się oczyściła i bez żadnych wstępów przystąpiła do zwierzeń.

– Chcę dziecko – oznajmiła z zaciętością.

– W jakim sensie?

– Zwyczajnym. Chcę mieć dziecko. Urodzić osobiście.

Zaniepokoiła mnie okropnie.

– I co? Nie możesz?

– Kto powiedział, że nie mogę? – jej zdziwienie zawierało lekką domieszkę oburzenia. – Mogę, oczywiście. Nie ma żadnych przeszkód, upewniłam się już jakiś czas temu.

Pozastanawiałam się przez chwilę. Rozumiałam sedno rzeczy, teraz już nawet dwa sedna rzeczy, ale ciąg dalszy wolałam usłyszeć od niej. Nie

zwlekała z nim, musiał ten balon w niej przekroczyć granice swojej wytrzymałości.

– Tu właśnie byłaś taka mądra, jak przepowiedziałaś, że przyjdzie i na mnie, widocznie, jako kobieta, jestem normalniejsza, niż sądziłam. Fizjologia mnie pcha, gryzie i szarpie pazurami, dokładnie tak jak mówiłaś, wszystko we mnie żąda dziecka. Nie lubię dzieci, ale chcę.

– Mam nadzieję, że Patryk nie stawia oporu?

– Ale coś ty, jakiego oporu, on by chciał mieć sześcioro dzieci!

– To gdzie przeszkoda?

– Wszędzie. A głównie we mnie. Nienawidzę przymusu, żadnego! Chodziło po mnie, te pojękiwania rodzinne, miałam jakieś podejrzenia i zaparłam się nie mieć dzieci.

– I dlaczego właściwie?

– Na złość. Skoro wszyscy brzęczą dziećmi, to ja przeciwnie. I ze ślubem to samo.

Podniosła się gwałtownie od stołu i ruszyła w podróż dookoła, gniewnie rozkopując leżące na podłodze mienie. Przy kredensie zmieniała kierunek. Wcale nie zamierzałam się wtrącać, ale wyskoczyło mi samo.

– Ale jeśli zdecydowałaś się na Patryka, byłoby może wskazane wziąć z nim ślub, żeby dziecko miało legalnego tatusia. Rozwody istnieją...

Baśka zmieniła kierunek w połowie drogi, wróciła do swojego krzesła i usiadła jeszcze gwałtowniej niż się z niego zerwała. Rąbnęła się w kolano, syknęła i pomasowała uszkodzone miejsce.

– Nie potrzeba.

Jakoś strasznie trudno mi się z nią rozmawiało.

– Czego nie potrzeba? Tatusia czy ślubu?

– Ślubu. Już wzięłam.

– O rany boskie! Doprowadzisz mnie do tego, że kropnę sobie koniaku, którego nie cierpię, w nerwach przejadę kogoś, gliny mnie złapią i pójdę siedzieć. Z kim ten ślub wzięłaś, na litość boską?! Mam nadzieję, że z Patrykiem? I kiedy?!

– Z Patrykiem, z Patrykiem, mówię przecież, że go sobie wybrałam. W zeszłym roku. Nawet chciałam cię zaprosić, jako jedyną osobę godną zaufania, ale gdzieś zniknęłaś i nie mogłam cię znaleźć. Dwóch obcych ludzi wzięliśmy na świadków, nikt o tym do tej pory nie wie, jesteś pierwsza.

Znów się zerwała. Nosiło ją, kulejąc lekko, ponownie zaczęła oblatywać stół, wypadła na balkon, wróciła, dostrzegła nagle butelkę, nalała sobie koniaku, wreszcie usiadła i zużyła napój. Nie cały, w połowie.

– Nazwiska nie zmieniłam i nie zmienię – zapewniła mnie i pociągnęła temat dalej, z potężnym impetem wyrzucając z siebie wszystkie histerie, nerwice, bezsenności i rozmaite inne objawy, które już od dwóch lat doprowadzały ją do wściekłości. Pozbywała się balastu. Żadnych uspokajających śmieci nie tknęła, też na złość, oraz na wszelki wypadek, nie dobije organizmu chemikaliami!

Słuchałam cierpliwie, niezbyt zaskoczona, bo przewidywałam takie zjawiska. Znałam ją przecież, fizjologicznie rzecz biorąc była absolutnie zdrowa, idealnie normalna, bez żadnych wynaturzeń, silna, sprężysta, odporna na wszelkie choroby i okropnie ją to złościło. Osoba tak doskonale normalna nie może, a w każdym razie nie powinna pozwalać sobie na żadne wariactwa, a ona właśnie chciała. Charakter stał w konflikcie z anatomią, teraz anatomia wyszła na prowadzenie, no i klops. Najwyższy czas już był!

Psy wieszała na domku myśliwskim i coś mi zaczęło przeszkadzać. Zamajaczyło przypomnienie, jedno z tych, które starannie wyrzucałam z pamięci, skojarzenie z wiatrołomem, pień stuletniego drzewa, zagradzający

drogę tuż nad brzegiem jeziora. Drogę... Jak to była droga, to ja garbata akrobatka cyrkowa, wąskie, błotniste, nachylone ku wodzie... Musiałam po tym wracać tyłem...

Co miał piernik do wiatraka? Bartosz, oczywiście! Czy on wciąż jeszcze musi się wplątywać we wszystko? Ale domek myśliwski gdzieś tam tkwił...

Na oczy go nie widziałam, nigdy do niego nie dotarłam i poprzysięgłam sobie wtedy nie dać się wpędzać w dzikie plenery. Nigdy więcej! I zaznaczyłam upiorne miejsce, pytanie tylko, na której mapie. Atlas samochodowy sprzed piętnastu lat? A może jeszcze starszy? Co to za szczęście, że nie wyrzucam niczego!

Postanowiłam jednak nie robić Baśce na razie żadnych nadziei. Najpierw poszukam, może nawet w naturze. Dużo tam się mogło zmienić, ten stuletni wiatrołom zmurszał, ktoś go może zepchnął do jeziora, żeby do reszty spaskudzić wodę... Zarazem odezwało się kolejne niechciane wspomnienie, Bartosz na różnych mapach lubił zaznaczać rozmaite miejsca, sztabówki to były, też świętość, na którą nie zasługiwałam, nie miałam zatem do nich dostępu. Mogłam popatrzeć jeden raz. Ale ta Anna Bobrek...?

Przerwałam Baśce w pół słowa.

– Z Anną Bobrek masz rację. Spróbuję się dowiedzieć po kumotersku, co u niej znaleźli. Ale czekaj, zanim co... Dlaczego Patryka spychasz na drugie miejsce?

Baśka przestawiła się błyskawicznie.

– Bo nie chcę mu przyczyniać rozterki, czasem jestem taka humanitarna. Z jednej strony uciechy, a z drugiej zmartwienia. Wcale mi nie zależy, żeby wpadł w nerwicę.

– Uciechę rozumiem, a zmartwienie dlaczego?

– Szmal – wyjaśniła ponuro. – Coś z mieszkaniem trzeba by zrobić, trochę tu mało miejsca na dzieci. No dobrze, powiem ci, ale nie mów mu,

że ci powiedziałam. On ma brata, o dychę młodszego.

Pomacała pod śmietnikiem na stole, znalazła papierosy, zapaliła i westchnęła.

– I co ten brat? – spytałam ostrożnie w obawie, że zaraz usłyszę o narkotykach albo innej głupocie.

Okazało się, że jest gorzej.

– Przykuty do wózka inwalidzkiego. Uszkodzenie kręgosłupa, jakieś tam, które można zoperować, ale nie u nas, tylko w Szwajcarii i kosztuje drobnostkę, sto dwadzieścia tysięcy euro. Razem z rehabilitacją dojdzie pewnie do stu pięćdziesięciu. Patryk nieźle zarabia, jak dotąd zaoszczędził na te cele około sześćdziesięciu, ale sama rozumiesz, na rozpustę mieszkaniową nas nie stać. Od razu by się zdenerwował i nie wiem, co jeszcze, a mnie to kretyńskie sumienie zmusiłoby rozmyślać nad przemytem na TIR–ach. Co tu przemycać, narkotyki najlepsze, ale mi nie leżą, raz w życiu przemyciłam, udało mi się, emocje były niezłe, i starczy. Wódka i papierosy oklepane i co chwila łapią, a tak naprawdę wcale mi się nie chce. Dlatego tak się zaczęłam pchać do tego spadku i cholera mną trzęsie. Nie dziwisz się chyba?

Nie, nie dziwiłam się.

– Gdyby Anna Bobrek wypaliła, z Bartosza byłby przynajmniej jakiś pożytek...

– Wiesz coś o tym? – ożywiła się Baśka.

– Nie. Mgliście podejrzewam. Patykiem pisane na bieżącej wodzie, ale spróbuję sprawdzić.

– Jestem pewna, że ją włóczył po kniejach i manowcach! No dobrze, zostawię sobie malutkie nadzieje. Wielkie mogłyby się nie spełnić...

* * *

Woźniak sprężył się w sobie tak, że w dwie godziny po telefonie od potomka ofiary zorganizował elegancką konfrontację. Zdążył nawet pomyśleć racjonalnie.

Ewa Górska nie była mu już potrzebna, ale mogła przyjść w charakterze widza, zasługiwała na to, natomiast Anna Bobrek wychodziła na pierwsze miejsce, widziała kiedyś tego syna na własne oczy. Po niej Feliks, znal Bartosza w najwcześniejszej młodości. I oczywiście Marlenka, która widywała przyszywanego wuja od urodzenia, co oczywiście nie znaczyło, że zapisał się trwale w pamięci noworodka. Chociaż kto wie? Różne androny teraz wygadują, podobno płód w łonie matki słucha rozmów dorosłego otoczenia i od tego młodzież jest rozwydrzona... Czy coś w tym rodzaju. No i te dwie, Rościszewska z Joanną, też dawno znały nieboszczyka. Najlepsza byłaby pani Paszczak, ale do pani Paszczak Woźniak nie miał teraz głowy.

Miał fart, połapał wszystkich. Anna Bobrek akurat wychodziła z pracy, zasiedziała się, mogła zmienić kierunek i od razu przyjechać do komendy. Marlenka, z racji wcześnie zapadających ciemności, była już w domu i zmywała z siebie jesienne prace ogrodnicze, zgodziła się zrezygnować z obiadu i od razu wyjść. Te dwie okropne baby też, jedna w ogóle była na mieście, nawet dość blisko, a druga nie miała nic pilnego do roboty. Najgorzej było z Feliksem, który rozmawiał przez telefon jakoś dziwnie, aż wyszło na jaw, że są u niego z wizytą Paulina i Leokadia i nie pozbędzie się ich w żaden żywy sposób, bo dopiero co przyszły. Chyba że je przywiezie ze sobą, bardzo się pchają z ciekawości...

Woźniak pozwolił mu przywieźć nawet dwa żywe słonie, byleby tylko sam też przyjechał. Tym sposobem upragnione towarzystwo zgromadził, a trzech podobnych nieco do syna zwłok, niezbędnych dla uczciwej konfrontacji, znalazł u siebie bez trudu.

Pierwsza była Joanna.

– Cholera – powiedziała, wstrząśnięta, spojrzawszy przez szybę. – To jednak rzeczywiście miał tego syna.

– Uważa pani, że to syn Bartosza? – podchwycił żywo Woźniak.

– Głowę daję. Chociaż przedtem wolałabym sprawdzić, czy i z charakteru podobny.

– Wiedziała pani o nim? Dlaczego od razu pani nie powiedziała?

– Bo wcale nie wiedziałam, że wiem. Wyrwało mu się parę razy, ale nie wierzyłam, że to prawda. Podobno uciekł od niego. To znaczy, syn od Bartosza, nie Bartosz od syna. Uczciwie mówiąc, Bartoszowi przestałam wierzyć całkowicie, łgał koncertowo, zrobiłam z siebie idiotkę parę razy i znudziło mi się. Wierzę tylko w to, z czym się zetknęłam osobiście i co widziałam na własne oczy, reszta dla mnie nie istnieje.

Widać było, że zaczęła się rozpędzać i ugryzła w język.

– I dlaczego tak łgał...? – zaciekawił się Woźniak.

– Bo musiał. Sam w swoje łgarstwa wierzył najświęciej, mitomania zakamieniała. Chciał, żeby było tak jak mówi i nie mógł znieść prawdy o sobie, mówiłam panu, psychopata. Ale ten, tutaj... Skóra zdarta! – odwróciła się nagle do komisarza i popatrzyła bardzo podejrzliwie. – On żywy? Nie wykonaliście go sztucznie?

Woźniak zapewnił, że żywy.

– Czy ja bym go mogła pomacać?

– Nie widzę przeszkód. Ale to może trochę później, po konfrontacji.

– No dobrze, poczekam. Ale pomacam!

Druga pojawiła się Anna Bobrek. Też spojrzała i nie zdołała ukryć wrażenia.

– O Boże drogi... Bartosz!

Umilkła, starając się opanować wstrząs. Woźniak przypomniał sobie, że miał zadawać urzędowe pytania, chociaż jemu samemu wydało się to idiotyczne. Ale trudno, jak trzeba, to trzeba, cała ta sprawa była w ogóle idiotyczna.

– W którym z tych mężczyzn rozpoznaje pani... – chciał powiedzieć „denata”, ale uznał, że to już zbyt głupie, w końcu żaden z tych czterech niewątpliwie nie był martwy. I dokończył: – pana Bartosza?

Anna oderwała wzrok od eksponatów, popatrzyła na niego jak na półgłówka i odzyskała równowagę.

– Nie pana Bartosza, tylko jego syna. Wygląda jak ojciec, ale nawet gdyby Bartosz żył, a jego śmierć została sfingowana, teraz z pewnością wyglądałby starzej. Syn wygląda jak ojciec przed dwudziestu laty. Ten czwarty. Pierwszy z prawej.

Woźniak pozazdrościł Annie Bobrek zimnej krwi i przeklął sam siebie za kretyńskie pytanie, ale brnął dalej.

– Jest pani pewna, że to ten sam chłopiec, którego widziała pani kiedyś, dwadzieścia lat temu?

– Około dwudziestu. Może dawniej. Tak, jestem pewna.

Nadjechała Rościszewska razem z niepotrzebnym Woźniakowi Patrykiem, ale wpuścił go, bo co mu szkodziło. Rościszewska rzuciła okiem, trochę się jakby zachłysnęła i zmarszczyła brwi.

– Co to ma być? Grono przestępców? Ten ostatni z prawej... Nie wierzę, że żywy Bartosz, wyglądałby starzej, chociaż też najpiękniejszy z całej wsi. On miał syna?

– Tak pani uważa?

– Ja nic nie uważam, ale jeśli nie zrobiliście go sztucznie...

– Nie. Jest prawdziwy.

– W takim razie może to być tylko jego rodzony syn. Ewentualnie wybryk natury. Skąd pan go ma?

– Tak nam się jakoś przytrafił...

Do komendy dotarła Marlenka, Woźniak czym prędzej wyrzucił tych dwoje, bo każdego świadka sprawdzał oddzielnie, pożałował, że nie skojarzył Rościszewskiej z Joanną, ale już przepadło, i zajął się Marlenką. Popatrzyła na szybę i wyrwał jej się okrzyk.

– Ach...! Jezus Mario, wuj...! No nie, niemożliwe, ale tak, rozumiem, on naprawdę miał jakiegoś syna! To chyba ten syn?

– Wiedziałaś, że miał syna?

– No właśnie, nie byłam pewna. Ale teraz sobie przypominam, że jakieś gadanie o uszy mi się obijało, strasznie dawno, jak jeszcze żyła ta moja ciotka, która go znała, i powiedziała złośliwie, że się z tą jakąś nie ożenił, i wynikał z tego syn. Niejasno. Mętnie. Nie zwracałam uwagi i wyleciało mi z głowy kompletnie. To rzeczywiście jego syn? Podobny przeraźliwie!

– Ale nigdy go nie widziałaś?

– Gdybym go kiedykolwiek widziała, trudno by mi było zapomnieć – powiedziała Marlenka rozsądnie. – Takie podobieństwo zdarza się tylko u bliźniąt jednojajowych, ale tu bruździ różnica pokoleń. Więc tylko syn i nic innego. Ciekawe, skąd się wziął?

Woźniak doznał wyraźnej przyjemności na myśl, że później jej wszystko opowie, myśl poprawiła mu humor, teraz jednak musiał być oficjalny. Szczególnie, że pojawił się Feliks w towarzystwie dwóch dam. Odesłał Marlenkę do zużytego już grona i zajął się ostatnim świadkiem.

Niezupełnie. Najpierw sprawą zajęły się osoby towarzyszące.

Paulina i Leokadia były śmiertelnie oburzone na Feliksa, że coś się dzieje, on coś wie i nic im nie mówi. Niedopuszczalne! Zżerała je

ciekawość i teraz, kiedy działka zabierała już mniej czasu, postanowiły nie popuścić i wedrzeć się w środek zbrodniczej tajemnicy.

Leokadia pierwsza dostrzegła przedmiot zainteresowań.

– O rany – powiedziała ze zdumieniem. – A to co? Znalazł się drugi taki sam? Co to ma znaczyć?

Paulina prawie się obraziła.

– No właśnie, głupie dowcipy. Najpierw pokazują nam go na obrazku, w dodatku łysego i mówią, że nie żyje, a teraz okazuje się, że jest żywy i znów nam każą go oglądać. No owszem, to ten sam, co kiedyś u nas był, tylko młodszy. Jak oni to zrobili?

– Kuracja odmładzająca – podsunęła żywiutko i kąśliwie Leokadia. – Operacja plastyczna. Dla tajemniczych celów śledczych.

– A ja mam w nosie ich cele śledcze. Ale jak on jest żywy, niech w końcu zrobi tę oranżerię, bo ja uważam, że ona jest potrzebna.

– Rozpoznają panie... – zaczął Woźniak urzędowo i uświadomił sobie, że wcale nie te baby miał pytać, tylko Feliksa. I nie o denata mu chodziło, tylko o pewność, że znalazł jego syna. Nie miało to znaczenia, bo i tak nie pozwoliły mu dokończyć.

Leokadia go w ogóle nie słuchała.

– Myślę logicznie, chociaż przyznaję, że poczynania władz śledczych przerastają moje możliwości. Wątpię w kurację odmładzającą, to nie jest przecież wywiad ani kontrwywiad, tylko zwyczajny wydział zabójstw... To nie jest obraźliwe, mam nadzieję?... Nikt tu się nie wygłupia z takim upiększaniem, więc, o ile w naszym kompoście leżał prawdziwy pan Bartosz, ten osobnik tutaj to może być tylko jego syn. Na brata za młody. Żywy pobudza moją pamięć lepiej niż nieboszczyk na obrazku.

– Mnie nie obchodzi ich krętactwo – uparła się urażona Paulina. – Wszystko mi jedno, który z nich jest żywy, ale niech ten żywy zrobi

oranżerię i koniec!

– I za tydzień sama powiesz, że oranżeria niepotrzebna!

Wkroczył Feliks, dotychczas milczący, okropnie zakłopotany i zmieszany. Z rozpaczliwą skruchą popatrzył na Woźniaka.

– Ja bardzo przepraszam, ale czy tu chodzi o rozpoznanie syna świętej pamięci pana Bartosza? Miał syna, o tym wiem. Wiedzą także państwo Klucznik, Rycheza i Anzelm. Osobiście widziałem go raz, jako chłopca w wieku szkolnym.

– Czy rozpoznaje go pan teraz, jako dorosłego człowieka? – podchwycił szybko Woźniak, bo Paulina z Leokadią już otwierały usta.

– Tak, oczywiście. Ostatni w tym rzędzie, ma czwarty numer. Podobieństwo jest tak uderzające, że nawet wiedząc o śmierci ojca, można by go pomylić z synem. Dech zapiera.

– Czy on popełnił jakieś przestępstwo? – zainteresowała się chciwie Leokadia.

– Zabił ojca! – zgadła natychmiast Paulina z mieszaniną zachwytu i zgrozy. – Ale mnie nie przeszkadza...

Woźniak z niezwykłą dokładnością zrozumiał nagle telefoniczne kłopoty Feliksa, który za nic w świecie nie chciał przywozić tu swoich nadobnych gości. Zrozumiał także, że nie zdołał się wyłgać.

Adam Barnicki przeczekiwał to wszystko z anielską cierpliwością za weneckim lustrem, a razem z nim przeczekiwało trzech funkcjonariuszy w osobach dwóch aspirantów i jednego podkomisarza. Zważywszy pewną nietypowość konfrontacji, głos z zewnątrz mieli włączony, więc nie nudzili się zbytnio, trudno im było tylko chwilami zachować kamienną powagę. Po usunięciu reszty świadków zostali wypuszczeni z niewoli.

– I po co panu było to zamieszanie? – rzekł Adam do Woźniaka z lekkim wyrzutem. – Nie prostsze byłoby zwyczajne badanie DNA? Zrobicie je

zapewne i uzyskacie identyczny rezultat.

Woźniak nie zaprzeczył.

– Wyznam panu prawdę. To jest tak dziwaczna sprawa, że już i ja sam zaczynam zdradzać tajemnice osobom postronnym. Oczywiście, że zbadamy DNA, ale to trochę potrwa, a byłem tak ciekaw, że nie miałem siły czekać. Teraz nareszcie będziemy mogli odbyć długą pogawędkę, dla mnie bardzo cenną.

– Dla mnie chyba też.

Woźniaka nagle coś tknęło. Odwrócił się w stronę skłębionych świadków, którzy wcale nie próbowali uciekać z komendy. Najwyraźniej uważali ją za miejsce miłego spotkania towarzyskiego.

– Ewa, nie giń mi z oczu – poprosił. – Coś mi się widzi, że będziesz potrzebna lada chwila, chociaż nie tak od razu. Możesz poczekać? Masz czas?

Ewa, nie patrząc na niego, kiwnęła głową.

– Tak się składa, że mam. Zresztą, chwilowo tu jestem zajęta.

Wyglądało na to, że nie może się rozstać z Joanną. Rościszewskiej obok nie było, uczepiła się Anny Bobrek, jakby nagle postanowiła zawrzeć z nią ścisłą przyjaźń. Woźniak zdążył to zauważyć zanim skrył się z Adamem w pokoju przesłuchań. Zdążył się nawet migawkowo zaniepokoić, co też te dziewczyny knują...?

* * *

Wcale mnie nie ucieszyło to spotkanie Baśki z Anną, jak dla mnie nastąpiło za wcześnie. Anna nie była wylewna, więcej o niej wiedziałam od Bartosza, niż miałam ochotę się przyznać, teraz weryfikowałam te informacje. Połowa prawdy...? Upolował... nie, raczej wyłowił... nastolatkę, młoda była i głupia, bóstwo uratowało jej życie. I to życie spaskudził jej potem

radykalnie i chyba nieodwracalnie, taka piękna dziewczyna, szkoda. Palant głupi.

Za to miałam pod ręką Ewę Górską, która doskonale wiedziała, że od lat pozostaję w przyjaźni z jej stryjem i jeszcze mu niczym nie zaszkodziłam. No, poza dowalaniem roboty od czasu do czasu...

Musiałam teraz skorzystać z okazji.

– Ewa, czy ty możesz wyjawić mi taki sekret publiczny... Przepraszam, że ci mówię „ty”, ale poznałam cię, kiedy jeszcze chodziłaś do szkoły...

– I zaskarbiła pani sobie moją dozgonną wdzięczność – przerwała mi żywo Ewa. – Przestraszyła mnie pani także, ale wdzięczność wszystko przebija.

Zdziwiłam się.

– A cóż ja ci takiego zrobiłam?

– Pchnęła mnie pani na właściwą drogę życia. Teraz widzę, że to pod pani wpływem. Dowaliłam *Emancypantkom* kryminalne elementy i zyskałam sławę szkolną...

W skrócie opowiedziała mi, jak to było na działkach. Odrobinę zasługi uczciwie zostawiła Bartoszowi.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak mnie rozzłościł, wszystko mi w środku zabulgotało i musiałam to z siebie wypchnąć. I akurat pani książki we mnie tkwiły, samo mi przyszło i już przy tym zostałam. Gdyby nie pani, pewnie stworzyłabym łzawy romans albo inną głupotę. Co to za sekret publiczny?

Szybko nabrałam nadziei, że z wdzięczności powie mi, co wie.

– Z domu Anny Bobrek wygarnięto całe mienie po Bartoszu, składnicę makulatury. Gdzie to wszystko teraz jest? Od razu ci powiem, że mam w nosie tajne akta partyjne i wzniosłą prasę, chodzi mi o geografię. Bartosz miał mapy, atlasy, sztabówki, drogowe, rozmaite i zaznaczał tam trasy,

które sama osobiście odwalałam. Chciałabym na to popatrzeć i przypomnieć sobie, a niektóre w ogóle były moje.

– I nie odebrała mu pani od razu? – zgorszyła się Ewa.

– W nerwach się z nim rozstawałam, więc gdzie mi było do map...

– No tak, rozumiem. Podobno był tam straszny śmietnik papierowy. Ale o mapach nie słyszałam, nie wpadło mi w ucho – zastanawiała się przez chwilę. – Jeśli nie zostawili tego u niej, to ma je Andrzej, Woźniaka mam na myśli. Cały zespół czytał to badziewie, mało im oczy z głowy nie wyszły i żadna tajemnica, że niczego pożytecznego nie znaleźli. O zapiskach geograficznych mowy nie było. Woźniak pary nie puści, ale mogłaby pani zapytać stryja. Albo ja...?

Zmartwiła się wyraźnie, że nie może mi wyświadczyć przysługi.

– Nie, to już sama potrafię – uspokoiłam ją. – Nawet zamierzałam, ciebie spytałam tak zwyczajnie, przy okazji.

– Może panią Bobrek? Też ma ją pani pod ręką.

– Jej w dzieciństwie nie znałam...

Woźniak otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i wydarł mi Ewę z pazurów. Co do pani Bobrek, zawahałam się, wolałabym rozmawiać z nią w cztery oczy, a wciąż jeszcze trzymała ją Baśka. Obie wydawały się niezadowolone.

Nie, to nie były warunki do rozmowy intymnej i dyplomatycznej. Z Górskim wyjdzie prościej.

* * *

Woźniak natomiast był zadowolony wyjątkowo.

Miał pod ręką dwie osoby, z których jedna znała denata prywatnie, niejako rodzinnie, od najdawniejszych czasów, a druga prawdopodobnie

oglądała ostatnie chwile jego życia... Coś z tych osób musiało wyleźć, niemożliwe, żeby nic!

Obydwoje dużo już wiedzieli od siebie wzajemnie i nie było potrzeby rozmawiać z nimi jak sołtys z krową na miedzy. Woźniak też dużo wiedział, miał swój pogląd i kwitła w nim żywo nadzieja, że wreszcie ten pogląd zdoła potwierdzić. Rozwiązanie wciąż wydawało mu się nieprawdopodobne, ale wszystko inne było niemożliwe, trzymał się zatem zasady Sherlocka Holmesa. Panią Paszczakową obstawił szczelnie i odkładał ją sobie na koniec.

– Czy uważa pan za możliwe, że zabiła go ta odrzucona wielbicielka? – spytał Adama wprost bez żadnych podchodów.

Adam nie zdążył odpowiedzieć, ubiegła go Ewa.

– Ja bym zabiła – rzekła gniewnie. – Ale rozumiem różnicę, ja w nim nie byłam zakochana, a w dodatku widziałam go z tyłu i uważałam, że jest go za dużo.

Adam cierpliwie przeczekał i pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Wyjechałem mając osiemnaście lat, chłopak w tym wieku nie jest specjalnie uczulony na rozmaite niuanse uczuciowe, ale nawet debilowi rzucałoby się w oczy. Kobiety na niego leciały w jakimś amoku, nie wiem jak on to robił, bo nie odpłacał im wzajemnością.

– Skąd pan wie?

– Widać było. Chociażby takie wydarzenie... – stropił się trochę, popatrzył niepewnie na Woźniaka. – Nie wiem, czy jest sens o tym mówić, bo to nie ma nic do rzeczy, ale stanowi przykład, który zapamiętałem...

– Proszę, proszę – zachęcił Woźniak gorliwie. – Tu nic nie ma sensu, więc to bez różnicy.

– To była chyba jego ówczesna stała partnerka... Raz ją tylko widziałem, właśnie wtedy, a i to niedokładnie, najlepiej zapamiętałem tył jej głowy.

Wiozła nas, ojca i mnie, samochodem, chyba do Tomaszowa Mazowieckiego, nie pamiętam, po co. Prowadziła świetnie, bardzo wprawnie, spokojnie, chociaż dość ostro, i nic nie mówiła. Za to ojcu się gęba nie zamykała, bez przerwy udzielał jej instrukcji, jakby to miał być egzamin na prawo jazdy. Teraz musisz zwolnić, teraz zjedź na lewy pas, teraz możesz wyprzedzać i tak dalej. Mnie ciarki latały po plecach i zastanawiałem się, jak długo ona to wytrzyma, a ona nic. Miałem wrażenie, jakbym ją widział na wylot przez ten tył jej głowy i nawet zębów nie zaciskała. Ogólnie pusto było, letni dzień, w jakiejś chwili przed łagodnym zakrętem w prawo, krzaki go zasłaniały i jakaś chałupa, ale widać było dalszy ciąg szosy, ona zwolniła. Zeszła do dwójki, ojciec powiedział „niepotrzebnie tak zwalniasz” i w tym momencie zza krzaków wyleciała ciężarówka z przyczepą, ścinająca ten zakręt. Gdybyśmy byli dwa metry dalej, przyczepa zmiotłaby nas z szosy, nie byłoby co zbierać. Ona spokojnie wróciła do poprzedniej szybkości, a ojciec wreszcie zamknął się i przez parę kilometrów milczał, słowem się nie odezwał. Pomyślałem wtedy, że na jego miejscu ja bym jej padł do nóg i łbem tłukł w ziemię, błagając o przebaczenie za głupie gadanie, w końcu uratowała nam życie, a on nic. Za jakiś czas znów zaczął swoje.

– Zwolniła... – mruknął Woźniak. – Instynkt kierowcy.

– Nawet głupi gówniarz mógł to ocenić jako brak uczuć, nie tylko wielkich, ale jakichkolwiek – dołożył Adam gniewnie.

– I nie widział jej pan więcej?

– Nie. Ale jak ojciec nalewał benzynę, zamieniłem z nią dwa zdania. Tak od tyłu, zostałem w samochodzie. Wyrwało mi się, zapytałem jak ona to wytrzymuje. Z miejsca złapała sens pytania i powiedziała: „On jest niereformowalny. Nauczyłam się nie słyszeć”. I nawet nie odwróciła głowy.

– To mi pasuje do pani Joanny – zauważyła Ewa.

Woźniak spojrzał na nią, zerwał się z krzesła i wyskoczył na korytarz. Joanna z Rościszewską właśnie ruszały ku wyjściu, zdążył je dogonić.

– Czy to pani zwolniła przed zakrętem, który ścinała ciężarówka z przyczepą? – spytał bez żadnych wstępów.

Joanna patrzyła na niego przez chwilę, zaskoczona.

– Owszem, ja – odparła spokojnie i ożywiła się nagle. – Rzeczywiście, ten chłopak, którego wiozłam, to musiał być jego syn, ale zła byłam i nie przyjrzałam mu się porządnie. Coś takiego, wcale o tym nie pamiętałam!

– Ciekawe, czego pani jeszcze nie pamięta – warknął Woźniak i natychmiast wrócił do pokoju przesłuchań.

– Dobrze zgadłaś – rzekł do Ewy i zwrócił się do Adama. – Skąd pan wiedział, że to jego stała partnerka?

– Na logikę. Często umawiał się ze mną, albo rozstawał, pod jej domem. Wiedziałem, że tam mieszka, rozpoznałem samochód. O ile można w ogóle użyć tu słowa „często”, usiłowałem ojca unikać. Moim zdaniem to ona powinna była go zabić, jeśli już stawiać na kobietę.

– Nic z tego. Była wtedy w Danii, poza tym Ewa by ją rozpoznała na tej działce.

– Walkiria całkiem niepodobna – przyświadczyła Ewa.

– Walkiria...? – zainteresował się Adam.

Ewa i Woźniak na wyścigi opisali mu urodę damy towarzyszącej ofierze w hipotetycznym ostatnim dniu życia. Adam słuchał w zamyśleniu.

– Z nich wszystkich tylko ją jedną dobrze pamiętam. Widywałem ją ustawicznie, czarna piękność, z tym, że nie wiem, od kiedy, bo nie od razu zwróciłem uwagę. Trzymała się ojca jak rzep, czatowała na niego, ustawicznie stawała mu na drodze, snuła się pod jego domem. Traktował ją grzecznie, ale lodowato, a i grzeczność nie zawsze mu wychodziła. Widać było, że szaleje za nim, a on jej łaskawie pozwala się wielbić, czasem tylko

odpędzając. Powiedziałbym: średnio brutalnie. Zaraz. Czy ona nie miała męża?

– Miała. Bo co?

– Bo raz się natknąłem na scenę... Moment, gdzie to było? Pod którymś domem, jego, albo tej jego partnerki... Partnerki, samochód stał. Wielbicielka tam się kryła po drugiej stronie ulicy, podszedł do niej facet, średniego wzrostu, dość chudy, same mięśnie i ścięgna, tryskał siłą, ja akurat nadszedłem, blisko byłem, chyba robił jej awanturę. Usłyszałem coś w rodzaju „jazda, do domu”, a ona potulnie z nim poszła. Jakieś takie to było... małżeńskie. Nic wtedy nie myślałem, teraz precyzuję wrażenia. Czy ten mąż tam się przypadkiem nie wtrącił w rozwiązania ostateczne?

Ewa nagle poruszyła się niespokojnie, a Woźniak westchnął ciężko.

– Też na nic. Umarł własną śmiercią, na raka, trzy miesiące wcześniej, w marcu. W żaden sposób nie da się go przykleić.

– I nie pasuje – powiedziała nagle Ewa lekko zdławionym głosem.

Obaj spojrzeli na nią pytająco. Ewa zakłopotała się okropnie.

– Andrzej, ja cię bardzo przepraszam, ale chyba w końcu muszę to powiedzieć, bo mnie gryzie cholernie. Coraz bardziej. A nie mówiłam, bo wcale nie jestem tego pewna i bałam się, że wprowadzę niepotrzebne zamieszanie.

– Nie szkodzi – rzekł mężnie Woźniak. – Mów. Nawet jeśli ci się to tylko śniło.

– No nie, nie śniło mi się przecież, kiedy się przebierałam w łazience. Ani w trakcie zapisywania w kalendarzyku. A tam miałam zdanie do tych *Emancypantek* i dlatego od razu złapałam się za kalendarzyk. Tam jest wszystko, co trzeba, dokładnie tak, jak wam zeznawałam, ale oprócz tego jeszcze dwa słowa: „Dlaczego plecy?”. I te plecy tak mnie dręczą.

Woźniak przez chwilę usilnie myślał, nic mu jednak z tego nie przyszło.

– Chyba musisz powiedzieć coś więcej.

– Powiem, skoro już zaczęłam, ale strasznie mi głupio. Mnie się wydaje, że ja tam spotkałam człowieka.

– To nie jest niezwykłe zjawisko – wtrącił kojąco Adam.

– Gdzie spotkałaś człowieka? – spytał Woźniak, z wysiłkiem powstrzymując wyrzut, że przez cały czas mówiła tylko o dwóch osobach i nikim więcej.

– Przy bramie – wyznała ze skruchą Ewa. – Ale nie tak, muszę od początku. Miałam na sobie taką cienką, letnią kurteczkę nieprzemakalną, z kapturem, ale on mi się odpinał. I jak zbierałam bateryjki, deszcz mi padał na plecy, owszem, to zrozumiałe. Ale jak już prawie wychodziłam, taka wściekła, że mi się w oczach mąciło, tuż przy bramie, tam taki wysoki, gęsty jaśmin rośnie, nagle z tego jaśminu lunęło mi na plecy, jakby go ktoś potrącił i obtrząsnął, odpięty kaptur przepuścił i w domu okazało się, że całe plecy od bluzki mam kompletnie mokre. Żeby szyja przy kapturze, to jeszcze, ale całe plecy...? Już byłam mniej wściekła i spróbowałam się zastanowić, z tego jaśminu taki wodospad, ale dlaczego? Wiatru nie było. Później już o tym nie myślałam, dopiero jak się zaczęła szopka z kościotrupem... Tknęło mnie jakby. Taka wizja...

– Jaka wizja? – docisnął Woźniak po bardzo krótkiej chwili oczekiwania dalszego ciągu.

– Gdyby to było takie proste, powiedziałabym już dawno – zirytowała się Ewa. – Sama siebie nie byłam i nie jestem pewna. Skojarzenie... Jeszcze za dużo. Wspomnienie skojarzenia. Jaśmin, woda, szelest, coś przez te krzaki przelazło, przedarło się, no, nie bawół przecież! Człowiek. Osłonięty zielenią, a ja nie chciałam patrzeć, omijałam go wzrokiem, ze złości. Ale jednak gdzieś w oczach został.

– I jaki był?

– Rozmazany. Coraz częściej coś mi nim czkało i dobrze, niech będzie, przyznam się. Poszłam tam.

– Kiedy?

– Teraz, ostatnio. Inna pora roku, ale nie szkodzi, przeszłam dokładnie tak, jak wtedy wychodziłam. I ten obraz się utrwalił, ciągle jest taki sam, w dodatku coś tu się zbiegło i chyba rozumiem, co. Wściekłość. On też był wściekły, tak jak i ja, te dwie wściekłości się zderzyły tak jakby były materialne, wiem, że to głupie, ale co ja poradzę... Silne wrażenie zostało, no i chyba sylwetka w zaroślach. Tylko mi tu przypadkiem nie wymagaj rysopisu!

– Ale odróżniłabyś bawołu od, na przykład, wielkiego pająka?

– Bawół jest bardziej skupiony w sobie, a pająk miewa długie odnóża. No tak, tyle mogę. Ale ciągle to będzie wrażenie – zastrzegła się Ewa gwałtownie.

– W porządku, dawaj wrażenie.

– Wzrost średni. Może ciut więcej. Na logikę ciut więcej, bo ten jaśmin cały się wstrząsnął, od góry na mnie chlusnęło. Gruby...? Nie. Raczej jakby dobrze upasiony. Taki... nabity w sobie, właśnie jak bawół. Ubrany w coś ciemnego, w żadnym razie nie goły! Więcej nie wiem, wyszłam, on polazł w głąb działek. Koloru nie było, więc nie jaskrawo rudy. Więcej nie wiem. Uff! Żyły z siebie wyprułam. To naprawdę zmaza, a nie widok, ale od lat mnie dręczy!

Woźniak zaczął się kiwać na krześle. Na szczęście ściana za nim była blisko.

– Ale ta twoja zmaza nie pozwala wykluczyć człowieka...

– Mówiłam, że spowoduję zamieszanie, i tego się bałam!

Na chwilę zapanowało milczenie. Woźniak unieruchomił krzesło.

– No to wam powiem. Ale zaraz – zwrócił się do Adama. – Czy, widując tę wielbicielkę pańskiego ojca, nie zauważył pan koło niej czasem adoratora? Gościa, który by się przy niej plątał, często spotykał? Skoro ona tak natrętnie pchała się w oczy, może i amant się pojawiał?

Adam, słuchający przez cały czas spokojnie i w milczeniu, zmarszczył teraz brwi i zastanowił się głęboko. Wyraźnie było widać, jak grzebie w pamięci. Zawahał się.

– Czy ja wiem... Nie zwracałem uwagi... Ona raczej unikała towarzystwa. Z całą pewnością kilkakrotnie ktoś znajomy ją zaczepiał... Widać, że to znajomy, a nie obcy podrywacz. Tak ze dwa razy zauważyłem, że niecierpliwie starała się odczepić od natręta i nawet czułem wtedy złośliwą satysfakcję. Możliwe, że raz widziałem kobietę... Ale to są wspomnienia bardzo mętne, nikogo nie potrafiłbym opisać. Ogólnie jednak tak, takie sytuacje się zdarzały, a dla chłopaka w moim wieku były znacznie ciekawsze, niż jakieś objawy uczuć.

Woźniak kiwnął głową i podjął decyzję ostatecznie.

– Powiem wam, chociaż takich rzeczy świadkom się nie mówi. Ona, ta Walkiria, ma upartego wielbiciela od lat. Pęta się koło niej wytrwale, szczególnie że sam został za placu boju, jej mąż nie żyje, a upragniony kochaś... przepraszam, to określenie przyjaciółki... porzucił ją i uciekł. Wygląda na to, że grono znajomych o jego śmierci nie wie, znikł z oczu i tyle.

– Czy w końcu dorwałeś już tę czarną kolubrynę? – zniecierpliwiła się Ewa. – Przesłuchiwałeś ją?

– Jeszcze nie. Mam ją pod ręką i chcę złapać w domu, popatrzeć, co tam znajdę, na razie bez nakazu przeszukania. Tego wielbiciela też mam, nazywa się Walerian Stułbia, on również z rodu byłych władców, obecnie człowiek interesu. Zbieram wiedzę o nim...

– Ciekawe, czy pamięta, co robił szóstego czerwca właściwego roku – mruknęła Ewa kąśliwie. – Bo widzi mi się nieźle. Pasuje.

– Mnie też pasuje – wtrącił się Adam z wyjątkową energią. – Mówiłem już, wątpię, żeby ojca zabiła kobieta, one go uwielbiały w jakimś amoku. Przydałby się podejrzany facet.

Woźniakowi przypomniało się wszystko razem, Marlenka mówiła, że wujek był dla adoratorek okrutny, wręcz sadysta, a te dwie beztroskie zołzy twierdziły, że gdyby Bartosza kropnął facet, leżałyby tam dwa trupy, Walkiria kropnęłaby zabójcę. Jedno nie zgadzało się z drugim. Ale może, skoro ona też z kliki partyjnej, a ten Stułbia był ważny, ręka jej omdlała...

Świadków więcej nie ma. Materiałów dowodowych nie ma. Jak, do cholery, on ma rozwikłać tę zbrodnię sprzed dziesięciu lat? Co, znów śledztwo umorzone? Znów kompromitacja? A kicha! Może być z grochem, a nawet z fasolką!

– Nie znam baby, ale wahałbym się ją posądzać – dodał jeszcze Adam.

– Zaraz – odezwała się Ewa, marszcząc brwi. – Nie było mnie przy żadnych przeszukaniach, więc nie wiem, ale on podobno leżał w tym grobie... chciałam powiedzieć w inspekcie, goły. Goły nie latał po mieście. Czy tam zostały jakieś jego rzeczy?

– Ubranie masz na myśli?

– Cokolwiek. Klucze, portfel, dokumenty... Buty? Zegarek?

– Sprawa dotarła do nas po pięciu latach, przez ten czas wszystko mogło zginąć. Chociaż... Nie ma tak, żeby wszystko ginęło, chyba że w czasie pożaru albo generalnego remontu, więc tu masz rację, coś powinno być, chociażby w postaci szmaty...

– Pasek od spodni! Pies by pogryzł, ale tam nie było psa!

– Szczeniak by pogryzł, ale szczeniaka też nie było. Otóż nic. Nic po denacie nie zostało. Najmniejszego śladu nie było i nie ma, zresztą wszyscy

zgodnie zeznali, że od początku do końca niczego obcego nie znaleźli. Jakby go tam w ogóle nigdy nie było.

– Mogę...? – zapytał grzecznie Adam.

– A proszę, proszę.

– Z tego, co do tej pory usłyszałem, tak to widzę. Możliwe, że były tam trzy osoby, jedną zakopano w inspekcie, dwie pozostały żywe. Nikt ich nie widział. Starannie pozbierały wszystkie rzeczy ojca, ta kochająca Walkiria z pewnością doskonale wiedziała, co należy do niego, szczególnie, że nie zakorzenił się tam na stałe, tylko bywał czasami. I wszystko zabrano, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Bagnet, stawiałbym na bagnet, znam ten bagnet, oczko w głowie, z pewnością wziął go ze sobą, wychodząc z domu. Do takich robót leśno–ogrodowych zawsze brał. I młoteczek. Taki mały. Nietypowy.

– Jaki dokładnie? – zaciekawił się Woźniak.

– Całość miała długości siedemnaście i pół centymetra, sam go sobie zrobił, trzonek z akacjowego drewna, a ta część metalowa spełniała dwie funkcje. Z jednej strony do wbijania gwoździ, z drugiej do wyjmowania, jakby widelec o dwóch ząbkach, lekko wygięty. Jeśli nigdzie go nie znaleziono, w domu, wśród narzędzi na przykład, to też go miał ze sobą. I też został pieczołowicie usunięty. I nie ma znaczenia, jedna osoba tam została, czy dwie, posprzątała pedantycznie.

Woźniak był dokładnie takiego samego zdania. Od początku te rzeczy denata, których tak całkowicie brakowało, stanowiły jego jedyną nadzieję. Już w pierwszej fazie śledztwa bardzo grzecznie i dyplomatycznie przeprowadził przeszukanie w domach wszystkich podejrzanych użytkowników działki. Nie były to królewskie apartamenty, a podejrzani udostępnili swoje lokale z rzadką gorliwością, nie interesując się wcale urzędowymi nakazami.

Przyczyny ujawniły się rychło i okazały się zadziwiająco podobne do siebie.

– No, to teraz może znajdą te moje nożyczki, które mi gdzieś wtryniłeś – wytknęła Bronka Teodorkowi.

– Nie twoje nożyczki, tylko mój rybi łeb! – oburzył się Teodorek. – Wcale go w zupie nie ugotowałaś, sprawdzałem!

– A było coś takiego, było – zapewniła zmartwiona Jadzia. – Ale to odwrotnie, znaczy Jasio miał stary kozik ogrodniczy, taki składany, jeszcze po dziadku, wyszczerbiony trochę i podrapany, ale bardzo dobry, i ten pan co był, i co go nie ma, obiecał, że mu wyremontuje. Wziął ze sobą i przepadło. Taki czerwony w małe kółeczka. Żelazne chyba.

U Cecylii znalazł się szeroki, skórzany pas do spodni, z niezbyt ozdobną, ale solidną, żelazną klamrą. Wisiał na ścianie w eksponowanym miejscu i lśnił idealnie gładką, ciemną płaszczyzną. Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo stary, acz w doskonałym stanie. Pasy do spodni jednakże wchodziły w zakres poszukiwań Woźniaka, antyk obudził zatem jego zainteresowanie.

– To po dziadku – wyjaśniła Cecylia z rzewnym westchnieniem. – A nawet po pradziadku, ale dziadek go miał. Zaczepiał ten pas o klamkę i ostrzył na nim brzytwę, bo tylko brzytwą się golił. Ja byłam małą dziewczynką i oczu od tego nie mogłam oderwać, ile razy przyjeżdżałam do babci, specjalnie wstawałam wcześniej niż trzeba, żeby nie przeoczyć dziadka i wpatrywałam się w niego, w ten pas i w brzytwę, chyba w ogóle bez mrugania. I dziadek obiecał, że ten pas po nim w spadku dostanę, i rzeczywiście dostałam. Jedyny spadek...

U Pauliny i Leokadii, w obu ich mieszkaniach, zaistniało to samo zjawisko, co u Bronki i Teodorka. Każda wnikliwie patrzyła poszukującym na ręce i każda w jakimś momencie wydała pełen ulgi i zachwytu okrzyk: – No, nareszcie! Taką miałam nadzieję, że ktoś wreszcie to znajdzie!

Jednym z upragnionych przedmiotów okazało się pudełeczko z trzema parami sztucznych rzęs, drugim zaś tłuczek do moździerza. Żadne ze znalezisk nie pasowało do ofiary.

Z tego wszystkiego Woźniakowi nic nie przyszło. Skrzynka z narzędziami nieboszczyka Bartosza, wyniesiona od Anny Bobrek, nie zawierała żadnego z opisywanych przedmiotów. Kozik ogrodniczy w razie odnalezienia będzie można Jasiowi zwrócić... No, niezupełnie Jasiowi, raczej jego siostrze, wciąż cieszącej się życiem. Woźniak postanowił, że osobiście zwróci jej po sprawie. Jeśli znajdzie. W żelazne kółka...

Utratą części nadziei nie przejął się zbytnio, i tak bowiem w winę przeszukanych świadków nie wierzył. Wierzył natomiast głęboko, że u prawdziwego sprawcy coś się musi znaleźć. Nie ma tak, żeby nic! Coś się musi znaleźć i koniec!

Świadoma zamieszania, wprowadzonego osobą spasionego osobnika w jaśminie, skruszona i trochę nieswoja Ewa kompletnie zapomniała, że miała się upomnieć u Woźniaka o mapy drogowe dla pani Joanny. A nawet gdyby pamiętała, też byłoby jej głupio...

* * *

– I co? – spytałam Baśkę, wychodząc z komendy.

– I gówno – odparła gniewnie. – Ona mnie nie lubi, chociaż jej wyjaśniłam bardzo grzecznie i uczciwie, że się z nim nie gziłam nijak. Ani on na mnie nie leciał, ani ja na niego.

– Nie uwierzyła ci. Ale nie martw się, mnie nie lubi jeszcze bardziej.

– A ty wiesz, gdzie ja mam jej upodobania? A co do świętych pamiątek, to wszystko zabrali i o żadnej geografii ona nic nie wie. Ale tak między nami mówiąc, to na cholerę nam te mapy?

Pstryknęłam pilotem, wsiadłyśmy do mojego samochodu, bo Patryk już wcześniej został zwolniony z obowiązków urzędowych. Wciąż jeszcze nie chciałam wtajemniczać Baśki w niepewne nadzieje, a coraz silniej korciło mnie gadanie Bartosza i wybór tych różnych dziwnych miejsc, które wymyślał jako cele podróży. Lubił wiedzieć więcej, niż się po nim można było spodziewać.

– To nie nam, to mnie – wyjaśniłam. – Wiatrołom po mnie chodzi, zapomniałam gdzie był, a specjalnie zaznaczyłam miejsce, żeby tam nigdy w życiu więcej nie jechać i chcę sobie przypomnieć, gdzie to leżało. Ten pień. Ciekawa jestem, czy jeszcze leży.

– I pojedziesz?

– Nie wiem na razie. Przyroda się zmienia. Ale Annę sobie odpuszczę, wolę Górskiego.

– Rozumiem, że jemu jest wszystko jedno, z kim sypiałaś, a z kim nie?

– Całkowicie. O ile oczywiście nie był to sprawca zbrodni.

Podwiozłam ją do domu i od razu zadzwoniłam do Górskiego.

Nacisk położyłam na tę część drogowych pamiątek, która należała do mnie, z wielką starannością nie precyzując, ile ich było. Możliwe, że trzy, ale jeden stary atlas z pewnością. Bez żadnego oporu Górski obiecał wydrzeć komisarzowi niepotrzebne mu śmieci, bo miejsce zbrodni żadnych wątpliwości wszak nie budziło, tyle że też chciał pooglądać. Nie miałam nic przeciwko temu, Baśkę mogłam pominąć bez żadnego trudu, opowieści o zwiedzanych matecznikach miały szansę przebić Szeherezadę, a i tak liczyłam na to, że uda mi się zabrać ten nabój do domu i spokojnie obejrzeć. Z lupą w ręku.

Umówiliśmy się, że zadzwoni, jak tylko geografia znajdzie się w jego gabinecie. Bez wątpienia miał w tym jakąś swoją myśl, ale co mu miałam żałować...

* * *

Tym razem Woźniak nie wygłupiał się z żadnymi konfrontacjami, Adam Barnicki obejrzał sobie panią Helusię Paszczak najpierw na portretach pamięciowych, a potem w naturze.

– Powiem panu możliwie ściśle – rzekł, oglądając portrety. – Gdybym ją spotkał znienacka na ulicy, czy gdziekolwiek, i co najmniej spojrzał, pomyślałbym, że chyba skądś znam tę twarz. Gdybym ją zobaczył w całości, bardziej zamajaczyłoby mi coś znajomego i może nawet postarałbym się przypomnieć sobie, skąd znam facetkę i kim ona jest. Ale bez wielkich starań i bez żadnych emocji. Możliwe, że przypomniałbym sobie w jakiejś chwili na podstawie drobnego skojarzenia, miejsca, gestu, czegokolwiek. Na zasadzie „a, to ta Horpyna mojego ojca!”. I już nie miałbym wątpliwości. Z tym, że nic by mnie to nie obeszło.

– To znaczy, że teraz nie ma pan wątpliwości?

– Prawie wcale. Musi być „prawie”, bo człowiek jest omylny.

Od początku Woźniak Adamowi wierzył. Coś w nim było takiego, co wiało ku niemu tajemniczym fluidem prawdy. Mógł się mylić, oczywiście, ale nie łgał z pewnością.

– No to obejrzymy sobie damę w naturze.

Przed domem pilnowanych Stasińskich paliła się wyjątkowo jasna latarnia, wejście do budynku również było rozrzutnie oświetlone. Woźniak zdążył już uzyskać informację, iż nieobecni państwo Stasińscy kategorycznie domagają się tych blasków i zabraniają je przygaszać, bo w ten sposób, ich zdaniem, rozmaici złodzieje i włamywacze nigdy nie mogą być pewni, czy w domu ktoś jest, czy nie ma nikogo. Zainstalowali wszystko na własny koszt i twardo za to płacili. Akurat nie było nikogo,

pani Paszczakowa bowiem oddaliła się, pojechała do siebie i lada chwila powinna wrócić.

Komunikaty uzyskiwał na bieżąco i tym ostatnim podzielił się z Adamem.

– Poczekamy trochę. Ona zawsze autobusem jeździ i ten kawałek będzie musiała przejść, a latarnia, sam pan widzi, jak jupiter filmowy.

Nie czekali nawet zbyt długo, autobus nadjechał, zatrzymał się na przystanku, zza niego wyszła jedna osoba i ruszyła ku skupisku świateł. Ubrana była w dżinsy, półbuty na średnim obcasie, kurteczkę, głowę miała omotaną czarnym szalem, szła spokojnym krokiem i po drodze zdejmowała z siebie ów szal i duże, ciemne okulary. Dotarła do furtki przy bramie, otworzyła ją kluczem, weszła i zamykając furtkę, odwróciła się twarzą w stronę potężnego blasku latarni. Przyglądali się jej w milczeniu.

– Nie chciałem być brutalnie szczery i nic nie mówiłem – odezwał się wreszcie Adam. – Ale zawsze byłem zdania, że to kompletna idiotka. Teraz się upewniłem. Pan ją chyba zdążył poznać i ocenić, ona ma porąbane pod sufitem?

Woźniak westchnął.

– Chyba ma. Zawsze tak robi. Ukrywa twarz w ciemnościach, a odsłania ją w pełnym świetle, Bóg raczy wiedzieć, co może mieć na myśli.

– Jeśli w ogóle jest skażona jakąkolwiek myślą...

– Sam w to wątpię. No i jak? Ona?

– W stu procentach. Siostry–bliźniaczki nie posiada?

– Nie. Żadnej siostry. Tylko dwóch braci, obaj zostali na wsi i gdzieś tam gospodarują. Żadnych kontaktów od lat.

– No to ona. Nawet się mało zmieniła. Co teraz?

Woźniak wiedział, co teraz i wcale mu się to nie podobało. Pani Paszczakowa, wkraczając w progi domostwa Stasińskich, niosła dużą torbę.

Bardzo dużą. Reklamówkę. Co też tam takiego mogła mieć?

A kto wie, czy nie ukochane pamiątki? Mieszkanie pięknej Walkirii mógł spenetrować dyplomatycznie i podstępnie, w pełni czuł się na siłach, ale na tych cholernych Stasińskich musiał mieć nakaz prokuratorski. Obcy ludzie, o nic kompletnie nie podejrzewani, nikt mu na nich nakazu nie da, musiałby najpierw przygwoździć panią Paszczak. A tymczasem zamierzał przez panią Paszczak przygwoździć najpierw Waleriana Stułbię. Wlazł tam jako bawół czy pająk, obojętne, Ewa Górska zwidów nie miewała, wykosił Bartosza, Paszczakową jakimś sposobem skłonił do milczenia... A może jeszcze śmieszniej, Bartosz dla wielbicielki sympatyczny nie był, przegonił ją, uciekła w końcu z płaczem, za to niespodziewanie pojawił się Stułbia, też rozwścieczony, odrąbał rywalowi łeb i odrzucona adoratorka, nic o tym nie wiedząc, do dziś dnia żyje w mniemaniu, iż amant odszedł w siną dal, zbrzydzony niechcianymi uczuciami.

Rzecz jasna, nie w tej chwili przyszło mu to wszystko do głowy, już od donosu Idalii Krasnej rozpatrywał sprawę alternatywnie, na dwoje babka wróżyła, wszystkie opinie o zakochanych babach brzmiały jednoznacznie, mógł ten cały Walerian wtrącić swoje trzy grosze. Jedno tylko nie pasowało. Czy uprzątnąłby tak starannie wszystkie szczątki ofiary? Zakochany nie był, to pewne, ponadto wątpliwe jest, czy wiedział, co należało do wroga, a co do innych użytkowników działki, przeoczyłby coś z pewnością. No, zabrałby ubranie, buty, dokumenty, ale jakieś drobiazgi...? Chyba że szlochająca pani Paszczak zaraz nazajutrz znów tam poleciała i pieczołowicie wygarnęła resztki po utraconym amancie.

To wszystko zdążył sobie przemyśleć już wcześniej, ale ci okropni Stasińscy objawili mu się dopiero teraz, w tej chwili. Musiał ruszyć sprawę natychmiast i niestety, zacząć od Waleriana.

Rzecz oczywista w żadną z tych komplikacji nie zamierzał wtajemniczać Adama.

– Nic – rzekł stanowczo. – Teraz podrzucę pana, gdzie pan chce i jest pan wolny jak ptaszek. A ja się zajmę ciężką pracą.

– Wyrazy współczucia – powiedział szczerze Adam i rozstali się w przyjaźni.

* * *

Ślepy fart sprawił, że Woźniak nigdy źle nie pomyślał o wesołej nocy, jaka właśnie na niego czekała. O czym, jak łatwo zgadnąć, nie miał wcześniej najmniejszego pojęcia.

Jadąc na spotkanie z panem prezesem Stułbią, znów zastanawiał się, jak, na litość boską, można było kiedyś prowadzić śledztwo bez zwyczajnych telefonów komórkowych. Przecież w braku informacji bieżących, szukałby tego cholernego polipa co najmniej do następnego dnia, a może i dłużej, bo pan prezes planował właśnie o poranku wyjazd do Gdańska. Przeszkodziła mu tajemnicza siła wyższa.

Podjechawszy tam, gdzie mu wskazano, w zakamarkach na zapleczu knajpy pani Krasnej Woźniak ujrzał scenę, jakiej w najśmielszych marzeniach się nie spodziewał. Pana Stułbię na chwiejnych nogach w czułych objęciach trzymało dwóch współpracowników komisarza, pan Stułbia zaś, wręcz tuląc się do nich, resztkami sił i chrypliwym głosem protestował przeciwko wezwaniu pogotowia, a także policji. Świadom rychłego przybycia szefa, aspirant Kazio Wolski nalegał na pomoc medyczną łagodnie i bez przekonania, policję pomijając dyplomatycznym milczeniem.

Woźniak również przy pogotowiu się nie upierał. Pan Stułbia chciał do domu, proszę bardzo, można było spełnić jego życzenie. Samochód

zaparkował w pobliżu, z miejsca za kierownicą zrezygnował z łatwością, powiózł go Woźniak. Trochę im się namnożyło tych samochodów pod knajpą, ale najbliższy radiowóz, nie pchając się na oczy, rozwiązał sprawę jednym wypożyczonym funkcjonariuszem. Korzystając z sytuacji, Woźniak od razu zaczął zadawać pytania pełne współczucia. Z miernym sukcesem.

Pan Stułbia, pojękując, najpierw wyjaśnił, że doktora to on ma obok, na tym samym piętrze, po drugiej stronie klatki schodowej, i nie potrzebuje innego. Z wysiłkiem wygrzebał z kieszeni komórkę i zadzwonił.

– Panie Mieciu – wycharczał. – Pan tam do mnie zajdzie, ja zaraz będę, już dojeżdżam. Poszkodowany jestem, bardzo proszę... Co...? A, nic takiego, po ryju dostałem... Co...? A... no... tak poddusiła mnie trochę, kurwa jedna... Znaczy, skurwiel jeden...

Woźniak nie tylko słuchał, ale także nagrywał. Zareagował błyskawicznie, ofiarę powiózł dalej aspirant Wolski, jego szef zaś przesiadł się do własnego pojazdu i zawrócił z poślizgiem. Gwałtowna zmiana płci napastnika zainteresowała go ogromnie.

Kazio Wolski, wetknąwszy sobie słuchaweczkę do ucha, wysłuchał po drodze ścisłych instrukcji. Ma, mianowicie, wieźć poszkodowanego niczym śmierdzące jajko, powolutku, ostrożnie, omijając dziury w jezdni, bez wstrząsów. To ostatnie ze zrozumiałych względów zlekceważył, ale od razu bardzo zwolnił. Następnie ma się nim troskliwie opiekować, oka od niego nie oderwać, ani na chwilę nie zostawiać samego! Lekarza zanudzać na śmierć troskami i zmartwieniem, o szczegóły pielęgnacji pytać, herbatkę własną ręką przyrządzać i w ogóle robić, co chce, ale doczekać przyjazdu Woźniaka. Broń Boże nie przedstawiać się *pleno titulo*, najwyżej imię chrzestne może mu się wypsnąć i nic więcej!

Kazio Wolski wszystko zrozumiał właściwie i rozkazy spodobały mu się wyjątkowo.

Woźniak dotarł do knajpy „A Kuku” znacznie szybciej, niż się od niej oddalił. Z samochodu wręcz wyprysnął, ale do wnętrza lokalu wszedł już godnym i spokojnym krokiem.

Wszystko wyglądało normalnie, goście dopisali jak powinni, tyle że barman pełnił dodatkowo obowiązki kelnera, co mu szło średnio sprawnie. Za barem pani Idalii nie było, Woźniak spytał zatem o nią kelnerkę, pełniącą dodatkowo obowiązki barmanki, i dowiedział się, że szefowa zaniemogła, jakoś tak nagle, ze dwie godziny temu, a może i trzy, okropnie zaczęła ją głowa boleć, więc położyła się na chwilę u siebie na zapleczu. I tak tam sobie zadrzemuje, a kelnerka co i raz to lata i sprawdza, czy jej czego nie potrzeba. Dlatego barman obsługuje gości, szefowa dla siebie woli pomoc żeńską.

Tak wyczerpującej i gorliwej odpowiedzi na malutkie i niewinne pytanko Woźniak jeszcze nigdy w życiu nie otrzymał i jego podejrzenia zmieniły charakter. Przeistoczyły się w pewność.

Okrzyki „po moim trupie!”, rzucanie się na zadeptaną lekko podłogę u progu drzwi i szarpanie na sobie koszuli nie wchodziły w rachubę, zwykłymi protestami nie dał się zniechęcić i zwizytował damę złożoną niemocą. Dama wprawdzie machała ręką, czyniąc gesty odpędzające, ale wielkiego ognia w nich nie było.

Niemoc objawiała się dwojako. Pani Idalia odziana była w obszerną, szlafrokową szatę w bardzo kolorowe pawie ogony, której kołnierz otulał jej szyję, strój zdecydowanie nieoficjalny, to jedno. A drugie, nie leżała na niczym wijąc się w boleściach, tylko siedziała przy długim kuchennym stole na samym jego końcu, a przed sobą miała oryginalny zestaw spożywczy. Napoczętego śledzia w oliwie z cebulką i flachę koniaku, uczciwego Hennessy. Woźniak pomyślał, że stanowczo wolałby te produkty konsumować oddzielnie.

Pani Idalia długo milczała, godnie przyjmując wyrazy współczucia i nie odpowiadając na żadne pytania. Złamała się znienacka.

– Skurwysyn – rzekła gniewnie. – Popapraniec niedorobiony.

– Któż taki? – zdziwił się Woźniak, chociaż odpowiedź świetnie znał.

– A, co tam – odparła z goryczą dama, znów po krótkiej chwili milczenia i szerokim rękawem, na którym wypadał akurat koniec pawiego ogona, zmiotła ze stołu pękaty kieliszek, na szczęście pusty. – Jadźka, ślepa jesteś? Naczynie mi się stłukło! Ten zbuk niedojony, Waluś pogięty, popieprzeniec, na umyśle trącony! Udusić mnie chciał skurwiel, o...!

Odchyliła kawałek kołnierza, omal nie zrzucając drugiego kieliszka, który podstawiała jej właśnie pomoc kuchenna. Pomoc kuchenna okazała przytomność umysłu, przytrzymując naczynie, które pani Idalia natychmiast napełniła sobie od serca.

Kołnierz wrócił na miejsce, ale Woźniak zdążył zobaczyć wielkie, czerwone ślady na odsłoniętej szyi. Wcześniej już dostrzegł lekką asymetrię oblicza po jednej stronie nosa i pod okiem, ale zaczynającej sinieć purpury nie komentował. Teraz już mógł, szczególnie, że zawartość butelki, zaledwie jedna trzecia, mówiła sama za siebie. Z pewnością szefowej lokalu nie zaserwowano napoczętej.

– A skąd taka jego nagła niechęć do pani?

Pani Idalia burzy musiała dać ujście.

– Że to ja gębę rozpuszczam, zaplecza mu się zachciało, nikt go nie widział, akurat, już się rozeszło, Helusi przydupasa ktoś w kalendarz puścił, a mnie on ten pysk zamknie, menda parszywa, co on sobie... – potok się nagle zatrzymał, zapewne skuty lodem. – A ja tu pół dnia leżę, głowa mnie boli, na krok się nie ruszam. Pan inspektor kieliszeczka może...? Za zdrówko nieboszczyka! Uszanować trzeba.

Zdrówka nieboszczyka znienacka awansowany komisarz nie uszanował, postarał się za to rozwinąć streszczoną nieco nadmiernie myśl pani Krasnej. Kosztowało go to dwadzieścia minut. Hennessy bardzo pomagał, ale w ostatniej fazie zaczął szkodzić, porzucił zatem cierpiącą damę i podążył do drugiej ofiary, narażając się ciężko wszystkim fotoradarom, napotkanym po drodze.

Kazio Wolski spełnił swoje zadanie wzorowo. Doktora z jego rąk uwolnił dopiero Woźniak, przybywszy na miejsce, bo zdenerwowany internista stanowczo domagał się badań dodatkowych, rentgena, tomografii, laryngologa, stomatologa, oraz bezwzględnie powiadomienia policji.

– Trzymany za gardło i bardzo silnie potrząsany, po uderzeniu w głowę i przy wywichniętej szczęce – mówił z irytacją. – Szczękę ustawiłem, ale odpowiedzialności nie biorę. Muszę powiadomić właściwe władze, to napad!

Ukojenia doznał dopiero na klatce schodowej, gdzie obejrzał sobie legitymacje służbowe rozmówców i zrozumiał, że ma siedzieć cicho, bo policja jest powiadomiona w pełnym zakresie i resztę sama załatwi. Rzecz oczywista, każdy z panów przedstawiał mu się oddzielnie, prezes Stułbia bowiem nie mógł zostać bez towarzystwa.

– No to, między nami mówiąc, tak prywatnie, nic mu nie będzie – rzekł z ulgą i poszedł do siebie.

– Ma praktykę prywatną z wszelkimi uprawnieniami, internista, ale z drugim stopniem specjalizacji, chirurgia urazowa – zdążył poinformować Wolski na stronie, w obszernym przedpokoju. – Te badania mu potrzebne jak piąte koło u wozu. Asekurant.

– Nie szkodzi.

Do przesłuchiwania delikwenta, którego los mu zesłał w przypływie zdumiewającej łaskawości, Woźniak przystąpił w pląsach i z dreszczem

szczęścia w sercu. Pani Krasna, pierwsze źródło wiedzy, w dodatku pijane źródło, wydała mu się kobietą czarującą.

Wersja, którą przekazał pan prezes komisarzowi, różniła się nieco od tej, jaką usłyszał Wolski w samochodzie, na co wpływ miała zapewne obecność małżonki pana prezesa. Wedle tej pierwszej, dziarski buhaj poszukiwał panienki, cud urody, która gdzieś tam podobno mieszkała i ogólnie była oporna, a w dodatku za trzy tygodnie miała wyjechać, bo w Polsce przebywała turystycznie. Adres mętnie wyszeptała mu na ucho kelnerka w „A Kuku”. Byle kogo panienka nie przyjmowała, ale pana prezesa przyjmie na pewno, a imię miała egzotyczne, Inez. Już samo imię wystarczało, żeby zapłonąć.

Ciemno tam było jak w zadzie u Murzyna... żadnych rasizmów, kolor człowiekowi dała natura... jakieś komórki, śmietniki, chyba zbłądził, kroki za sobą usłyszał, odwrócił się i dostał w mordę bez dania racji. Wielki byk z wściekłym pyskiem, pan prezes przystąpił do akcji obronnej, podusili się wzajemnie, po czym łupnięcie w głowę dało przewagę przeciwnikowi. Przecknął się, jak już panowie zaczynali go ratować...

Pani prezesowa nie robiła wrażenia istoty łagodnej i wyrozumiałej, temperament ogniem w niej błyskał, co chwilę donosiła driakwie i przysiadała na skraju kanapy, egzotyczna Inez przeistoczyła się zatem w szewca, który od lat dbał o buty pana prezesa, a ostatnio przeniósł się gdzie indziej i znikł z oczu. Pan prezes miał nowy adres, ale gdzieś go zgubił, a zależało mu, bo też już szewców właściwie nie ma, i co robić z nowymi butami, którym się fleczki zdarły? Albo obcas dla żony...

Ciąg dalszy się zgadzał, wielki byk z wściekłą mordą okazał się elementem trwałym.

Ten byk prezesa zgubił.

– Ciemno, nie ciemno, ale coś pan widział – wytknął Woźniak. – Sam pan mówi, że zęby wyszczerzał i czarne kłaki mu z nosa wyrastały. Musi pan jechać z nami i obejrzeć zdjęcia z naszej kartoteki, a jakby co, zrobimy portret pamięciowy.

Wówczas dopiero wyszło na jaw, iż zespół ratowniczy jest policją i panem prezesem nieco wstrząsnęło, aczkolwiek dał sobie wmówić, że wcześniej prezentacji dokonano, a on jej nie dosłyszał. Od razu zrobił się strasznie chory i mowy nie było, żeby gdzieś jechał, odmawiał z energią najzdrowszego sportowca świata aż do chwili, kiedy aspirant Wolski słodkim głosem poprosił panią prezesową o szklaneczkę wody.

Woźniak natychmiast skorzystał z sytuacji.

– Chce pan, żebyśmy panu te wszystkie pytania zadawali przy żonie? Ona pewnie chętnie posłucha...

– Jakie... jakie pytania?

– O panią Idalię Krasną z „A Kuku”? O panią Helenę Paszczak? O pańskiego rywala do jej względów, pana Bartosza...?

– Cicho! – syknął dziko prezes Stułbia, bo małżonka ze szklaneczką wody już wracała, a uszy biegły przed nią.

– No tak... możliwe... A do jutra... no, to niby już dziś... nie może poczekać?

– Nie może. Ten bandzior z kłakami w nosie bardzo nas interesuje, poszukujemy go, znów nam ucieknie. Nasz wóz tu czeka na dole, on duży i wygodny, zapraszamy.

W obliczu młota i kowadła, temperamentnej i błyskającej podejrzliwym okiem małżonki i zbyt dobrze poinformowanej policji, prezes wybrał to drugie. Pani prezesowa zaprotestowała wprawdzie, zatroskana zdrowiem męża, ale przegłosowała ją solidarna płeć męska.

Postękujący, wściekły i nieszczęśliwy prezes został przewieziony do komendy, gdzie widok bandziorów z kłakami został mu zaoszczędzony. Z pewnością jednak wolałby nawet najbardziej włochatych troglodytów, niż pytania, które padły.

Zaczęło się od Bartosza.

– Ale co to zna, jakie zna! – zirytował się pan Stułbia. – Przecież ja wiem, że ten łachmyta dawno nie żyje, jak ja mam go znać? Z tamtego świata rączką do mnie macha na dzień dobry?!

– Skąd pan wie, że nie żyje?

– No jak to skąd, od Idalki. Ona wszystko wie, wszędzie ma znajomości... Znaczy, no, z plotek, ludzie gadają...

Najwyraźniej pan prezes sam się podkładał wszelkimi siłami. Czające się w pieleszach domowych widmo żony musiało mieć na to swój wpływ.

– I kiedy pani Krasna panu o tym powiedziała?

– Dopiero co... Znaczy nie tak dawno. O, czy ja pamiętam, kiedy kto jakie głupoty pieprzy...

– A przypadkiem nie wczoraj? Spotkał się pan z nią na zapleczu...

– Ale jakie tam wczoraj, na jakim zapleczu, dawno mówiła, po ludziach plotki rozpuszcza!

– Dlatego umówił się pan z nią koło tych komórek? Miał pan nadzieję, że nikt pana nie widzi i w ciemnościach zamknie jej pan gębę na zawsze. Tak ją pan poinformował.

– Raszpla parszywa – wyrwało się prezesowi i pozgrzytał trochę zębami. – Ona mnie... Że to ja... Gnój we łbie...

– No właśnie, ona pana...

Zajęty ścisłym definiowaniem zalet pani Krasnej prezes Stułbia przez chwilę nie zwracał uwagi na żadne pytania. Woźniaka to nie dziwiło, wywiadowca, który z pewnej odległości podziwiał scenę, zdążył wyjawić,

co oglądał. Pan prezes przyłożył pani Krasnej i do duszenia owszem, przystąpił gorliwie, najwidoczniej jednak zapomniał, że pani Krasna była strażniczką w więzieniu i w zawodzie odnosiła duże sukcesy, lub też może ten fakt zlekceważył, bo został zaskoczony. Pani Idalia błyskawicznie otrząsnęła się z szoku, przyłożyła wzajemnie panu prezesowi, po czym dokonała wszystkich uzupełniających manipulacji. Znała teren, na widok nadbiegającego wywiadowcy, a zaraz za nim Kazia Wolskiego, znikła z oczu niepożądanych widzów. Żadnego byka z kłakami, rzecz jasna, nie było, a na pana prezesa spadł ciężki wstyd. Woźniak doznał wrażenia, że znacznie chętniej przyznałby się do ucięcia łba rywalowi, niż do sromotnej klęski, zadanej rękami wstrętnej baby.

Trochę go to zmartwiło.

Uwierzywszy w nadziemsko pociągające dla kobiet uroki nieboszczyka Bartosza, stawiał już stanowczo na rywala. Z jakichś powodów rozwścieczonego wyjątkowo. Ewa Górska była realistką, mitomania się jej nie czepiała, jeśli tak silnie zapamiętała wrażenie skoncentrowanej wściekłości szarpiącej jaśminem, ta wściekłość musiała tam być. Kotłować się. Warczeć. Pęcznieć w jestestwie bawołu, przedzierającego się ku wrogowi. Przedarł się, wpadł w szał, chwycił pierwsze co mu wpadło w ręce i wykonał zamach.

Zdeptana uczuciowo Helusia albo emocjonalnie sklęsła, albo we łzach odbiegła i nie widziała czynu. I to było jedyne logiczne wytłumaczenie zbrodni.

No tak, ale sprawca tej zbrodni powinien jednak być bardziej przejęty. Tymczasem jego zdenerwowanie miało źródło w chwili obecnej, a nie w tamtej, sprzed dziesięciu lat. Tamtą wyraźnie lekceważył.

Symulował...? Uwierzył już, że mu się upiekło? Przedawnienie nie wchodziło w rachubę, dziesięć lat z drobnymi groszami, do dwudziestu im

daleko. Zapomniał, co zrobił...?

No to trzeba mu przypomnieć!

W tym miejscu pan prezes okazał się twardy jak granit, możliwe, że wspomagała go rosnąca furia. Żadnego szóstego czerwca na żadnych działkach nie był, chromoli działki i cznia, on nie ogrodnik. Co, deszcz padał? Musiałby upaść na głowę, żeby w deszczu po krzakach się plątać, a w ogóle jakim cudem ma pamiętać, co robił akurat szóstego czerwca dziesięć lat temu! Może był na jakiejś, konferencji, może w knajpie, a może w Bułgarii...

– A może żona będzie pamiętała? – podsunął słodko Woźniak.

Straszak zadziałał. Pan prezes zamknął gębę i przez chwilę pomilczał. Woźniak podsunął jeszcze zachęcająco panią Krasną i panią Paszczak, spotkanie wszystkich pań razem powinno odświeżyć pamięć.

Tego było dla nieszczęśnika za wiele. Najpierw jęknął, potem postękał, wreszcie podjął męską decyzję.

– Dobra, powiem. To czego pan chce?

– Szóstego czerwca dziesięć lat temu był pan na działkach?

– Panie, ja nie wiem, czy to było szóstego, piątego, czy siódmego. Ale byłem. Jak ja nie powiem, to żona powie. Deszcz padał, fakt.

Woźniaka zdziwił nieco komunikat o osobliwej gadatliwości żony na tak śliski temat, ale kontynuował.

– I co się tam działo? Spotkał pan panią Paszczak i pana Bartosza...

– Gówno! – przerwał charkotliwie zmaltretowany prezes, na nowo rozzłoszczony. – Żebym chociaż...! Polazłem tam za Helusią, latałem za nią całe życie i dalej latam, moja sprawa, jak Bartosz z nią będzie, nie wytrzymam, raz wreszcie dam mu w mordę, tak myślałem. A o niej to wiedziałem, gdzie się pałęta, bo ludziom kazałem kablować, znowu tak

dużo tego nie było, żadnych sztuk nie wydziwiała, a jeszcze mąż ją pilnował. Tak ukradkowo chciałem, no i gówno, złapało mnie takie jakieś.

Woźniak poprosił o szczegóły takiego jakiegoś.

Pan Stułbia ponuro wyjaśnił, że, pragnąc się podkraść nieznacznie, a zarazem unikać ludzkich oczu, nie poszedł zwyczajnie alejką, tylko zaczął przełazić przez cudze działki, gęsto zakrzewione. Zgniewało go, że zaraz za bramą na kogoś się nadział i nie chciał więcej. Przemknął na drugą stronę alejki, tam jeszcze gorzej było, wlazł w jakiś gąszcz, kłuło go, drapało, szarpały jakieś kolce, aż wrąbał się w istną pułapkę. Kolce okropne się w niego wbiły, za ubranie złapały, co się miotnął, to wbijały się głębiej. Marynarka w strzępy poszła, spodnie też, na tyłku w poprzek mu rozdarło, czort bierz ubranie, ale ciało zaczęły mu orać. Krew z niego ciekła jak z zarzynanego wieprza, jakiś dziób wściekle ostry wbił mu się w kark, bał się głową ruszyć, ręką sięgnąć do tego nie mógł, bo za poszarpane rękawy trzymało, do samej śmierci tego nie zapomni. Pomyślał, że się wykrwawi całkiem zanim z tego wylezie, Helusia z Bartoszem wylecieli mu z głowy, oka o mało sobie nie wydłubał, nos mu rozpruło z jednej strony, siły stracił. O mało się nie rozpłakał, przestał się szarpać, odpoczął, rozejrzał, tego draństwa tak znowu dużo nie było, ale uparte, a on głupio wlazł w najgęstsze. Żeby go ludzie nie widzieli, idiota, jacy ludzie, tam żywego ducha nie było! Wylazł w końcu po kawałku, po kawałku, krew mu ciekła do butów, jeszcze sobie pysk podrapał, dobrze chociaż, że samochód blisko postawił, bo jak upiór wyglądał. Żona w domu, jak go zobaczyła, mało trupem nie padła, jeszcze go obsobaczyła, że kretyn skończony, zwariował do reszty, z głodnym tygrysem się bił, czym go tak urządzili, zwierzęta jakieś, bo ludzie by nie dali rady. Helusi i Bartosza na oczy nie widział, tą posoką się wystraszył, cholera ich wie, czy tam w ogóle byli! Co za miejsce jakieś, małe, a takie potworne!

Gąszcz pani Amelii! Woźniakowi w oczach stanął najstarszy chyba fragment, prawie sam narożnik. O tak, tam właśnie rosła akacja, egzotyczna zapewne, bo na żadnej innej akacji takich kolców nie widział, rzeczywiście imponujące. A w dodatku w tym właśnie prawie narożnym kawałku plątał się drut kolczasty, najwidoczniej zapomniany i w zielsku niewidoczny. Ekipa techniczna usuwała go bardzo ostrożnie, a też się wszyscy podrapali.

Słowa na ten temat nie powiedział, ale bez trudu uwierzył, że figlarną roślinność pan prezes musiał widzieć osobiście. I może nawet zetknąć się z nią bezpośrednio. Co nie znaczyło, że wyznał tu teraz całą prawdę...

Zełgał. Każdy by zełgał. Satysfakcja przepełniała komisarza tak potężna, że od razu postanowił trochę się nią ponapawać. Żadnych brutalnych czynów, dyplomatycznie i salonowo, pełna troska o człowieka! Stułbia doskonale wie, że jest podejrzany, niech myśli, że podejrzenia się właśnie z niego zdejmuje, czysta rutyna, wszystko praworządnie, żonę należy przesłuchać, przeszukania dokonać, ale to niewątpliwie przejdzie ulgowo.

Pan prezes nie został zatrzymany. Przeciwnie, został troskliwie zbadany, opatrzony, ułożony do krótkiego snu, następnie poczęstowany śniadankiem i odwieziony do domu. Woźniak zabiegi medyczne i drzemkę sobie darował, za to w chwili odwożenia podejrzanego posiadał już stosowny nakaz prokuratorski przeszukania apartamentu, tymczasowego aresztowania, oraz jadącą za nim trzyosobową ekipę techniczną.

Pani prezesowa zasadnicze zeznania małżonka potwierdziła. Pamiętała nawet datę, tak jest, to było szóstego czerwca.

– Takich rzeczy się nie zapomina – rzekła sucho. – Panie komisarzu, wszedł mi tu jak straszydło jakieś ciężko chore, cały pokrwawiony, ja w nerwach czekam, bo z wizytą mieliśmy iść, a tu upiór wojenny, jakby orne pole nim bronowali. Do dziś nie wiem, co mu się stało, bo ględził różne brednie i prawdy nie powiedział. Nie okradli go, to pewne, tyle mojego.

Przeszukanie lokalu nic nie dało i już Woźniak przewidywał kłopoty, ale ślepy fart wciąż jeszcze działał. Pani prezesowa, jadowicie spokojna, siedziała w kuchni przy stole i obierała sobie jabłko, komisarz wszedł tam ostatnie kilka słów zamienić i nagle dostrzegł, czym też pani domu to jabłko obiera.

Jakby prąd wysokiego napięcia przeleciał mu po wszystkich częściach miękkich anatomii.

– Pani pozwoli? – rzekł najwdzięczniej jak potrafił i wyjął damie narzędzie z ręki. – To kozik ogrodniczy, widzę, że bardzo stary. Skąd pani go ma?

Pani prezesowa wzruszyła ramionami.

– A bo ja wiem? A, nie, wiem. To męża. Chyba go gdzieś znalazł już dawno temu. A co...?

Woźniak przeprosił i udał się do pana domu, który już odzyskiwał przytomność umysłu i właśnie dzwonił do adwokata. Pokazał mu na dłoni złożony kozik, czerwony, nabijany mosiężnymi krążkami.

– Skąd pan to ma?

Prezes Stułbia spojrzał, odjął słuchawkę od ucha i po raz pierwszy zbladł.

– Ja... tego... No... znalazłem...

– Gdzie?

Błyskotliwość nie zaliczała się do najsilniejszych zalet Walusia.

– No... Czy ja mogę pamiętać... No... Gdzieś tam...

– Przypomnę panu. Na miejscu zbrodni.

Nakaz aresztowania jednak się bardzo przydał.

* * *

Wyspać się Woźniak nie zdążył, bo życzliwy los go pogonił.

Piękna Helusia Paszczak być może nie otworzyłaby własnych drzwi jakimś tam natrętom, gdyby nie to, że w chwili przekręcania klucza najważniejszy natręt stał tuż za jej plecami. Wpadła do siebie tylko na chwilę, wyjątkowo koło południa a nie wieczorem, i nie miała pojęcia, że za nią ktoś idzie. Woźniak nosił obuwie na miękkich zelówkach, które nie wydawały żadnego odgłosu. Tupiący głośniej Kazio Wolski odczekał chwilę pół piętra niżej.

Woźniak na dłoni trzymał kozik.

– No i dlaczego dała to pani prezesowi Stułbi? – spytał z wyrzutem bez żadnych wstępów i dyplomatycznych zabiegów. – Taką pamiątkę...?

– Jaką znowu pamiątkę! – skrzywiła się wzgardliwie pani Paszczak. – To nie jego...

Tu ugryzła się w język i zamarła z jedną ręką jeszcze w rękawie kurtki.

– A czyje?

Na to spontanicznej odpowiedzi Woźniak już nie uzyskał, pani Paszczak ugryzła się w język skutecznie i popadła w milczenie. Nie odezwała się nawet na widok Wolskiego, który też wcale nie był zaproszonym gościem, usiadła przy stole i wyraźnie czekała, żeby sobie poszli. Na grzeczne pytanie, czy mogą się trochę rozejrzeć, również nie udzieliła odpowiedzi.

Kto milczy, ten się zgadza. Obaj, i Woźniak, i Wolski, mieli ogromne doświadczenie w delikatnej, a wnikliwej penetracji rozmaitych mieszkań. Obaj wiedzieli, co też po gołym panu Bartoszu mogło, a nawet musiało na działce zostać. Wypatrywali przedmiotów trwałych. Portki, koszulę, wdzianko pani Paszczak mogła wyrzucić, chyba że jej przyrosły do serca, ale zegarek...? Klucze...? Nie kusiło jej, żeby zajrzeć do gniazdka nieboszczyka...?

W szafie wisiały dwa nowe krawaty, cztery paski od spodni, o niczym nie świadczące, bo pani Paszczak w spodniach chodziła, spodnie męskie

stare, ale elegancko uprane, na półce, wśród licznej damskiej garderoby, leżała męska piżama zupełnie nowa, nawet nie wyjęta z opakowania, które nie kryło swego wieku, oraz równie nowe, krótkie męskie gacie w kolorze niebieskim. Te ostatnie rzeczy po działce się nie poniewierały, niewątpliwie pochodziły ze sklepu. Do niczego. Natomiast koszula męska, niemłoda, używana, ale w nieskazitelnym stanie, uprana i uprasowana, mówiła sama za siebie.

Jeszcze dobitniej przemówiła marynarka pasująca do upranych spodni, troskliwie osłonięta foliowym workiem na ubranie, wtulona w sam środek damskich żakietów, kurtek i grubych swetrów. Zawartością kieszeni głos wydała potężny, Woźniak wyjął ją z szafy, wniósł do salonu i nic więcej nie zdążył zrobić.

Wolski równocześnie trafił na cenny przedmiot. Wyszedł z kuchni, poklepując dłoń niewielkim młotkiem, z jednej strony główki rozwidlonym i wdzięcznie zagiętym. Bez słowa położył narzędzie na stole przed nosem milczącej pani domu i popatrzył na Woźniaka.

– W szufladzie z kuchennym chłamem – wyjaśnił krótko.

Woźniak zastanawiał się przez chwilę. Tknęło go, odezwał się instynkt. Odłożył marynarkę w folii na oparcie krzesła i wrócił do sypialni. Tapczan był równiutko zaścielony, przykryty narzutą, najwidoczniej nieużywany, komisarz sięgnął pod poduszkę, nie domacał się niczego, okrążył legowisko i sięgnął z drugiej strony. Kiedy wyjął rękę, trzymał w niej bagnet.

Tego pani Paszczak nie zniosła, zesztywnienie w niej pękło, walnęła głową w stół i zalała się rzewnymi łzami.

– Nie chciał mnie! – zawyła rozdzierająco. – Nie chciał mnie! Nie chciał mnieee...!!!

Trochę potrwało zanim udało się ukoić szlochy za pomocą dwóch szklanek zimnej wody i setki czystej wyborowej, narodowego

medykamentu na wszystko. Pani Paszczak odzyskała równowagę o tyle, że głos jej wrócił, słuch również, wzięła udział w rozmowie, którą trudno było nazwać przesłuchaniem. A jeśli już, to niezwykle uczuciowym, rzewnym i wzruszającym.

Na większość pytań padała odpowiedź krótka, prosta i całkowicie bezużyteczna. Mianowicie: „Nie wiem”.

No owszem, pani Paszczak była na działce z panem Bartoszem, ale nawet nie wie, czyja to działka. Co tam się właściwie stało, nie wie. On znów jej nie chciał, odgonił ją, więc sobie poszła, a jak wróciła, już go nie było. Gdzie się podział, nie wie. Jego rzeczy zostały, więc je pozbierała, żeby kto nie ukradł, bo w ogóle dbała o jego rzeczy, jak o świętość jaką. Jak ta działka wyglądała, czy był tam dół, czy wzgórek, nie wie. Nie pamięta. Zdenerwowana była taka, że jej się w oczach ćmiło.

Pana Stułbi nie widziała, mógł tam być albo nie być, ona nie wie. Idalcia mówi, że podobnież był, ale Helusia nie wie. Tu u niej bywał, dlaczego nie, ten kozik leżał na wierzchu, spodobał mu się, więc sobie wziął, a ona pozwoliła, bo co ją obchodzi. To nie Bartosza, tylko jakiegoś znajomego, nie wie jakiego, znajomy też jej nie obchodzi. Łopata...? No owszem, ciężka była i wielka, ale to też nie jego, tylko tych ludzi z działki, więc zostawiła, bo co się będzie z cudzą łopatą po mieście włóczyć. Nie wie, co Bartosz robił jak odchodziła, nie widziała, łzy jej oczy zalały. A jak wróciła, to go nie było.

I, najdoskonalej niekonsekwentnie, na pytanie, skąd u niej tyle męskiej garderoby, odparła krótko: – To po mężu.

– W zaparte idzie – westchnął Wolski na stronie, a Woźniak posępnie przyznał mu rację.

Cała pani Paszczak, zaniechawszy łkań, przeistoczyła się w jeden wielki, skamieniały upór. Nie istniał dla niej taki drobiazg jak prawda, nareszcie

Woźniak miał podejrzaną, która mu łgała w każdym zdaniu. Właściwie poczuł ulgę, bo było to zjawisko normalne, znane, spotykane na każdym kroku, do którego przywykł i z którym wiedział, że sobie da radę.

Zachwiał się natomiast w swoim przekonaniu o winie pana prezesa i niewinności zakochanej Helusi. Już sam upór wskazywał, że pani Paszczak charakter ma niezłomny i jeśli w niej wzbierze i eksploduje, to ho, ho...

Drugi nakaz aresztowania okazał się niezbędny.

* * *

– No i co pani o tym myśli? – spytał z zaciekawieniem Górski nad całym stosem map drogowych, zalegających jego biurko. – Zna pani prawie wszystkich z tej afery, nie wierzę, że o tym między sobą nie rozmawiacie. Co pani na co?

– Rozumiem, że pyta pan o gwałtowne zejście bóstwa z postumentu, a nie o ten śmietnik? – odparłam, wskazując mapy. – Osobiście stawiałabym na wielbicielkę.

– Mimo uwielbienia?

– Żaden chłop nie pojmie wnętrza baby. Bartosz potrafił doprowadzić człowieka... mam na myśli kobietę... do absolutnego amoku. Był bezlitosny, napawał się swoją przewagą i zupełnie nie brał pod uwagę zmęczenia materiału. Każda stal może pęknąć, stal wyczuwał, oszalałej baby nie. Poza tym, gdyby pojawił się tam facet, zwęszyłby zagrożenie, kapłanka nie miała prawa się zbuntować, zagrożenie nie wchodziło w rachubę. A tu rączka jej skoczyła i cześć, furia nieźle wzmaga siły.

Górski na zmianę kiwał i kręcił głową.

– Tam nikomu krzepy nie brakowało. Śmieszna rzecz, ale mam wrażenie, że ten gąszcz z głową, o którym na początku pani mówiła,

uratował życie temu, jak mu tam... Stułbi. O Bartoszu już dużo wiemy, sztuki walki miał opanowane, a w rękach trzymał ostre grabie...

– No właśnie. Pojedynek na grabie i łopatę... Może i szkoda, że do tego nie doszło, rzadka rzecz. Ale dlatego typuję Walkirię. To co? Wypożyczy mi pan ten cały nabój? – poklepałam obszarpany trochę stos. – Zabiorę co moje, a resztę panu uczciwie zwrócę.

Tak naprawdę w nosie miałam panią Paszczak i tego jej adoratora, było mi wszystko jedno, które z nich wykosiło Bartosza, interesowały mnie mapy. Chciałam je wreszcie spokojnie przejrzeć, sprawdzić, porównać ze strzępami, które mi się kołatały w pamięci, tyle lat żałowałam ich straty, że teraz już mi się do nich śpieszyło. Nawet nie ze względu na Baśkę, poganiała mnie wrodzona niecierpliwość. Bo dlaczego właściwie Bartosz ciągnął mnie w takie dziwne miejsca i robił czasami takie dziwne uwagi...?

Górski wolał ogrodniczą zbrodnię, nie protestował, osobiście odniósł mi ciężar do samochodu. Pojechałam prosto do domu i usiadłam nad cenną zdobyczą.

Od dzieciństwa umiałam czytać mapy. Miejsce, gdzie zastopował mnie nad jeziorem stuletni pień, znalazłam bez trudu, no i proszę, mój stary atlas był jednak u Bartosza, mogłam go szukać po całym domu do uśmiechniętej śmierci, dobrze, że nawet nie zaczęłam. I znalazłam coś więcej, kawałek też starej sztabówki, wojskowymi mazidłami nietkniętej, za to tkniętej Bartoszem. Znałam jego tajne zygzaki, bezbłędnie dopasował miejsca i oczywiście! Istniał domek myśliwski i droga do niego wcale nie przez cholerny wiatrołom, tylko z drugiej strony, dookoła, przez jakieś gąszcza i mateczniki, chyba przejezdne...

Chwilowo dałam spokój reszcie i zaczęłam się zastanawiać. Jechać tam, czy nie? Zabrać Baśkę, czy jechać samej? Od razu...? Może jednak poczekać na jej wizytę u Feliksa...? Może w ogóle poczekać na rozwiązanie

sprawy głowy, łopaty, pięknej Helusi Paszczakowej i ostateczne ustalenie sprawcy czynu...?

Niech ten Woźniak się, do diabła, pośpieszy!

* * *

Woźniak nie musiał się śpieszyć. Od owej fartownej nocy, spędzonej w towarzystwie pani Krasnej i pana Stułbi, los mu uparcie sprzyjał i załatwiał wszystko za niego. Nie żeby siłą nadprzyrodzoną, broń Boże, zwyczajnymi ludzkimi rękami, ale jednak.

Adam Barnicki, starannie symulując chorobliwą nieśmiałość, rzecz oczywista nie mógł głupstwami zawracać głowy zapracowanej policji i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko rozmaite drobnostki konsultować z Ewą Górską, znacznie mniej zapracowaną. Przy Ewie nieśmiałość jakoś mu zanikała.

W Ewie zaś natychmiast roziskrzała się i bujnym kwieciem pokrywała namiętność do wybranego zawodu ogólnie, a w szczególności do aktualnego śledztwa, którego wszak sama stanowiła niejako początek. W Adamie zapał zrywał się do czynu i w ten sposób czysty zysk spadał Woźniakowi z nieba.

Pani Paszczakowa zyskała chwilę oddechu i na ciąg dalszy przesłuchania musiała poczekać, bo para sprzymierzeńców wkroczyła w progi komendy prawie bez uprzedzenia. Dopiero w chwili wysiadania z samochodu Adama i wyłącznie z elementarnej grzeczności Ewa zadzwoniła, że właśnie idą. Dla Woźniaka wciąż była perłą bez skazy i przerastała ją wyłącznie Marlenka, przestawił się zatem natychmiast.

Perła bez skazy nie miała cierpliwości do wstępów.

– Daj mu to – zażądała od Adama i zwróciła się do Woźniaka. – Jestem pewna, że ci się to przyda, bo ona kręci.

Woźniak nie miał wątpliwości, o kim Ewa mówi. Zaciekawił się.

– Skąd wiesz?

– Musi kręcić. Jest w niej coś takiego, że musi.

Woźniak kiwnął głową i przyjął od Adama dwa zdjęcia. Z polaroidu, kolorowe, małe, ale bardzo wyraźne.

– To jest ten, którego uważałem za męża – wyjaśnił Adam zwięźle, również bez żadnych wstępów.

Woźniak wyrżnął się w brzuch gwałtownie otwartą szufladą biurka, wyrwał z niej lupę, wpatrzył się zachłannie w twarze na wizerunku.

– O, niech ja pleśnią porosnę...! Skąd pan to ma?!

– Na piętnaste urodziny dostałem od matki prezent, człowiekiem przysłała, i przez jakiś czas pstrykałem wszystko, co mi pod rękę wpadło. Okazuje się, że trafiłem na tę scenę hipotetycznie małżeńską. Teraz to znalazłem.

– Gdzie?

Adam westchnął.

– W mieszkaniu dziadków. Sam tam mieszkałem osiemnaście lat. Od śmierci babci stało puste, nietknięte przez cztery lata, uszanowałem pamiątki po nich, ale teraz ostatecznie zdecydowałem się zostać i odnawiam.

– Po czterech latach to chyba cały remont?

– E, nie. Raz na tydzień przychodziła nasza dawna sprzątaczka, okna otworzyć, kwiatki podlać i tak dalej. Od razu na wstępie znalazłem zdjęcia we własnym dawnym pokoju i Ewa mówi...

– Bardzo dobrze mówi – przerwał Woźniak, z zachwytem wpatrzony w podobiznę pana Paszczaka, zaganiającego żonę do domu. – Nie wiem, czym to tłumaczyć, ale cały czas mówi niezwykle rozsądnie. Bezcenna rzecz!

– Przecież ona chyba ma w domu jakieś zdjęcia męża? – zdziwiła się Ewa. – Bo to Paszczak? Adam dobrze wywęszył?

– Paszczak, Paszczak. W domu trzyma tylko ślubne popiersia, ale i tak jego gęby mamy zatrzęsienie z różnych dokumentów. Tyle, że samej gęby, to jest pierwsze, gdzie go widać w całości. Wręcz skarb!

– Bo co?

– Bo... – Woźniak zawahał się i nie wytrzymał. Zdradził tajemnicę służbową. – Bo masz rację, ona łże jak nakręcona, zupełnie kretyńsko, ściśle mówiąc, usiłuje łgać, teraz upiera się, że wszystkie męskie łachy to pamiątki po ukochanym mężu. Jak one po mężu, to ja jestem przeorysza. Od przyjaciółki słyszałem, że mąż to był chudy kurdupel, a teraz w ręku trzymam dowód, rzeczywiście zagłodzony wypłosz, a denat był... Co ci będę mówił, spójrz na Adama...

Metr osiemdziesiąt siedem Adama odruchowo wyprostowało się i wsparło o krzesło rycerskie barki, szersze od oparcia.

– ...a do tego w kieszeniach marynarki komplet dokumentów Bartosza, klucze od mieszkania, zegarek z dedykacją i różne inne takie. I to ma być po jej mężu! Beznadzieja.

Wbrew określeniu, promieniał. Ewa i Adam zostawili go własnemu, szczęśliwemu losowi.

Z całego mienia nieboszczyka Bartosza, znalezionego u niechcianej wielbicielki, Woźniaka zaintrygowała jedna drobnostka. W kieszeniach marynarki mianowicie znajdowały się dwa jednakowe komplety kluczy. Prawie jednakowe, różniły się właśnie drobnostką. Mianowicie jeden komplet był bogatszy od drugiego o mały, bardzo skomplikowany kluczyk. Dziwny dosyć, nie pasujący do niczego, nie kojarzący się z niczym. Pani Paszczak na jego temat nie miała nic do powiedzenia, patrzyła na wszystkie klucze z obojętnością, podszytą rozgoryczeniem.

Woźniak nie musiał się długo zastanawiać. Osobą, która o kluczach od mieszkania mogła wiedzieć najwięcej, niewątpliwie była użytkowniczka lokalu, od lat przekraczająca drzwi.

Pojechał do Anny Bobrek.

Jej skromna kawalerka wyglądała tak bardzo odmiennie, że przez moment nie był pewien, czy dobrze trafił. Anna jednakże wyglądała tak samo, poza tym, że wydawała się nieco pogodniejsza, wątpliwości zatem od razu zniknęły. Okazało się, że stoją tam normalne meble, duże biurko, regały, stolik, przy którym można jadać, tapczan, na którym można nie tylko spać, ale także usiąść, fotel, dwa krzesła, objawiła się szafa ścienna i staroświecki kufer z lekko wypukłym wiekiem, na którym nic nie leżało. Bardzo dużo książek i ani jednej gazety. Telewizor w kącie pozostał, ale nie był włączony.

Anna spojrzała na prezentowane klucze i wyjęła z torebki swoje. Było ich znacznie mniej, tylko trzy. Te trzy zgadzały się idealnie z trzema w każdym z pęków kluczy nieboszczyka.

Bez wahania i bez chwili namysłu Anna rozszyfrowała pozostałe.

– Ten do piwnicy, panowie tam byli, o ile wiem, też mam taki, ale nie noszę przy sobie, wisi na ścianie w kuchni. Ten od kufra, teraz jest otwarty, nie mam powodu go zamykać, ten od biurka, to taki główny, blokował wszystkie zamki od szuflad i drzwiczek. Ten od szafy, tej, o... – wskazała szafę ścienną. – Ten od drzwi balkonowych, też ich na klucz nie zamykam, bo po co, to nie parter.

– A ten? – spytał z naciskiem Woźniak.

Anna obejrzała mały, nietypowy, dodatkowy kluczyk i pokręciła głową.

– Nie. Tego nie znam. To znaczy, raz go widziałam, pokazał mi, ale nic o nim nie wiem i nie mam pojęcia, do czego może być.

– Pokazując, pan Bartosz niczego nie powiedział?

Z Anny wyrwało się coś w rodzaju gniewnego prychnięcia.

– Ależ powiedział, oczywiście. Był tak zachwycony sobą, że musiał się pochwalić, zdarzały mu się czasami takie wybryki. Powiedział, że to jest jego tajna broń.

– I co?

– Nic.

– Nie zainteresowała się pani?

– Zainteresowałam się, oczywiście. Zapytałam, co to znaczy, ale nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się tajemniczo. Nie pytałam więcej i nie nalegałam, bo nie znosił natręctwa. Zainteresowanie owszem, ale drążenie tematu niedopuszczalne. Więcej go nie widziałam i nie wiem, skąd pochodzi i co otwiera. Chyba coś niewielkiego.

– Kompletów kluczy miał dwa, a to jest tylko jedno. Nie postarał się o duplikat?

Anna pokręciła głową w zamyśleniu, jeszcze raz obejrzała kluczyk.

– Wszystkie klucze dorabiał sobie sam, nikomu nie dał ich do ręki. Nie wiem, dlaczego nie dorobił i tego. Może nie miał dostępu do zamka i nie mógł sprawdzać efektu? Nie wiem.

– A kiedy się pani nim chwalił?

– O, to już dawno było, prawie na początku naszej znajomości. Osiemnaście lat temu? Może dziewiętnaście? Kiedy jeszcze miał nadzieję, że pójdę na studia medyczne. Później wyraźnie w stosunku do mnie zesztywniał, nie umiem tego nazwać... Pojawiła się obcość psychiczna...?

No tak, dziewczyna mu się zbuntowała, okazała nieposłuszeństwo, należało ją ukarać. Woźniak nieźle już poznał swojego denata, prawie zaczynał współczuć tym jego nieszczęsnym adoratorkom. Anna Bobrek robiła wrażenie jakby pozbywała się jakiegoś ciężaru.

Czyżby pani Paszczak wyświadczyła im wszystkim przysługę...?

Coś mu nagle piknęło w pamięci, podświadomość zaszemrała jakimś skojarzeniem, ale nie było wiadomo, o co jej chodzi. Usiłował wydłubać ten nikły cień myśli, rozjaśnić go trochę, ale nie dał rady. Nie odgadł. Z doświadczenia wiedział, że może przyjść samo w sprzyjającej chwili i odczepił się na razie od niejasnych skojarzeń. A także od Anny Bobrek.

* * *

Marlenka pierwsza udzieliła wieści o sukcesie genialnego Andrzeja, a zarazem o zaręczynach, które oczywiście wystąpiły jako informacja nadrzędna, a sukces wepchnął się w nie podstępnie, kawałkami, niejako sam z siebie.

Przyjechała do mnie na swoim skuterku o raczej późnym poranku, w drodze na działkę.

Jakoś tak jej się pojechało kawałek dalej, akurat w moją stronę i już przepadło. Komuś przecież musiała o tym powiedzieć!

– O Boże, ale niech pani nikomu nie mówi, że mi się wyrwało – poprosiła żarliwie, zarazem skruszona i promienna. – Ale sam powiedział, że ja mu przynoszę szczęście i muszę zostać jego żoną, bo inaczej rzuca pracę i angażuje się do naprawy wałów przeciwpowodziowych.

– Bardzo użyteczne zajęcie – pochwaliłam, nalewając herbatę. – Dosyć szybko wam poszło. Ty bez niego też do tych wałów?

– A bo widzi pani – wyznała Marlenka, szczęśliwa i zakłopotana. – On mi się spodobał już pięć lat temu, jak mi wymyślał za ten bambus, a ogólnie to jest pierwszy taki, który mi się spodobał i który niczego ode mnie nie chce. Nie przychodzi z nieszczęściem, nie płacze mi w mankiet, nie usiłuje pożyczać pieniędzy, nie każe sobie pomagać ani pocieszać się, tylko wręcz przeciwnie. Własnym blaskiem świeci, przylatuje pochwalić się, naradzić i mnie się pcha do pomocy. I twierdzi, że też mu się podobam od pięciu lat,

sam mi się postara o własny ogródek i nawet na bambus się zgodzi, jeśli się uprę...

– A broń Boże...!

– Bo ona się przyznała! Przyleciał i musiał mi to powiedzieć, bo to podobno dzięki mnie, ale ślub weźmiemy dopiero po sprawie, żeby już mieć z głowy...

– Rozumiem, że grozi mu awans... Zaraz. Pani Paszczakowa przyznała się do zbrodni dzięki tobie? Co jej takiego zrobiłaś?

Marlenka zakłopotała się już zupełnie okropnie.

– No więc właśnie dlatego uważam, że muszę to pani powiedzieć. Bo ja tak napomknęłam o pani w rozmowie z Andrzejem, że to pani była solą w oku tej upartej baby, a on potem ją tym ustrzelił i wtedy ona pękła. A on tak jakoś przypomniał sobie i powiedział na wszelki wypadek, bo może ją ruszy. No i ruszyło. Bardzo panią przepraszam!

– Nie ma za co – mruknęłam i już nie popuściłam. Zaraz potem dowiedziałam się wszystkiego ze szczegółami.

* * *

Pani Paszczakowa wielką fantazją nie grzeszyła. Uparcie powtarzała w kółko to samo, przecząc sobie w co drugim zdaniu i nie poświęcając sprzecznościom najmniejszej uwagi. Nawet prezesowi nie darowała, na pewno tam był, ale ona go nie widziała i na pewno go nie było, bo gdyby był, to by go widziała. Od widziadła pana Stułbi Woźniak do reszty stracił cierpliwość i wyrwała mu się kąśliwa uwaga, zainspirowana przez Marlenkę.

– Dziwię się, swoją drogą, że tak skarciła pani ukochanego, a nie swoją wieloletnią rywalkę. Nie lepiej było jej się pozbyć?

Zacięta w uporze pani Paszczak przez chwilę jeszcze siedziała w bezruchu i skamieniałym milczeniu, ale potem nagle jakiś straszliwy dreszcz przez nią przeleciał. Woźniakowi skojarzyło się to z okropnym, falującym drżeniem ruchomych piasków. Coś wybuchło.

– Tak! Tak było zrobić! I dawniej! Wcześniej! Jak jeszcze ona...! Jak on u niej...! A jak już go rzuciła... jak on ją rzucił, to jeszcze pożałował! W oczy mi powiedział...!!! A już ten mój zdechł i wolna byłam, i nie chciał mnie, jej pożałował, i ciemno mi się w oczach zrobiło, i już przepadło...! Ją trzeba było, ją, a nie jego...!!!

Balon emocji pani Paszczakowej nie wytrzymał ciśnienia i strzelił z potężnym hukiem. Woźniak z przerażeniem patrzył, jak w ataku histerii nieszczęsna sprawczyni tłucze głową o biurko i zalewa mu łzami mebel i podłogę dookoła. Tak! Tak! Zrobiła to! Samo się zrobiło! Nie wie jak, nie wie, co trzymała w ręku, samo skoczyło, to nie ona, to ta rzecz, ta przeklęta łopata!!! Ona nie chciała! Nie chciała!!! Nie chciała...!!!

Nie zdążył wezwać żadnej pomocy medycznej, aczkolwiek taka myśl błysnęła mu w głowie, bo pani Paszczak uspokoiła się nagle. Jak piorunująco ruszyła, tak i stanęła bez poślizgu. Podniosła głowę, czoło miała nieco zaczerwienione, wyciągnęła z torby wielką chustkę tekstylną, wytarła oczy i nos, siąknęła tym nosem jeszcze raz i rzekła: – W efekcie go zabiłam.

– W czym...? – wyrwało się Woźniakowi.

– W efekcie. Mówią, że w efekcie to sąd mniej daje. Bezmyślnie. W nerwach mi się machło. Żadnej premendyntacji nie było.

Godność, w tych słowach zawarta, niemal Woźniaka ogłuszyła, ale zdołał się szybko opanować. Najwidoczniej piękna Helusia zrezygnowała z monotonnych zaprzeczeń i zaczęła się bronić naukowo. No owszem, miała trochę racji, istotnie zbrodnia w afekcie zawiera w sobie okoliczności

łagodzące, ponadto możliwe, że zawiniła łopata. Gdyby pani Paszczak wspierała się na czymkolwiek delikatniejszym, zapewne uszkodziłaby opornego amanta nie aż tak radykalnie. Wyprowadził ją z równowagi... dość się Woźniak nasłuchał, jakoby w tym kierunku nieboszczyk był wyjątkowo utalentowany... straciła panowanie nad sobą i machło się jej. A widać, że baba silna jak koń.

Cześć i chwała Marlence, że podsunęła tę genialną myśl!

* * *

Ze starannie przejrzanymi mapami pojechałam do Baśki. Malowała sobie paznokcie krwistym lakierem w drobne złote kropeczki.

– Podjęłam męską decyzję i jadę do Feliksa – oznajmiła, zanim się zdążyłam odezwać, i zamachała mi przed nosem wysychającą ręką. – Czekam tylko na Patryka, bo mam akurat niechęć do innej komunikacji. Potrzebne mi pieniądze na drugi samochód, dla dwóch osób jeden to stanowczo za mało. Wezmę laskę.

Rzuciłam mapy na stół i obejrzałam się na nią. Z kąta za drzwiami wyciągnęła swoją zaniedbaną szwedkę, oparła ją o tył fotela.

– Po cholerę ci to?

– Nie wiem. Może trzeba będzie wzbudzić litość. Jeśli się rozmyślę, schowam ją w przedpokoju, tam chyba jest jakiś przedpokój. Co przyniosłaś?

– Skończ tę drugą rękę i pomachaj, bo ci się rozmaże. Przez ten czas popatrzysz sobie.

– To szybko schnie. Na co mam patrzeć? Na twój łup? Wydarłaś im jednak?

– Górski przestał nawet węszyć podstęp, bo mają sprawcę...

– Walkiria! – wykrzyknęła odkrywczo Baśka i lewą ręką wyjęła z kredensu szklankę dla mnie. Herbata, jak często u niej bywało, stała w termosowym dzbanku na blacie, nalałam sobie sama, żeby jej paznokcie mogły doschnąć. Krwisty lakier dziko błyskał.

– Owszem, przyznała się wreszcie. Zgubiły go baby.

– Musiał jej nieźle dokopać. I chyba miała pomoc moralną?

– Zgadza się, cały ciąg. I osobiście weszłam w skład tej watahy. Dołożyła się nawet Marlenka, bezwiednie podpuściła Woźniaka.

W skrócie przekazałam jej zdobytą wiedzę o dramatycznym przesłuchaniu. Baśka okazała pełne zrozumienie.

– A pewnie, ty znikłaś z horyzontu, jej mąż legł w grobie, kochankowie z Werony wolni jak ptaszki na nieboskłonie, a on jej furt nie chciał. Kamień by się zdenerwował.

– No i ta łopata pod ręką...

– Popatrz, to jednak rzeczywiście łopata. A myślałam z początku, że się wszyscy wygłupiają z nami dwiema na czele. Zbrodnicze narzędzie. I sam ją na siebie naostrzył, przeznaczenie. To co tu masz?

Wreszcie zajęłyśmy się mapami. Złamałam się, zrezygnowałam z tajemnicy, wyjaśniłam jej sprawę o tyle mętnie, że sama nie byłam niczego pewna.

– Znałaś Bartosza, nie muszę ci tłumaczyć. To były niewyraźne napomknienia, mgliste aluzje, ach, on coś wie, ale nie powie, coś tylko chce sprawdzić, więc niech wjeżdżam w ugory. Spadków po przodkach nie aprobuje i tak dalej...

– A co mu do tego? – warknęła Baśka. – Jego spadki, czy moje? Niech się wyrzeka własnych!

– Nie miał się czego wyrzekać. Tu się przyglądaj – popukałam palcem w mapy. – Te gzygzołki, które wszędzie wstawiał, miały różne znaczenie, tyle

udało mi się z niego wydrzeć. Ale znalazłam twój domek myśliwski i dojazd do niego, wcale nie przez mój wiatrołom, tylko dookoła. To jest mój atlas z wiatrołomem, przyjrzyj się, a to jest jego kawałek sztabówki, porównaj. U mnie stuletni pień nad wodą, a u niego domek w środku lasu.

– To małe, rogate?

– Zgadza się, tak zaznaczał budowle godne uwagi. I mamrotał tajemniczo, że on wie, a nikt inny nie wie, a wszak wiedza to władza. I usiłował dać mi do zrozumienia, że chodzi o niemieckie tajne dokumenty, ale mu za grosz nie uwierzyłam.

– Jak go pamiętam, to i tak niezwykle dużo z niego wydoiłaś.

– Ale z jakim wysiłkiem...! Przez wiatrołom, zrobiłam piekło na ziemi długofalowe, tyłem musiałam wracać i bokiem mi to pudło zjeżdżało do wody, cud, że nie utopiłam samochodu! Bo ludzkie osoby mogły ujść z życiem.

– Pijawki tam musiały być rekordowe – zauważyła Baśka z lekkim obrzydzeniem.

– Owszem, były. Też miały swój udział, bo sobie wyobraziłam jak mnie dopadają. Ale tu się wspięłam na szczyty, nigdy o niczym więcej nie uzyskałam tylu informacji. Reszta może oznaczać wszystko, ja się teraz opieram na mamrotanych zagadkach, podsuwał mi je i chciał, żebym zgadywała, a gówno.

– Dlaczego?

– Trzeba było widzieć ten triumf, kiedy się myliłam. A ja mam zły charakter, zbuntowałam się, niech się powiesi na swoim triumfie! No i został mi po pierwsze niedosyt, a po drugie takie jakieś podejrzenia. On coś wiedział na pewno!

Baśka zdenerwowała się okropnie.

– Wszyscy coś wiedzą, a najmniej ja! Czekaj, grobowce... O trzech wiem na pewno, to budowle, nie? Zobaczmy, czy gdzieś są.

Obie umiałyśmy czytać mapy wszelkiego rodzaju. Lokalizację grobowców Baśka znała, udało nam się odnaleźć wszystkie trzy, a na nich gryzmołki Bartosza.

– Mam podejrzenia większe niż twoje – oznajmiła ponuro. – Na cholerę mu było moje mienie po przodkach?

– Tajemnica – orzekłam bez wahania. – Kochał wszelkie tajemnice, chciwy był na nie, chciał je mieć. Dla siebie. A do tego lęgnie mi się ten śliczny Zelmuś, jak rozumiem, twój niedoszły narzeczony.

Baśką wstrząsnęło tak, że udało jej się wylać nieco herbaty na sztabówkę Bartosza. Wytarła ją rękawem.

– I co ten Zelmuś? – spytała podejrzliwie.

Poklepałam mapy.

– To wszystko stare, sprzed pół wieku, zobacz, niektóre przedwojenne. Miał je już dawno, znał Zelmusia...

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Musiało mi kiedyś wpaść w ucho w jakiejś rozmowie z Feliksem, lubię Feliksa, nie unikałam go specjalnie, tylko za dużo było koło niego Pauliny. I Leokadii. Może coś powiedział? Nie wiem, nie pamiętam, zostało mi tylko, że znał wstrętnego gówniarza... A! I sam Bartosz kiedyś potępił jakiegoś swojego ucznia, wyszło mi, że to właśnie ten wstrętny gówniarz. I ty sama tu wyczytałaś, że ciocia Rysia nabruździła.

– I co?

– I może dla Zelmusia Bartosz cenną wiedzę o twoim spadku gromadził?

Baśka przez chwilę milczała. Potem gwałtownie podniosła się od stołu.

– O tym wszystkim powinien wiedzieć Feliks, tak mi wychodzi. Jadę do niego i tym bardziej z laską! Podrzucisz mnie? Zadzwonię do Patryka,

później po mnie przyjedzie. Ty, zdaje się, coś masz...?

– Mam – wyznałam ze skruchą. – Za pół godziny ludzie z krzaczkami pod moim domem będą stali, ale zawieźć cię mogę. Zadzwoń, jakby co.

I głupio, z niepokojem, dodałam: – Żeby się tylko przypadkiem ten Zelmuś teraz nie przyplątał!

No i udało mi się wreszcie wymówić coś w złą godzinę.

* * *

Pani Rycheza Klucznik, czyli ciocia Rysia, miarowym krokiem zbliżająca się do setki, zachowała mniej więcej jedną trzecią dawnej sprawności fizycznej i nieco więcej sprawności umysłowej. Podupadła sprawność fizyczna zaniepokoiła nadwyżkę sprawności umysłowej, która postanowiła przeciwdziałać.

– Syneczku – rzekła surowo pani Rycheza do jedynaka mniej więcej tydzień przed złamaniem pani Paszczak. – Ja bym chciała dożyć końca.

– Końca mamusia dożyje bez wątpienia – zapewnił Zelmuś solennie.

Mamusia okazała lekkie zniecierpliwienie.

– Nie tamtego! Tego wcześniejszego, połys... kliwego! Tego, co błyszczy.

Zelmuś zastanawiał się przez chwilę. Złożył właśnie mamusi codzienną wizytę i, zważywszy, iż apartament pani Klucznik ulegał o tej porze bardzo porządnemu sprzątaniu, obydwoje siedzieli na oszklonej werandzie wytwornego domu opieki, Zelmuś na trzcinowym fotelu, mamusia na wózku inwalidzkim, otulona kocami, pod ręką mając stolik z napojami, wyłącznie zdrowotnymi. Rumiankiem, dziurawcem, miętą, sokami z warzyw i tym podobnymi dziełami przyrody. Poza nimi weranda była pusta, nikt nie mógł podsłuchać rozmowy.

Pani Rycheza pociągnęła wypowiedź, zanim jej syn odgadł, co ma na myśli.

– Z tej Rościszewskiej dawno wiemy, że nic nie będzie, serce matki to czuje. Choćbyś się nawet zaraz rozwiódł. Trzydzieści pięć lat skończy równo za trzy kwartały, obliczyłam. Chce być starą panną bezdzietną, niech ma, ona tak na złość, sama nie zeżre, a psu nie da. Jej się nie należało będzie, za nią ty stoisz i musisz się upomnieć, bo ja to chcę zobaczyć własnymi oczami.

– I mamusia uważa, że to błyszczy? – zainteresował się Zelmuś, już rozumiejąc i stosując skróty myślowe.

– Ja to wiem. Raz widziałam. Jeszcze dziewczynką byłam, jak podejrzałam, pradziadek w ręku trzymał, świeciło, a mnie zaraz z pokoju zabrali. Ale widziałam.

Zamilkła i zamyśliła się, a Zelmusiowi zaczęło błyszczeć wszystko dookoła.

– Złoto? – spytał chciwie.

Mamusia wzruszyła ramionami, sięgnęła po szklaneczkę i wypiła nieco mieszanego naparu rumianku z miętą. Dłoń jej drżała i trochę napoju wychlapnęło jej się na koc.

– Jakie tam złoto! Diamenty. Teraz, jak sobie wspomnę, wiem na pewno. Złoto mniej świeci.

Zelmuś napił się jarzynowego soku, niczego nie wychlapując.

– I mamusia uważa, że co?

– No przecież mówię! Tak się na uboczu masz nie trzymać, ty sukcesorem po pradziadku jesteś, papier mamy na to. Klucz przechowałam...

Zelmuś prawie podskoczył.

– Mamusia przechowała...?!

– A któż by inny? Od tego matką jestem. A jak mówisz, że ten nie żyje, już ci nie odbierze.

– To on nie zginął?

– Kto?

– Klucz!

– Nie zginął. Ja go mam. I dostaniesz go teraz, bo to dowód.

Zelmuś okazał głębokie poruszenie, wypił gwałtownie resztę soku jarzynowego, poprawił dziurawcem mamusi i opanował zakrztuszenie.

– I przez tyle lat mamusia nic nie powiedziała! To przecież ja... To mnie...

– Ty go dostałeś, ale tobie by zabrał, więc ja zadbałam. Teraz twoja kolej. Mnie już blisko do grobu, ale poczekam i masz się pośpieszyć. Stanowczość okazać. Zaczynasz natychmiast!

Nieco zaskoczony Zelmuś musiał uporządkować myśli, mamusia go zaskoczyła nagłą energią, nie zostawiła czasu na ułożenie planu, pogoniła zdrowo. Wielkim czynom w gruncie rzeczy był chętny. Kilka dni się jeszcze powahał, ale pani Rycheza nie przyjmowała do wiadomości żadnych argumentów, docisnęła porządniej. Żadnych sprzeciwów! Ona wie lepiej!

Zelmuś od dziecka był pewien, że mamusia wie lepiej. Za trzecią wizytą dał się przekonać ostatecznie.

* * *

U Feliksa pierwszy pojawił się Woźniak. Ściśle biorąc, był przekonany, że jest pierwszy i przez dość długą chwilę trwał w tym błędnym mniemaniu, nie śpiesząc się z załatwieniem sprawy, trochę zakłopotany własną, niepewnością. Mętne skojarzenie tajemniczego kluczyka, znalezionego w pęku kluczy denata u pani Paszczak i niejasna uwaga Feliksa o kłopotach,

jakich narobił mu dawno pan Bartosz przy spadku Rościszewskiej, gniotło go nieco i domagało się wyjaśnienia. Samemu sobie niechętnie przyznawał się, że gryzie go także zwykła, ludzka ciekawość.

Feliks wydawał się odrobinę skrępowany, ale od razu ożywiła go informacja o wykryciu sprawczyni i bardzo zgodnie podyskutowali sobie o nieobliczalności płci żeńskiej i osobliwych wybrykach, oraz potędze damskich uczuć.

Od pani Paszczak łatwo już było przejść do znaleziska. Woźniak zaprezentował kluczyk.

– Czy pan może widział to kiedyś u pana Bartosza?

Feliks, jako prawdziwy dżentelmen, nie ujawnił wstrząsu, poprzestał na okazaniu lekkiego wzruszenia. Obejrzał kluczyk z bliska i oddał Woźniakowi.

– Nietrafne pytanie. Sądzę, że widziałem to wielokrotnie, ale nie u pana Bartosza, tylko u siebie. Przyczyna mojej zgryzoty. Gdybym to zobaczył u tego... jak by tu... obecnie denata... natychmiast zażądałbym zwrotu. On to naprawdę miał?

– Naprawdę miał. Nosił razem z innymi kluczami.

– Bezczelność – zaopiniował ze zgorszeniem Feliks. – Momencik, zechce pan chwilę zaczekać...

Znikł za otwartymi drzwiami sąsiedniego pomieszczenia, w pełni zasługującego na nazwę gabinetu, a nawet biblioteki, po minucie wrócił i postawił na stole niezbyt dużą, ale najwyraźniej ciężką, pudełkowatą, żelazną szkatułkę. Umiarkowanie ozdobną i bardzo starą.

– To jest właśnie to! – powiedział z westchnieniem. – Oczywiście nie mogę mieć pewności, dopóki nie sprawdzę. Klucz zaginął już bardzo dawno temu.

Woźniak uczynił krok ku szkatułce i w tym momencie od strony kuchni pojawiła się Paulina z ogromnym półmiskiem, załadowanym stosem parujących, pachnących majerankiem pierogów. Wkroczyła do salonu, spojrzała na stół i na moment zastygła.

– O...?! – powiedziała głosem, który zabrzmiał mniej więcej tak, jak krótki, ostrzegawczy ryk lwicy.

Obaj, i Feliks, i Woźniak, w pierwszej chwili zaskoczeni upojną wonią, a trzeba trafu, że obaj wyjątkowo lubili majeranek, drgnęli silnie, nie tylko wewnętrznie. Woźniak na wszelki wypadek schował kluczyk, Feliks uczynił maleńki ruch, jakby chciał zagarnąć szkatułkę z zamiarem ukrycia jej na łonie, ale zrezygnował i zamarł. Tuż za Pauliną znalazła się Leokadia z zastawą stołową na wielkiej tacy. Spojrzała zza pleców siostry.

– O...? – powiedziała zupełnie innym głosem, pełnym zainteresowania i uciechy. Ominęła Paulinę i postawiła tacę z talerzami na drugim końcu stołu.

Stół był duży, z natury okrągły, ale rozciągany, i teraz właśnie rozciągnięty na całą długość. Mogły się przy nim pomieścić dwadzieścia cztery osoby, niekoniecznie szkieletowato chude, ale bez przesadnej nadwagi. Miejsca na nim było mnóstwo.

Paulina ruszyła marszowym krokiem, dotarła do stołu i łupnęła półmiskiem w sam środek długiego blatu. Jeden z pierogów ześlizgnął się ze stosu i przylepił do lśniącej politury, bo o rozłożeniu obrusa nikt najwidoczniej nie zdążył pomyśleć. Odwróciła się ku szkatułce, którą Feliks delikatnie przesunął ku sobie.

– No to dosyć tego i ja wreszcie chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy! – krzyknęła z wielkim gniewem. – Tajemnica, honorowe duperele, zmora mojego życia, ja chcę zobaczyć, co to jest! Cackasz się z tym jak ze śmierdzącym jajkiem, podobno wcale już tego nie ma, przede mną się

chowa, a tu proszę, jest! Całe lata to pudło się plącze i powietrze zatruwa, nie nasze, nie moje, nie twoje, a czyje?! Pudło dla ciebie ważniejsze ode mnie!

Zatchnęło ją, musiała nabrać tchu, złapała się za falującą klatkę piersiową. Z tych sekund skorzystała Leokadia.

– Pierogi stygną – zauważyła niewinnie. – Proszę, tu są narzędzia.

Wszystkim trzem osobom zaczęła wtykać do rąk ciężkie, staroświeckie widelce i podsuwać talerzyki, oraz malutkie kompotierki z marynowaną dynią, szurając nimi po gładkim blacie. Wszyscy zgłupieli do tego stopnia, że odruchowo przyjęli sztućce i dynię, Woźniak zdążył przytrzymać kompotierkę, która pojechała za daleko i już ześlizgiwała mu się na buty, Feliks swojej zastawił drogę szkatułką. Paulina zaczęła wymachiwać widelcem, kontynuując wyrzuty i żądania z rosnącym gniewem, przeplatanym rozżaleniem wręcz otchłannym, bo Feliks wciąż zajęty był kim innym i czym innym, zamiast nią, a tymczasem to ona powinna być najważniejsza i to przed nią nie ma prawa mieć tajemnic. I ona dłużej tego nie zniesie...!!!

Brzęknął gong u drzwi i Leokadia pośpieszyła otworzyć. Nie musiała daleko chodzić, z racji długości przedpokoju zamek u drzwi Feliksa otwierało się pilotem, wiszącym na małym łańcuszku na futrynie drzwi salonowych. Drugi pilot wisiał na futrynie drzwi kuchennych. Feliksa, przez jakiś czas niezbyt sprawnego fizycznie, okropnie krępowało długie trzymanie gościa za zamkniętymi drzwiami, a dotarcie do nich w celu otwarcia trwało, jego zdaniem, w nieskończoność. Pośpiech powodował nieznośne bóle kręgosłupa i paru innych drobiazgów, załatwił zatem sprawę radykalnie, znacznie przyjemniej dla obu stron, gościa za drzwiami i pana domu w środku. Bóle dawno minęły, ale piloty wciąż pozostawały w użyciu.

Leokadia, stojąc w progu salonu, z zaciekawieniem czekała na gościa. Baśkę poznała od razu, chociaż znajomość z nią zawarła dopiero nad głową z gąszczu pani Amelii, a później widywała wyłącznie w okolicznościach towarzysko nietypowych: przy ustalaniu tożsamości inspektowego kościotrupa. Nie była jednak tępadłem i z rozmaitych wzmianeczek, półsłówek, luźnych uwag, zdołała wywnioskować, że ta obca facetka ma coś wspólnego z Feliksem, który nie chce tego faktu ujawnić za żadne skarby świata. I z Bartoszem, którego Feliks znał. A zatem także z tajemnicą w postaci żelaznej szkatułki, o którą Paulina wścieka się od lat. Wszystko to mignęło jej w umyśle z szybkością błyskawicy i jej uciecha wzrosła, bo Leokadia uwielbiała rodzinne pierepały.

– Proszę, proszę – zachęciła Baśkę i na powitanie wręczyła jej widelec. – Pani Rościszewska, prawda? Zapraszamy!

Jak łatwo zgadnąć, Baśka nie zaliczała się do osób, które byle sztuciec mógłby załamać. Z zimną krwią i grzecznym podziękowaniem przyjęła widelec, weszła dalej, rozejrzała się po salonie. Ujrzała znajome osoby.

– Przyjęcie *ŕ la fourchette*? Nie byłam chyba przewidziana, ale proszę się nie martwić, nie jadam dużo...

– Pani Rościszewska – rzekł tępo Feliks z ukłonem niemal wersalskim.

W tej samej sekundzie Baśka dostrzegła Woźniaka, potrzebnego jej tu jak dziura w moście, i szkatułkę na stole przed Feliksem. Obaj panowie dzierżyli w rękach widelce.

Paulina zamilkła w pół słowa, znieruchomiała i wpatrzyła się w gościa, nie mogąc sobie na poczekaniu uświadomić, skąd tę dziewuchę zna, skoro jest kulawa. Jeśli ją zna, nie powinna być kulawa! Leokadia z szalonym zainteresowaniem oczekiwała dalszego ciągu sztuki, która najwyraźniej w świecie zaczynała się tu rozwijać przed jej oczami.

Tajemniczy głos wewnętrzny poinformował Baśkę, że trafiła na chwilę całkowicie niewłaściwą, ale za to prawdopodobnie ostatnią. W żadnym wypadku nie może teraz odwrócić się i wyjść bez słowa, wręcz przeciwnie, Woźniak, Feliks, atmosfera jakaś osobliwa... trudno, trzeba brać byka za rogi!

No i wzięła. Niedużego byczka wybrała i ujęła te rogi bardzo delikatnie.

– Przepraszam, że rzuciłam się na pana bez uprzedzenia – zwróciła się do Feliksa – ale to w zastępstwie telefonu, nie mam pańskiego numeru. O ile wiem, znał pan moją rodzinę. Chciałam namówić pana na taką dłuższą pogawędkę na tematy familijne, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Feliksowi tępota przeszła jak ręką odjął, ukłonił się ponownie.

– Z największą przyjemnością. Ja również mam w planach pogawędkę z panią. Na bardzo długi czas straciłem panią z oczu...

– A byłam panu potrzebna?

– Jeszcze jak! Już zaczynałem mieć obawy, że nie dożyję szczęśliwej chwili, ale udało mi się panią odnaleźć. Bardzo niedawno.

Baśka natychmiast okazała uprzejme zainteresowanie.

– Nad zwłokami pana Bartosza?

– W pewnym stopniu. Chociaż już wcześniej zyskiwałem trochę wiedzy. No i właśnie... zamierzałem... uzgodnić...

Trochę Feliksa zastopowało, bo za duże audytorium miał wokół siebie. Sam już nie był pewien, kto mu bardziej przeszkadza, Paulina z zapleczem w postaci Leokadii, czy Woźniak. Paulina flaki wywlecze i z niego, i z tej Rościszewskiej, a policja dosyć już wie i więcej jej nie potrzeba. Dziwaczna historia z ukrytym mieniem spadkowym, idiotyczne i całkowicie bezprawne klauzule i zastrzeżenia, no i jego przysięga, złożona człowiekowi na łożu śmierci, wszystko to razem tworzyło nieznośny galimatias. Zbyt duże pieniądze wchodziły w grę, żeby sprawę zostawić na

łasce losu, rozgłoszenie byłoby nieszczęściem, a gdyby jeszcze policja próbowała się wmieszać podejrzewając straszliwy przekręt, on sam, jako człowiek honoru, musiałby popełnić samobójstwo. A wcale nie miał na nie ochoty.

– Spotkanie – powiedział mężnie. – Uzgodnić spotkanie, bo też istotnie różnych komplikacji rodzinnych, których nie może pani znać, było mnóstwo. Ze skruchą wyznaję, że też jeszcze nie dotarłem do pani numeru telefonu. Poza tym zbrodnia, czekałem na zakończenie śledztwa i wykrycie sprawcy.

– Ja też...

Paulina poruszyła się nagle, uczyniła krok ku stołowi i trzepnęła widelcem w blat. Gniew jej wrócił.

– A to co ma znaczyć? Już wiadomo w końcu, kto go zabił na naszej działce? Dlaczego ja o tym nic nie wiem? Nowe tajemnice specjalnie przede mną? Ja pierogi gotuję, a ty znów tak...?!

Feliks łagodnie przestawił szkatułkę na mały, okrągły stolik, stojący bliżej drzwi balkonowych i dalej od Pauliny. Sięgnął po talerzyk, przełożył nań dwa pierogi z półmiska.

Woźniakowi w olśniewającym tempie przypominało się wszystko, co od Feliksa słyszał. Prywatnie i w zaufaniu. Przestępstwa w tym nie widział i nie miał chęci oglądać, zatem na razie wolał się nie wtrącać. Pomocą posłużyły pierogi, za przykładem pana domu nałożył sobie też dwa i czym prędzej spróbował.

Okazały się zaskakująco znakomite.

– Ach! – wyrwało mu się, zanim ktokolwiek zdążył jeszcze coś powiedzieć. – Ależ to arcydzieło!

Wyjął tym Paulinie z ust następną kwestię, nie łagodząc jednakże jej uczuć. Sama wiedziała, że arcydzieło, żadna nowość. Baśkę produkt

zaciekawił, ale nie miała do niego dostępu, w jednej ręce trzymała szwedkę, w drugiej cholerny widelec, staroświecki, a zatem duży i ciężki, trzeciej ręki jej brakowało. Leokadia dziubnęła jednego pieroga swoim widelcem, lekceważąc talerzyk, i od razu wróciła w pobliże drzwi, skąd miała najlepszy widok na całe towarzystwo.

– Czy ja się wreszcie dowiem, kto? – zasyczała Paulina głosem wściekłej żmii. – I czy to pudło...

Dla Baśki pudło zaczynało być elementem interesującym, wciąż wspomagał ją głos wewnętrzny. Przerwała Paulinie tak przenikliwie, że przebiła żmiję.

– Zakochana wielbicielka, którą odtrącił!

– Co...? Jak...?

– Tak zwyczajnie. W nerwach. Łopatą. Łopata jest rodzaju żeńskiego, może poczuła się też odtrącona i wpadła w furię...

Paulina wycelowała widelec w szkatułkę.

– A to pudło...?

– Tego tam nie było. I pudło jest rodzaju nijakiego.

– Ale w nim coś jest!!!

W szkatułce niewątpliwie coś było, jej zawartość jednakże znał wyłącznie Feliks, który konsumował swoje dwa pierogi bardzo wolno, delektując się, i oczywiście z pełnymi ustami nie mógł nic mówić. Wizja ukrywanych przez całe lata skarbów, klejnotów, diamentów, nasuwała się nieodparcie, a o tajemniczym spadku każdy coś słyszał. Dla Pauliny brak ścisłej wiedzy był śmiertelnym kamieniem obrazy.

Brzęknął gong u drzwi i Leokadia, która zaczynała się coraz lepiej bawić, czym prędzej użyła pilota. Drzwi otworzyły się z rozmachem i ukazała się w nich postać całkowicie nieoczekiwana i niespodziewana.

Mianowicie Zelmuś.

Wszedł śmiało i z godnością, długimi krokami pokonawszy przedpokój, zdumiewająco szybko znalazł się tuż przed Leokadią, która go nigdy w życiu nie widziała i nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Uroda Zelmusia rąbnęła ją obuchem, na bardzo krótki moment zamarła.

– O rrrrany... – jęknęła cichutko.

Jednakże uruchomiła się błyskawicznie, z impetem wtryniła gościowi swój porządnie oblizany widelec, bo nowym nie dysponowała, leżał za daleko, i cofnęła się w głąb salonu. Zelmuś bez najmniejszego oporu chwycił widelec, niczym broń podawaną przez giermka i zaraz za Leokadią pojawił się w drzwiach.

I potknął się. Nie wiadomo na czym, bo progów u Feliksa nie było, a dywany grubością niewiele się od siebie różniły, ale Zelmusiowi udała się ta sztuka. Upadku uniknął, czyniąc olbrzymi krok, a trzeba przyznać, że długości nóg natura mu nie poskąpiła, natychmiast potem drugi, i pochylony do przodu, żeby za nogami nadążyć, wyglądał przez chwilę, jakby pędził z zamiarem staranowania wszystkiego, co miał przed sobą.

Zatrzymał go stół, dostatecznie solidny, żeby nawet nie drgnąć. Zelmuś wsparł się biodrami o blat, góra poleciała mu jeszcze kawałek dalej, gibnął się, upuścił ściskaną pod lewą pachą wypchaną aktówkę, zaś orężem w wyciągniętej prawej dłoni bezbłędnie trafił w ów pierwszy pieróg, ten przylepiony do blatu. Pieróg łatwo się poddał, trysnęła z niego tylko odrobina tłustości, Zelmuś wyprostował korpus, potrząsając triumfalnie oderwanym od politury łupem, wbitym na widelec.

– Rozumiem, oto godne powitanie! – zaopiniował pochwalnie i wepchnął zdobycz do ust. – Ochkogałe, ałe ychkygło!

Jeszcze przez chwilę panowało milczące zaskoczenie.

– Ja go znam – oznajmiła nagle Paulina, jedyna, która bezbłędnie zrozumiała bełkot, celując widelcem w gościa i przechodząc na ton pełen

oburzenia i kąśliwy. – Widziałam go dwa razy. Kto to jest i co on tu robi? I co, może jeszcze mam odgrzewać mu to wystygłe?

Feliks sprężył się mocno, wysilił i przełamał wewnętrzną blokadę. Zdążył nawet pomyśleć, że najwidoczniej ma wyjątkowo zły dzień, ale jest tu panem domu i musi stanąć na wysokości zadania. Fatalne było tylko to, że nie bardzo wiedział, jakiego.

– Czy można zapytać, skąd się tu wziąłeś? – spytał grzecznie, acz cierpko i bez najmniejszego śladu zachwytu. – To dość nieoczekiwana wizyta. Słucham, co się stało?

Zelmuś zeżarł pieroga, rozejrzał się uważniej po otoczeniu i dostrzegł Woźniaka. Ukłonił mu się uprzejmie, po czym zauważył Baśkę. Jej również złożył ukłon, ale dopiero po chwili wahania i zdecydowanie mniej uprzejmy, wręcz niedbały. Reakcji żadnej nie spowodował, co go wcale nie obeszło.

– Oto widzę, że był już najwyższy czas! – oznajmił z wyraźną naganą. – Cierpliwie czekałem, ale nie doczekałem się najmniejszego odzewu. Zgłaszam się po swoje i doskonale się składa, że mam tu tak liczne i szacowne grono świadków. Nadeszła chwila przekazania mi całego mienia po pradziadku, skoro kandydatka na spadkobierczynię do tej pory nie spełniła nałożonych na nią warunków. W takim wypadku zaś, o ile wiem, dziedzicem jestem ja!

Wygłosił to przemówienie, potrząsając groźnie trzymanym w górze widelcem i triumfalnie rozejrzał się znów po otoczeniu. Otoczenie przyglądało mu się wzajemnie z tak bogatym asortymentem wyrazów twarzy, jaki w tej sytuacji był możliwy. Nikt nic nie mówił.

Feliks, mimo nieskazitelnej kindersztuby, znał doskonale wszystkie wyrazy, przez całe wieki skrzętnie omijane we wszystkich słownikach, i szedł w tej dziedzinie z duchem czasu. Na głos, szczególnie w przyzwoitym

towarzystwie, nie wymówiłby żadnego, ale w myśli obdarzył się teraz najgorszymi. W końcu sam siebie miał prawo lżyć i obrażać, ile tylko mu się spodobało i żadna kara mu za to nie groziła. Starannie wybrany zestaw ulżył mu nieco i mógł zacząć myśleć cenzuralnie.

Pechowy dzień, to już wiedział. Co za niefart jakiś straszliwy, żeby akurat w tej chwili wyjąć ze schowka i ukazać światu cholerną kasetkę, do której w ogóle nie zamierzał się przyznawać, to była poniekąd prywatna sprawa pomiędzy nim a świętej pamięci testatorem i włączona w nią mogła zostać wyłącznie Rościszewska. We właściwej chwili. Nie będzie mu tu ten debilny pomiot starej wiedźmy Rychezy niczego dyktował, co mu w ogóle do głupiego łba strzeliło i czy on przypadkiem nie wie zbyt dużo o niepotrzebnie wyeksponowanej kasetce...?

Debilny pomiot wiedział. Wskazał ją widelcem.

– Rozumiem oto, że wszyscy są takiego samego zdania jak ja, a spadek jest przygotowany! Przejęcie na własność mogę poświadczyć własnoręcznym podpisem i słusznie przybyłem w odpowiednim momencie!

Lewą ręką bardzo zręcznie otworzył wypchaną aktówkę, z której cały ściśnięty plik rozmaitych papierów wypsnął się jak żywy, z widoczną ulgą, znudzony zapewne ciasnotą. Woźniaka zainteresowało to niezmiernie, znał przecież ilość makulatury, którą Zelmuś dysponował, i zaciekawił się, jakim cudem zdołał ograniczyć się do jednej aktówki. Wciąż milczał, ale czujność zaczęła w nim rozkwitać.

Baśka oderwała się od stołu i uczyniła dwa kroki w kierunku małego stolika ze skarbem. Zatrzymała się, wsparła na szwedce i nie zwracając uwagi na papiery z aktówki, krytycznie oglądała sobie Zelmusia.

Paulina ruszyła się również, też bez słowa. Wolnym krokiem obeszła stół od drugiej strony i utkwiła za plecami Feliksa. Z dalszego spaceru zrezygnowała, a wyraz twarzy miała jakiś dziwny.

Atmosfera zaczynała nabrzmiewać potężnym, bezgłośnym napięciem.

– Wszystkie przedmioty w moim domu są moją własnością – odezwał się wreszcie Feliks głosem uprzejmie lodowatym. – I to ja nimi dysponuję, nikt inny. Skąd te pomysły przyszły ci do głowy?

Zelmuś się nadął.

– Wiem o tym od dawna. Wiem, że Barbara Rościszewska miała mnie poślubić i pod tym warunkiem otrzymać swój spadek. Mnie osobiście na niej nie zależy, dawno i przezornie z niej zrezygnowałem, jestem żonaty i posiadam rodzinę, wiem zaś, że w razie jej sprzeciwu, który już wyraziła, spadek należy do mnie. I wiem, że nikomu innemu nie jest dostępny, zadbano o to przed laty. Posiadam na to dowód zarówno na piśmie, jak i w naturze!

Odblokowany Feliks mógł już mówić.

– Bzdura. Na taki warunek żaden dowód obdarzony mocą prawną nie istnieje. Nie może istnieć, coś ci się pomyliło. Więc bądź łaskaw zaniechać zainteresowania cudzą sukcesją i nie rzucać się znienacka na mnie i na moich gości.

– Akurat! – prychnął Zelmuś z nowym wybuchem triumfu. – Mamusia mnie nakłoniła do upomnienia się o mienie, ona chce je zobaczyć, i ja na pewno nie zrezygnuję ze słusznych roszczeń! Wiem wszystko od nieboszczyka Bartosza i wiem, że nikt, poza mną, nie zdoła otworzyć szkatuły! Pan zdoła? Ja wiem, że nie!

– A ty sobie wyobrażasz, że majątek spoczywa w jakiejś szkatule?

– Ja wiem, że tak! Nie w jakiejś! W tej oto!

Czujność Woźniaka zaczęła wydawać owoce. Na razie niedojrzałe.

– Ten przedmiot w moim domu należy do mnie... – zaczął Feliks jeszcze bardziej lodowato, ale Zelmuś mu przerwał.

– Ale jego zawartość jest moja! I tylko ja mam dostęp! Posiadam dowód niezbity! Proszę, oto on!

Gwałtownie sięgnął do górnej kieszeni w marynarce, widelec mu przeszkodził, przełożył go do lewej ręki i wyszarpnął z kieszeni kluczyk. Uniósł go w górę, demonstrując świadkom, budząc zarazem żywe nadzieje, że od nadmiaru zuchwałego triumfu zaraz pęknie.

Woźniak nagle zrozumiał, dlaczego u nieboszczyka Bartosza nie było duplikatu. Wykonał go, owszem, i po jaką ciężką żółtaczkę ofiarował temu półgłówkowi? Zaraz... było coś. Rościszewska uciekła mu spod ręki, nie dała się wychowywać, nie uległa żadnej presji... Sprawę spadku znał. Za karę...? Ukarał ją za nieposłuszeństwo, jako narzędzie obrawszy Zelmusia...?

Wszystko to przemknęło mu przez myśl w ułamku sekundy. Uczynił krok do przodu.

– Ha! – zagrzmiał potężnie Zelmuś. – I zaraz to udowodnię!

Odczepił się od długiego stołu i rzucił w kierunku małego stolika z wyciągniętą ręką, z kluczykiem w palcach. I wówczas Baśka odezwała się pierwszy raz.

– Won!!! – zgrzytnęła wściekłym głosem i szwedka sama skoczyła jej w dłoni zamachem tak błyskawicznym, że wręcz nieuchwytnym dla oka. Złote gwiazdki na paznokciach zamigotały świetlistą smugą.

Pozycję miała idealną, prostopadłą do wyciągniętej ręki Zelmusia. Świst zabrzmiał złowieszczo, ze straszliwą siłą szwedka trzasnęła w wystający spod rękawa marynarki kościsty przegub. Zelmuś wrzasnął przeraźliwie, kluczyk wyleciał mu z palców, ręka opadła. Feliks znalazł się nagle pomiędzy nim a stolikiem, sobą osłaniając przedmiot sporu, Woźniak uczynił drugi, energiczniejszy krok i zamarł, Leokadia w tle kwiknęła z uciechy.

W Paulinie za plecami Feliksa cały czas rosło, pęczniało i w tym momencie pękło. Poznała tajemnicę, niczego z niej nie mogła zrozumieć, miała tego dość i szlag ją trafił monstrualny. Furia eksplodowała. Temperament Pauliny w razie potrzeby sam z siebie umiał działać szybko.

– O, dosyć tego...!!!

Chwyciła ze stolika ciężką, nieporęczną kasetkę i z pełną mocą, jaka w niej wezbrała, rąbnęła żelastwem w zamknięte drzwi balkonowe. Podwójna szyba nie stawiła oporu, kasetka z impetem poleciała w przestwór, odbiła się od balustrady balkonowej i runęła w dół. Razem z nią poleciał widelec.

Jak wcześniej wszyscy trwali w bezruchu niczym spróchniałe pnie, czyniąc najwyżej jeden lub dwa spokojne kroki, tak teraz nastało piekło na ziemi. Zamieszanie grawitowało w kierunku drzwi balkonowych, nawet Leokadia porzuciła swoje obserwacyjne stanowisko, uchwyconym ze stołu nowym widelcem z rozpędu dziubnęła w pośladek Zelmusia, miotającego się pomiędzy wyjściem na balkon a papierami, które razem z aktówką zleciały ze stołu. Drzwi balkonowe zacinały się złośliwie, Feliks rzucił się je otwierać nie w pogoni za skarbem, a w obawie utraty wszystkich szyb. Po drodze wpadł na Woźniaka, w pierwszej kolejności chwytającego spod stolika dowód rzeczowy. Na nich obu wpadła Paulina...

* * *

Chwilę wcześniej na wewnętrzny dziedziniec przed domem Feliksa wjechał Patryk. Nie zadzwonił przedtem i nie zawiadomił Baśki, że już jedzie, ponieważ wyładowała mu się komórka. Zaparkował rozsądnie, pod murem z przeciwnej strony, żeby móc łatwiej zawrócić, wysiadł i zaczął się zastanawiać, co teraz zrobić. Zaczekać cierpliwie, aż Baśka wyjdzie? Zatrąbić? Wjechać windą na trzecie piętro i znaleźć mieszkanie Feliksa? Na każdym piętrze były tu tylko po dwa mieszkania, wybór niewielki, tyle

wiedział. I co, zapukać czy zadzwonić do drzwi i przerwać w środku intymną rozmowę w cztery oczy? Bez sensu, może okazać się szkodliwe.

Nawiasem mówiąc, gdyby wiedział, jak przebiega intymna rozmowa, wjechałby i zadzwonił z pewnością...

Zapalił papierosa, przespacerował się po dziedzińcu, pomyślał jeszcze trochę i podjął decyzję. Wjedzie, znajdzie drzwi, jest tam zapewne jakaś wizytówka, zgłosi, że już jest, spokojnie czeka na dole i pójdzie sobie. Taka drobnostka zaszkodzić nie powinna.

Bez pośpiechu ruszył w kierunku wejścia. Brakowało mu kilku metrów, kiedy znienacka nad głową usłyszał trzask, brzęk, i prawie pod jego nogami coś z hukiem i szczękiem łupnęło w bruk. Spojrzał w górę, ale nic nie zobaczył, bo widok zasłaniały balkony, spojrzał zatem w dół.

Szkatułka była rzeczywiście bardzo stara i podróż z trzeciego piętra nie wyszła jej na zdrowie. Nie rozleciała się, cóż znowu, rdza jednakże gdzieś jej się zapewne wkradła, bo pękły zawiaski. Wieko, trzymane zamkiem, lekko odskoczyło, a wszystko razem, trafiwszy w kamienie narożnikiem, odrobinę zmieniło pierwotny kształt. Pojawiła się szpara, przez którą zawartość wychyliła swoje oblicze.

Patryk nie dostał zawału i nie wydał z siebie żadnego krzyku, docenił tylko cud, że nie znajdował się te kilka metrów dalej i to całe żelastwo nie trafiło go w głowę. Bez wątpienia również wystawałaby z niej zawartość, i to znacznie obficiej. I chyba nieodwracalnie.

Na balkonie trzeciego piętra zaczynała się jakaś kotłowanina i dobiegały stamtąd niewyraźne hałasy. Patryk cofnął się ku środkowi dziedzińca kilkanaście kroków i z większej odległości zdołał już dojrzeć coś, co robiło wrażenie bitwy kilku osób w bardzo niewygodnej ciasnocie. Baśki nie widział, zresztą nikogo wyraźnie nie widział, najwyżej jakby kawałki rąk i głów, spośród których wyleciał drugi widelec i brzęknął tuż przy skrzynce.

Spojrzał znów na skrzynkę. Ze szpary wyłaziły jakieś papierki, bardziej i mniej sztywne, niektóre delikatne, różnego kształtu. Musiało ich tam być dużo, jeden, trójkątny, wypadł całkowicie. Wiał wiatr, niezbyt silny, ale dostateczny, żeby nim poruszyć, ponadto kropił malutki deszczyk. Patryk pomyślał, że jeśli owe papierki zamknięto w tak solidnej szkatule, niewątpliwie musiały być ważne, bez względu na to, dla kogo, jeżeli teraz dogodzi im wiatr i deszcz, to chyba nie będzie dobrze. Nie zastanawiając się dłużej i nie spoglądając w górę, zdjął z siebie ortalionową kurtkę, zgarnął na nią całość razem z dwoma widelcami, owinął starannie i zaniósł do samochodu. Na wszelki wypadek.

Zatrzasnął drzwiczki, odwrócił się i w wejściu do budynku ujrzał Baśkę. Nie wybiegała na zewnątrz, wzywała go niecierpliwym machaniem. Zaciekawienie sprawiło, że podszedł szybkim krokiem.

– Bardzo dobrze zrobiłeś – pochwaliła już z daleka z satysfakcją i zaciętością. – To nasze, ale nie mam klucza. Odjeżdżamy, jakoś tak, żeby z góry nie widzieli.

– Co tam się stało?

– Dużo. Później ci powiem. Czekaj, może ja się przewałkuję pod ścianą, a ty sam odjedź, na ulicy wsiądę...

– Mamy to ukraść? Co to jest?

– Wszystko jedno! Mam gdzieś testamenty, klauzule i tę starą megierę z zezowatym kretynem! On już tu leci, ruszaj, zawracaj!

Gorączkowość wypowiedzi spowodowała, że Patryk więcej nie pytał, spełnił rozkaz, uznawszy, że na gadanie zawsze będzie czas. Wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiczkami, zawrócił...

Z góry lecieć owszem, leciał, ale nie zezowaty kretyn, tylko Woźniak. Wyprysnął z budynku w tempie zbliżonym do lotu szkatułki i omal nie

wpadł Patrykowi pod koła. Patryk stanął na hamulcu, Woźniak wsparł się o drzwiczki pasażera.

– Zabierać się z tym nabojem i jazda! – polecił ostro, podczas gdy szyba okna zjeżdżała w dół. – Popełniam wykroczenie. Do domu, przyślę do was Feliksa, czekajcie na niego, on tam zaraz będzie. Już, już!

Nie zmniejszając tempa zawrócił do budynku. Patryka zdziwiła nieco niezwykła zgodność policji i jego niekoniecznie praworządnej obecnie już żony, tym bardziej zatem nie protestował. Dogonił Baśkę prawie na ulicy, wsiadła, ruszył ostro.

– Czy te widelce, które też leciały z góry, stanowią część twojego spadku? – spytał z zainteresowaniem tak zachłannym, że nie zdołał go opanować.

Dzięki czemu opowieść o przyjęciu u Feliksa Baśka rozpoczęła z lekkim opóźnieniem.

* * *

U Feliksa rządził Woźniak.

Jako pierwsza z balkonu wyjrzała Paulina. Wyjrzałaby Leokadia, która od razu pośpieszyła we właściwym kierunku, ale nie udało jej się otworzyć zacinających się drzwi, otworzył je Feliks. Paulina brutalnie odepchnęła i jego, i siostrę, i przedarła się na balkon. Spojrzała w dół, nie zobaczyła nic, nie przyszło jej do głowy, żeby rzucić okiem w kierunku wyjazdu na ulicę, gdzie dostrzegłaby jeszcze oddalający się samochód Patryka, cofnęła się gwałtownie i z całej siły walnęła ciemieniem w brodę pchającego się za nią Zelmusia. Wśród wzajemnych kontrowersji skutecznie zatarasowali drzwi balkonowe, Feliks zaś został niejako na tyłach.

Wpadający z powrotem do mieszkania Woźniak skorzystał gorliwie, zdążył się z nim porozumieć, w dwóch słowach osiągając pełną aprobatę.

Wpadł bez przeszkód, wybiegając bowiem z niezwykłą przytomnością umysłu chwycił pilota z futryny drzwi kuchennych.

Pilota z drzwi salonowych zabrała Baśka.

Woźniak swojego zwrócił, Baśka nie, nie miało to jednakże większego znaczenia w obliczu występów Zelmusia, który kategorycznie odmówił opuszczenia apartamentu Feliksa.

Feliks zaś zawahał się przed opuszczeniem własnego domu, o ile w środku ma pozostać Zelmuś. I trudno mu się było dziwić.

Wątpliwe jest, czy sytuacja rozwikłałaby się przed końcem świata, gdyby nie Leokadia, która sama już nie wiedziała, czy w tej pięknej farsie woli być widzem czy aktorem. Właściwie podobały jej się obie role i bawiła się wręcz szampańsko. Wkroczyła w sam środek histerycznych wybuchów Zelmusia, wrzeszczącego o połamanej ręce, machającego tą ręką niczym wiatrakiem, do głębi wstrząśniętego zniknięciem kluczyka i posądzającego o jego kradzież wszystkie osoby obecne i nieobecne, a także siłę nieczystą.

– Dwa widelce też przepadły – rzekła tak przenikliwie i z tak potężnym naciskiem, że Zelmusiowi na chwilę odebrało mowę. Widelce...! Ciężkie...! One mogły być srebrne...!!!

Przy okazji nie omieszkała dołożyć sobie uciechy.

– A w ogóle o co chodzi? – zwróciła się do Feliksa złośliwie, aczkolwiek miało to brzmieć kojąco. – Możesz przecież spokojnie wyjść i zostawić tu nawet zbója Madeja, bo my nigdzie nie idziemy. Też zostajemy. Raz wreszcie powiedzmy sobie szczerze i przestańmy ukrywać, że Paulina jest tu u siebie. Od prawie czterdziestu lat...

– Trzydziestu siedmiu – skorygowała gniewnie Paulina.

– Od trzydziestu siedmiu lat twój dom jest jej domem i żyjecie ze sobą cały czas z małymi przerwami. Wielkie mecyje, w twojej szafie leżą jej

majtki, halki i nocne koszule, pół łazienki zajęte na jej kosmetyki, możecie się kłócić i obrażać, ale tej swojej wspólnocie nie dacie rady. Wyobrażasz sobie, że ona dopuści do jakiejś szkody w waszym wspólnym domu? Rumcajsa też tu możesz zostawić razem ze smokiem wawelskim i gronem imprezującej młodzieży, i przekonasz się, kto tego pożałuje. A ja sobie chętnie popatrzę.

Feliks przydusił zakłopotanie, jako dżentelmen o przedwojennym wychowaniu nie powinien wszak kompromitować damy, ale trudno, inne czasy nastały. Znał Leokadię, wiedział, czego może się po niej spodziewać... no, nie całkowicie... znał jeszcze lepiej Paulinę i tu miał pewność, że raczej zastanie po powrocie poszarpane szczątki Zelmusia, niż jakąkolwiek szkodę w swoim domu. Ugiął się.

Zelmuś jednakże nie popuścił. Zaprotestował. Kategorycznie zabronił Feliksowi opuszczenia mieszkania, dopóki ma w nim gościa, a gościem jest on, Anzelm Klucznik. A on zamierza tu zostać, dopóki nie odzyska swojej własności!

W rezultacie Woźniak musiał rozdąć nieco swoje wykroczenie i uczynić Feliksa podejrzanym. Tak właśnie jest, nie mówił tego dotychczas wyraźnie wyłącznie z grzeczności, chciał załatwić subtelnie, ale w zaistniałej sytuacji... Służbowo zabiera go na komendę i nie ma gadania, liczy na rozsądek podejrzanego i nie zakuje go w kajdanki, ale jeśli spotyka się z tak gwałtownym protestem osoby postronnej, najwidoczniej osoba postronna coś w tym ma, składała fałszywe zeznania i nic nie stoi na przeszkodzie doprowadzić na komendę dwóch podejrzanych. Panowie idą dobrowolnie, czy ma wezwać wsparcie?

Z Zelmusia wpływ mamusi nagle wyparował. Pozostawiony samemu sobie, zgłupiał z tego wszystkiego radykalnie i czym prędzej wycofał protesty. Padł bezsilnie na krzesło i ze zdenerwowania nie wiedząc, co

czyni, pożarł jednego pieroga, potem drugiego, sięgnął po trzeciego... Widelce umknęły jego uwadze, chwytał pożywienie palcami i pchał do gęby z wielką gwałtownością.

Kiedy wielce poruszony, ale pełen ulgi Feliks wrócił po bardzo krótkiej wizycie u Baśki i Patryka, nie było już ani gościa, ani pierogów.

– Ugotuję drugie – obiecała wspaniałomyślnie Paulina. – Farsz jeszcze mam, bo chciałam zrobić taki klops, ale mogą być pierogi. Pół godziny wystarczy i akurat czerwone wino odetchnie.

Zdarzały jej się wypowiedzi bardzo rozsądne.

– A te brednie, które nam tu odmóżdżony sukcesor serwował, warte były wagonu pierogów, więc nawet mu nie żałuję – dołożyła Leokadia, rozweselona niebotycznie. – Gdyby nie pan – zwróciła się do Woźniaka – on zostałby dłużej, ale coś panu pobrzękiwało w kieszeni, pewnie kajdanki?

– Nie. To moje własne klucze. Kajdankami się nie brzęczy...

– Nie szkodzi, on myślał, że to kajdanki i bał się coraz bardziej. Dobrze, że pan tak szybko wrócił. No, to teraz sobie porozmawiamy!

Przygnieciony ciężarem odpowiedzialności Woźniak przez cholernego Zelmusia tak błyskawicznie wrócił do domu Feliksa, nie wstępując nawet do Baśki. No i udało mu się wreszcie gościa wystraszyć. Doczekał powrotu Feliksa, doczekał nowych pierogów i zyskał pewność, że stanowczo woli rzetelnych, porządnych morderców, niż tę szatańską, niewinną rodzinę.

I niczego bardziej nie pragnął, jak tylko ukojenia przy boku Marlenki. Jego straszne wykroczenie miało charakter prywatny, nie służbowy, nie musiał utrzymywać go w tajemnicy, mógł się podzielić doznaniami. Tylko Marlenka...

Paulina i Leokadia pokazały, co potrafią, ale i tak żadnego ukojenia się nie doczekały, obaj panowie bowiem wykazali się niezwykłą

małomówności i dyplomatycznym krętactwem wielkiej klasy. Leokadia poszła wreszcie po rozum do głowy.

– Nic nie powiedzą – rzekła na stronie do Pauliny. – Coś mi się widzi, że najwięcej wie nasza wspólna siostrzenica. Zaprzyjaźniona jest z tą Rościszewską, a z nieboszczykiem żyła ileś tam lat, chociaż go ukrywała, więc niech się nie wykręca. Trzeba ją złapać i porządnie przydusić.

Dzięki czemu relację o wydarzeniach uzyskałam bardzo szybko i niejako trójstronną...

* * *

U Baśki na stole tym razem, oprócz nowego stosu papierów, leżała lekko zdemolowana szkatułka. Opróżniona chyba całkowicie, można było zajrzeć do jej wnętrza przez szparę od strony zawiasków, zameczek wciąż trzymał.

Tknął mnie widok szkatułki, ale na razie nic nie powiedziałam.

– On się upiera, że tam jeszcze coś jest – powiedziała z irytacją Baśka, znów siedząca przy stole, wsparta łokciami na wolnym skrawku mebla. – Może i jest, ale nawet jeśli, wątpię, czy to ten skarb, upragniony przez parszywego Zelmusia. Sama zobacz. Co do reszty, drogocenności widać gołym okiem.

Gestem brody wskazała papierową obfitość.

Zajrzałam, nic nie zobaczyłam, w środku było ciemno, ale nie poczułam rozczarowania, bo i tak na wielki majątek, w postaci na przykład brylantów jak gęsie jaja, szkatułka była za mała. Skąd w ogóle pomysł, że mieści się tam cały spadek?

– Jeśli głupek miał ją w ręku, mógł tak sobie wyobrazić – wyjaśnił Patryk, zajęty przy kredensie gospodarstwem domowym. – Ciężka jak piorun sama z siebie, cholernie grube żelastwo. Musiałaby być ze złota, ale nie jest. Sprawdziłem.

– Od początku byłam zdania, że ona zawiera informacje, a nie precjoza. Informacje, jak widzę, tu leżą...

– Upchane były strasznie ciasno. A tam się jakiś papierek mógł przylepić, nie da rady sięgnąć, ani wydrapać, ani uchwycić, ale nie szkodzi. Rozbiorę to na kawałki.

– Mam gdzieś papierek – westchnęła Baśka gniewnie. – Niepotrzebnie pozwoliłam sobie na wszystkie zwierzenia. Pomyślą, że się ugięłam. Może i ugięłam, ale to moja osobista sprawa i zezowatej gropie nic do tego!

Zaciekawiła mnie.

– Co masz na myśli?

– No dobrze, to już się zwierzę i tobie do końca. Feliksowi powiedziałam, bo o mało się nie rozleciał ze zdenerwowania, a na co mi tu jeszcze więcej śmieci. Jestem w ciąży. Krótko, ale jestem i urodzę to coś. Tak postanowiłam, więc się uspokoił.

Oderwałam wzrok od papierowego śmietnika.

– Od kiedy wiesz?

– Od przedwczoraj. Domyślałam się już dwa tygodnie, przedwczoraj się upewniłam.

Z całego serca pochwaliłam decyzję, która mnie wcale nie zdziwiła, chciwym okiem wróciłam do makulatury. W nosie miałam informacje o skarbach, obchodził mnie wyłącznie domek myśliwski, bo na jego tle dostałam istnej obsesji. Chciałam go znaleźć, chciałam do niego dotrzeć, obojętne jaką drogą, chciałam go obejrzeć na własne oczy. Musiała mi dokopać jazda do wiatrołomu i z powrotem bardziej niż sądziłam.

– Ale ten Zelmuś miał rację – powiedział promienny Patryk, ustawiając rozmaite napoje na wolnym skrawku stołu. – Chociaż tylko połowicznie, jednak miał.

Baśka skrzywiła się i pomamrotała coś pod nosem. Zażądałam wyjaśnień.

– Feliks zostawił nam dwa klucze do tej szkatułki, komisarz mu oddał oba i okazało się, że żaden nie pasuje. Gdyby nie Paulina...

Tu się zdziwiłam, bo trudno było uwierzyć, że Bartosz aż tak się pomylił. Dorobił niewłaściwy kluczyk na wzór niewłaściwego kluczyka? Niemożliwe. Chyba, że Zelmusiowi chciał zrobić złośliwość...

Tknęło mnie silniej. A może jednak naprawdę się pomylił...?

Patryk uczynił przypuszczenie, że podróż z balkonu, naruszając wieko szkatułki, naruszyła i zamek. Stanowczo zapowiedział, że sprawdzi, rozbierze całe ustrojstwo na czynniki pierwsze i spróbuje dopasować do siebie te wszystkie ząbki. Bo jeśli nic się nie uszkodziło, a kluczyk jednak nie działa, Zelmuś naprawdę miałby rację, nikt do pudła nie zajrzy. Co prawda, on sam również nie, ale zaczęłaby się niezła kołomyja, Paulinie należą się chyba gorące podziękowania.

– W ogóle uważam, że porządna furia bywa bardzo użyteczna – stwierdziłam kategorycznie, pamiętna własnego rozstawania się z Bartoszem. – Gdyby nie uciekł w panice przed moim następnym atakiem, pani Paszczakowa nie nabrałaby aż tak wielkich nadziei...

– O ile wiem, gdybyś i ty się nie zmyła – wytknęła grzecznie Baśka.

– No, owszem. Ale to też z wściekłości. Gdyby nie przeszło z niej na łopatę...

– I gdyby nie Paulina – uparł się Patryk. – Urocza kobieta!

Baśka zgodnie kiwnęła głową.

– W porządku, mogłabym się pożegnać ze spadkiem, bo za grosz nie wierzę, że Feliks by mnie znalazł. A to pudło nie dałoby się otworzyć. Nie wiem, co on sobie właściwie myślał...

– Ze i tak już wszystko diabli wzięli, więc nie ma co się wygłupiać – zaopiniował Patryk, wciąż rozradowany tak, jakby snuł same optymistyczne prognozy. – Ludzka rzecz, te wszystkie wojny z przyległościami... Pomożesz nam trochę? – zwrócił się nagle do mnie.

Zapewniłam go, że przy domku myśliwskim ma to jak w banku.

– Dodatkowe informacje posiadamy od pani Amelii – przypomniałam. – Nie chcę się wtrącać w wasze majętności, parszywemu domkowi jednakże nie popuszczę, ostrzegam was. Znajdę tę ruinę, bo inaczej chora będę! I w ogóle radzę wam jechać mną, bo mam wyższe zawieszenie...

* * *

Znaleźliśmy domek.

Niewątpliwie został kiedyś wybudowany z kamienia, jako niezwykle porządna budowla, wyjątkowo solidna, bo ząb czasu, mimo wyraźnych starań, nie dał jej rady w pełni. Nawet dach przeciekał tylko częściowo, a i to w miejscu, gdzie zwalił się na niego wielki konar drzewa. W kwestii kominków wykryty u pani Amelii kawałek pamiętnika młodej dzieweczki mówił samą świętą prawdę.

Patryk wykazał się sprawnością fizyczną zgoła nadprzyrodzoną, tyle że ruszt musieliśmy wyciągać wszyscy troje wspólnymi siłami, później jednak pracował już sam, starając się zbyt głośno nie stękać. Trzeba przyznać, że gdyby nie szczegółowe instrukcje, żadna ludzka siła nie trafiłaby do skórzanego wora i jego zawartości.

Nie został wyciągnięty w całości, za jednym zamachem. Patryk wystawił głowę z kominka i powiedział: – To jest nie do ruszenia. Przymurowane. Stanowi monolit z całą resztą kuli ziemskiej. Czy pozwolisz – zwrócił się do Baśki – że będę wyciągał garściami?

– Jeśli to coś daje się wziąć w garść, nie mam zastrzeżeń – odparła Baśka łaskawie.

Głowa Patryka znikła, a po chwili ukazała się ponownie, żądając jakiegoś naczynia, pudełka, torby, czegokolwiek. Foliowe torby zaakceptowała, przyniosłam wszystkie, jakie znalazłam w samochodzie.

– Popatrz, wygląda jak diabeł – zwróciła mi uwagę Baśka, podając głowie i przynależnym do niej rękom opakowania. – Gdyby miał rogi, uciekłabym z krzykiem.

– No, no, tylko nie rogi – oburzyła się głowa i znów znikła.

Wszystko miał czarne, twarz, włosy i ręce. Czerń była niejednolita, chociaż z pewnością najstarsza, łamały ją nieco młodsze odcienie szarości, brązu i zieleni. Rozpoznałam je jako zwyczajny kurz, także pleśń, mursz i rdzę i nie mogłam tylko pojąć, jaki interes miały tam pająki, bo pajęczyna też była. Skąd w głębi komina brały pożywienie?

Patryk podawał nam obciążone spadkiem reklamówki, wór ujrzałyśmy na końcu. Wcale nie był taki duży. Wnioskując z jego zawartości, mienie musiało pochodzić z czasów dobrze sprzed rewolucji, bo stanowiły ją wyłącznie carskie imperiały, złote dziesięciorublówki. Jak z wszelkich przekazów historycznych wynika, tłuczono ich znacznie mniej niż półimperiałów, pięciorublówek, w czasie drugiej wojny światowej zwanych w polskim narodzie świnkami. Wiedzieliśmy o tym wszyscy troje z rozmaitych źródeł i ów cenniejszy bilon spotkał się ze zgodną aprobatą.

Patryk wylazł wreszcie razem z worem, na dnie którego pobrzękiwały resztki skarbu. Wysypał je na podłogę i z podziwem obejrzał opakowanie.

– Ciekawe, co to za skóra. Tyle czasu wytrzymała? Popatrzcie, gruba, a wcale nie taka twarda, jak powinna być. Jakie to mogło być zwierzę, bo wół mi nie pasuje?

– Egzotyczne – stwierdziła Baśka. – Nosorożec?

Podsunęłam hipopotama, Patryk niepewnie opowiedział się za słoniem. Rozważyliśmy kandydaturę niedźwiedzia polarnego i posprzeczaliśmy się trochę, co ważniejsze, mróz czy afrykańskie kolce. Nie udało nam się rozwiązać zagadki, dzięki czemu wszyscy odzyskali przytomność umysłu.

Spadek Baśki okazał się prawdziwy i był to niewątpliwie rodzaj cudu. Mógł się przytrafić wyłącznie dzięki ukrytej w mateczniku ruinie domku myśliwskiego, do którego dojazd pozornie nie istniał, trzeba było wiedzieć, że on tam jest, względnie powinien być, żeby pchać się w śliskie błoto nad samym jeziorem. Stuletni pień teraz już tam nie leżał. Z niechęcią musiałam przyznać, że Bartosz miał rację, innej drogi nie było, a wjechałam przedtem w zbite gąszcze, żeby udowodnić, że nie miał racji. Nie najlepiej mi upragniony dowód wyszedł, a te wszystkie racje całkiem nieźle zdewastowały mi lakier na całej karoserii.

– Nawet gdybym nic więcej nie znalazła, ten kominkowy farsz chyba nam wystarczy – powiedziała Baśka już w domu, kiedy udało nam się policzyć majątek. – Jak Boga kocham, czegoś takiego się nie spodziewałam. Nie mam pojęcia, ile to złoto może kosztować, ale uważam, że dużo. O ile to rzeczywiście złoto?

– Sądząc po wadze, raczej tak, to jest jakieś sto siedemdziesiąt kilo najmarniej – ocenił Patryk na oko. – Nic dziwnego, że nie mogłem wyciągnąć całości z tej ciasnoty, w której siedziała. Nie trenowałem wyszarpywania ugrzęźniętych ciężarów.

Zwróciłam im uwagę, że mogą się wśród monet pospolitych znaleźć cenne numizmaty, warto zatem, nim zaczną znalezisko upłynniać, postarać się o katalog numizmatyczny i sztukę po sztuce obejrzeć. Spodobał im się ten pomysł. Siedzieliśmy nad skarbem wciąż jeszcze nieco otumanieni sukcesem i niemrawo gmeraliśmy w papierkach z opróżnionej już szkatułki.

Postać papierków stanowiła urozmaicenie doskonałe, format od małych strzępków do całych sztywnych arkuszy, elegancko poskładanych na czworo, a nawet na ośmioro. Informacje na nich zawarte również miały oblicze niejednolite, od zwykłego słowa pisanego, poprzez liczby, wskazówki geometryczne i starannie wykonane fragmenty mapek, aż do artystycznych rysunków detali architektoniczno–budowlanych. Nigdzie natomiast nie było podane, co w wyjawionych miejscach zostało ukryte.

– Piękna robota – pochwaliłam. – Będziecie szukać?

– Ja będę – zapewniła Baśka. – Z samej ciekawości. I Patryk pewnie też z ciekawości, bo taki strasznie chciwy nie jest.

Spojrzałam na Patryka. Wciąż był nadziemsko rozanielony.

– Ale blask od niego bije – zauważyłam podejrzliwie.

– To nie dlatego – wyznał radośnie Patryk. – To przez ciążę. Słuchaj, nie wyobrażasz sobie, jak ja marzyłem o dzieciach! Nic nie mówiłem, ale tak bezgranicznie, tak straszliwie chciałem mieć dzieci. I to z nią, z nikim innym! Chociaż troje, ale i jedno dobre, zawsze to jakiś początek. Kocham dzieci bardziej, niż ty kocięta!

– O rany boskie...

Baśka, nie zwracając na nas uwagi, ciągnęła swoje.

– ...bo, rozumiesz, po znalezieniu tych drobnostek przy ogarku w grobowcu dziadka...

– Pradziadka – poprawił Patryk.

– Wszystko jedno. Przodka. Myślałam, że to będą takie kawałki, tu parę pierścionków, tu naszyjniczek, tam złoto, sztabki czy bilon, byle jakie toporne wyroby, razem się coś uzbiera, o ile ocalało. No więc jestem trochę wstrząśnięta, ale już tylko sama ciekawość mnie żre, a nie obawy o śmierć głodową. I od razu ci powiem prawdę, bardzo liczę na to, że nam jeszcze trochę pomożesz.

– W dzikie puszcze już nie wjeżdżam!

– Nie, ja mam na myśli te szpargały. Połapiesz się w tych obrazkach z przyległościami na pewno prędzej niż ja, szczególnie dzieła Bartosza łatwiej zrozumiesz. Co ty na to?

– Z tamtego świata będzie przeszkadzał – mruknęłam, ale zgodziłam się oczywiście, lubiłam takie śmieszne zagadki. – Ale korci mnie jedna myśl.

– I co z tą myślą mamy zrobić?

– Z myślą, nic – wskazałam pustą szkatułkę. – Pożyczcie mi któryś kluczyk od tego. Na trochę, pojutrze wam oddam, a może nawet jutro.

– Mogę ci pożyczyć nawet oba na całą resztę życia – oznajmiła Baśka wspaniałomyślnie i podsunęła mi dwa kluczyki. – Chyba że gliny się upomną o jeden, bo zdaje się, że to dowód rzeczowy.

– Wybrakowany – zaopiniował stanowczo Patryk.

Zabrałam oba kluczyki i pojechałam do domu.

* * *

Jeszcze w początkach znajomości Bartosz dostrzegł moje maniackie upodobanie do rozmaitych pudełek, szkatułek, kasetek i tym podobnych zasobników i podarował mi ozdobną, żelazną szkatułkę, którą sam wykonał. Ciężka była jak piorun i zachwyciłam się nią uczciwie. Zamykała się na kluczyk, kluczyków zrobił dwa na wszelki wypadek, bo gdybym jeden zgubiła, zostanie mi zapasowy, dorobił nawet do nich śliczne kółeczko, łatwe w obsłudze. Z przyjemnością udawałam roztargnioną idiotkę, która gubi absolutnie wszystko, przyjęłam prezent i nigdy nie zdjęłam z kółeczka żadnego kluczyka. Gorzej. Ani razu nie spróbowałam zamknąć szkatułki na klucz zapewne dlatego, że największą drogocenność, jaką w niej ukryłam, stanowiły stare lichtarze do świeczek choinkowych, które dawno należało wyrzucić. Nie wyrzucałam, bo były, bądź co bądź,

rodzinną pamiątką czasów minionych i powoli przeistaczały się w antyki. Wtykane w nie świeczki rok w rok nieuchronnie powodowały niewielki pożar, do którego rodzina przywykła i wielki gar z wodą zawsze stał pod ręką.

Na lichtarzach spoczywały oba kluczyki razem z kółeczkiem.

Tknięcie na widok kluczyków Baśki wzięło się stąd, że w pierwszej chwili dostałam tylko jeden, później zaś Bartosz doszedł do wniosku, że przyda mi się i drugi, zabrał ten jeden, do siebie, po czym przyniósł mi dwa razem z kółeczkiem. Wrzuciłam je do środka i tak zostało.

Udało mi się znaleźć szkatułkę już po godzinie poszukiwań wyłącznie dzięki temu, że była dość duża i twarda, nie trzeba było wszędzie zaglądać, wystarczyło pomacać. Stała sobie na najwyższej półce w ściennej szafie wśród kapeluszy, bardzo rzadko używanych. Zdjęłam ją.

Kluczyki leżały na lichtarzykach, jak powinny, i dobrze zgadłam. Żaden nie pasował. Użyłam kluczyków Baśki, zamykały i otwierały pudło z największą łatwością. Musiał je Bartosz mieć pod ręką i dorabiać wszystkie razem, równocześnie, i to nie ja byłam roztargniona, tylko on. Gdyby żył, zapierałby się zadnimi łapami, że wywinął ten numer specjalnie, w sobie tylko wiadomych tajemniczych celach.

Gdyby żył... Baśka miała rację, gdyby nie zszedł z tego świata, w życiu nie odzyskałaby spadku, Bartosz za dużo o nim wiedział. Do czegoś ta wiedza była mu potrzebna. O, nie ukradłby majątku, broń Boże, nie przywłaszczyłby sobie w żadnym wypadku, za to mogłam gwarantować, ale panowałby nad nim. Miałby władzę, ach, cóż za upojna świadomość! I może wyciągałby ze skrytek i chował gdzie indziej, żeby wstrętna spadkobierczyni nie mogła niczego znaleźć. Za karę. Stawiła opór, nie pozwoliła się wychowywać, robiła co chciała, nie bacząc na jego starania, nie uległa jego urokowi, podważyła doskonałość władcy. Jeszcze takich ze

dwie i rozsypałby się na drobne kawałki, nie mógł tego zostawić odłogiem! Bezwiednie mu w tym pomagałam, przepychając się przez rozmaite wądoły nie wiadomo po co, i teraz właśnie przypominały mi się różne drobiazgi, strzępy uwag, dziwoląg, w których wówczas nie widziałam żadnego sensu. Teraz mi się dopiero objawiły nad szkatułką z dwiema parami kluczyków.

Pani Paszczak wyświadczyła Baśce kolosalną przysługę. Szczęśliwie się złożyło, że miała pod ręką łopatę, niczym innym nie załatwiłaby sprawy równie skutecznie.

Chyba że mieczem. Dwusiecznym...

Oddałam im właściwą parę kluczyków razem z kółeczkiem i wyjaśnieniem sprawy, a Patryk naprawił zdemolowaną szkatułkę. Papierek uczepiony dna okazał się nieważny, zawierał komunikat o grobowcu z ogarkiem. Stracił aktualność.

Baśka z Patrykiem ruszyli na poszukiwania, ułatwione wskazówkami z kasetki bardziej, niż ktokolwiek spodziewał się w najśmielszych oczekiwaniach. Zdumiewający był fakt, że więcej niż połowa ujawnionych skrytek aktualności nie straciła. Co prawda, znajdowały się w nich, tak jak Baśka sądziła, drobnostki, ale każda z tych drobnostek bez trudu mogła się zmienić w nowy samochód. No, marki byłyby różne. Bratu Patryka zabłysła wielka nadzieja.

No i gdyby nie łopata, wątpliwe jest, czy zetknęliby się kiedykolwiek Marlenka z nadkomisarzem Woźniakiem.

* * *

– I wie pani – wyznała mi w zaufaniu uszczęśliwiona Marlenka – tak sobie myślimy, czy by nie wycyganić tej łopaty z archiwum dowodów rzeczowych, albo nawet ewentualnie ukraść, żeby postawić u siebie w domu na honorowym miejscu. To taki symbol...

– Możecie zrobić kopię i podstępnie zamienić – podsunęłam, dolewając do kieliszków czerwonego wina, bo należało jakoś szczęśliwe wydarzenia uczcić, a nie przyjechała już skuterkiem z racji nieprzychylnej pogody.

– Doskonały pomysł! – ucieszyła się. – Tylko kto zrobi coś dokładnie takiego samego? Tylko wuj potrafił, nikt inny!

Zapewniłam ją, że Patryk.

– Robi w żelazie i ma talent. A jest taki zachwycony wszystkim, ślubem z Baśką, dzieckiem i bratem, że na pewno chętnie spróbuje. Anna Bobrek pożyczy mu narzędzia Bartosza, jestem pewna.

– A, właśnie! – przypomniała sobie Marlenka. – Nie wiem, czy pani wie, Anna wychodzi za mąż! Ona już dawno ma oko na takiego jednego, ale dopóki myślała, że wuj żyje, nie ośmielała się nawet myśleć. A on jej się już sześć razy oświadczał, więc wreszcie może. To historyk, mediewista, siedzi w pisarstwie wczesnego średniowiecza. Ma dwie lewe ręce i kompletnie nie czyta gazet!

– Co za ulga dla niej! – wyrwało mi się nietaktownie.

– A co do łopaty – ciągnęła Marlenka, nieco smutniejąc – to Ewa z Adamem też się nad nią zastanawiają i nie wiem, czy się z nami nie pokłócą...

Zwróciłam jej uwagę, że Patryk w rozpędzie może wykonać dwie łopaty. Jedna będzie oryginałem, a druga kopią i tę ostatnią kwestię mogą już rozstrzygnąć drogą losowania. Rozkwitła na nowo.

Poszli za moją radą, sprawiedliwość sprężyła się w sobie i łopata oryginalna przypadła Marlence i Woźniakowi. Wszyscy wiedzą, że istnieje coś takiego, jak złośliwość przedmiotów martwych.

Ale może istnieje także uczynność przedmiotów martwych...?